R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

Dostrzeżone omyłki druku.

Str.	*Wtersz*	*Zamiast:*	*Winno być:*
81	13 od dołu	Krywle	Krywleni
83	10 „	takim	takiem
84	5 „	wszystkim . . .	wszystkiem
87	12 od góry	mlamląc	miamląc
90	2 od dołu	Chałas	Hałas
91	3 „	brzucbem	brzuchem
93	3 „	Baliński	Bieliński
98	2 od góry	Oto	O to
98	3 „	drzeć	drżeć
98	13 „	góry	górą
98	5 od dołu	opieka	spieka
102	4 „	Jastrowem . . .	Jastkowem
105	18 „	Crłowskim . . .	Orłowskim
107	11 od góry	Trojarnówki . . .	Trojanówki
109	10 „	Oba plutony zepchnęły te wypady	Oba plutony, zepchnięte, wypadły
109	12 „	wzołuż	wzdłuż
110	9 „	Snedary	Smolary
111	4 „	Piasoczno	Piesoczno
112	13 „	Kucharyna . . .	Kuchary na
112	11 od dołu	Libgoszczy . . .	Litogoszczy
113	2 od góry	przeprawili się . . .	przeprawiali się
113	4 od dołu	drzewiane	drewniane
114	6 od góry	Koźlinica	Koźlinicz
119	2 od dołu	ne	na
124	9 od góry	w lisopadzie . . .	w listopadzie
124	9 od dołu	Nic	Nie

WACŁAW BUDZYŃSKI

a 125

Z PIERWSZYM SZWADRONEM

1go PUŁKU UŁANÓW PIERWSZEJ BRYGADY LEGJONÓW POLSKICH W ROKU 1915-1916



WARSZAWA — 1920
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

82w1 : 93(438)11

Prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by W. B.

8167/1



Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka"
Warszawa — Tamka № 46, Tel. № 33-20



ROTMISTRZ WŁADYSŁAW BELINA-PRAŻMOWSKI
w r. 1916.



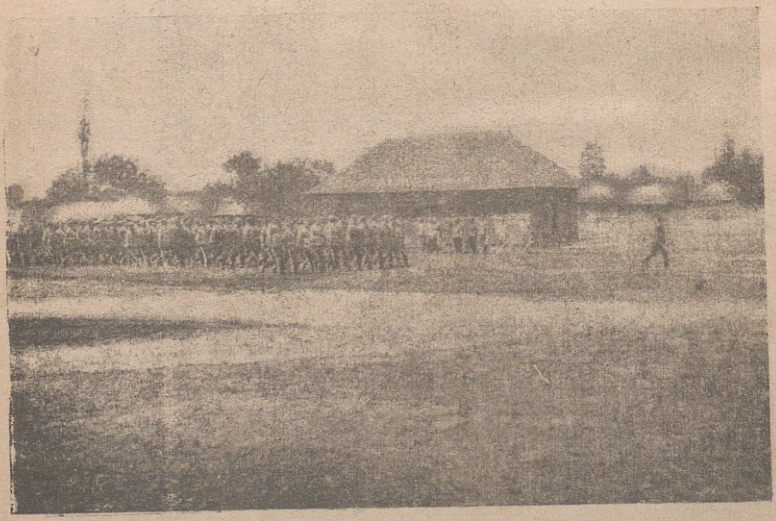
PORUCZNIK GUSTAW ORLICZ-DRESZER
w r. 1915.



PODPORUCZNIK BOLESŁAW WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI
I UŁAN WACŁAW SIEROSZEWSKI
w r. 1915 (w Kozach).



WACHMISTRZ TADEUSZ OSTER-OSTROWSKI
w r. 1915.



Defilada przed Komendantem w Piesocznie w r 1916.



Pod Czeremoszem w r. 1916.



Moza w Kwankowiczach w r. 1916.



PORUCZNIK STANISŁAW GRZMOT-SKOTNICKI
w r. 1916.



PODPORUCZNIK ANTONI ZDZISŁAW-JABŁOŃSKI
w r. 1916.



WACHMISTRZ ANDRZEJ STRUG
w r. 1916.



Czwarty pluton 1-go szwadronu podczas przełomu w październiku 1916 r.

DROGI DWIE NASZEGO SNU O POLSCE.

Przeżywaliśmy właściwie nie wojnę europejską, lecz ostatnie polskie powstanie. Marzenie obleczone w broń, idea — w żołnierza. Wprawdzie okrutna proza bojowania tłumiła czasami entuzjazm, wyścibiało się z duszy coś nakształt żalu, że dosyć, nie zaznaliśmy jednak nigdy zboczeń Barbusse'a w „Ogniu". Jedyny, dziedziczony sen, sen o Polsce, trwał i porywał.

Myślano, że tworzyliśmy sobie ze srogości wojny sport i zabawę, że obieżyświaty i dzieciuchy chwyciły za karabiny i szable. Tak. Nieczęsta była między nami siwizna, nierzadko wczesny bardzo puch ocieniał wargi. Zato słuchajcie, jak szumi wiatr nad grobami zwycięsców z pod Łowczówka i sandomierskich bojów 1915 r. Bawiliśmy się krwawo, brząkaliśmy szablą nie na żart, uprawialiśmy najszlachetniejszy sport-męstwo, a obiegliśmy w ciężkim trudzie cały kraj za snem o Polsce.

Ciekawy to był sen. Śnił się najgorętszej młodzieży i wybuchnął w ogromny legjonowy ruch, którego manifestem był 6 sierpnia 1914 r. Pierwsza kadrowa urosła rychło w pułk, brygadę i więcej. Żyła w skorupie przysiąg, pełniąc służbę i rozbijając raz po razu narzucane pęta. I tu, w tej walce na dwa fronty, jest tajemnica naszych dwuch dróg działania.

Biliśmy się, jak rzadko kto. Najcięższe dni przemarszów i walk stanowiły rzecz normalną, przywykło bowiem i ciało i myśl do wojennego rzemiosła. To była jedna droga naszego snu o Polsce, droga prosta i łatwa.

Pełniąc atoli codzienność, nie mogliśmy zapomnieć i nie odczuć rzeczywistości. Sprzeciwiało się nam wszystko,

i swoi i obcy. Byliśmy niby zagubiony w powszechnej ciemności krzyk. Nic też dziwnego, że żołnierz musiał wyżłobić drugi trakt do Polski, wewnętrzny, poprzez tęsknotę. Tędy chodziło serce i myśl. Tu leżało utajone źródło spisków przeciwko „prawowitej" władzy polskiego N. K. N-u i austrjackiej A. O. K. Niechże nam kiedyś na szalach historji policzą i tę drugą drogę, równie prostą jak pierwsza, zato bez porównania cięższą, gdzie polegaliśmy tylko na Komendancie i na samym sobie. Marzyło się, że broń w naszej ręce obudzi naród, zakołysze i rozdudni czyn na podobieństwo dzwonu...

W książeczce tej znajdziecie ślady obu dróg: suche opowiadanie naocznego świadka i mimowolny patos ujawnionej tęsknoty, skrzętnie dotąd okrywanej legjonową bluzą i ułanką. To nie sztuka. Widzieliśmy za dużo, żyliśmy za głęboko i potrafiliśmy umierać, a w tem jest niewątpliwie usprawiedliwienie podniosłości i sentymentu pisanego.

Czyż nie obudziliśmy zresztą marszem po owych obu drogach czegoś osobliwego w narodzie — nowej sławy!? Jest bowiem sława-trup, rozsypująca się w piachu trumna, i jest sława młoda, rozpościerająca skrzydła zapału. Tamta przypominała, ta zaś idzie i zdobywa.

WOJCIECHOWICE I BIDZINY.

Majowa ofensywa z nad Nidy postawiła nas odrazu na progu wielkich przełomowych dni. Młode marzenia, kąpane we krwi i trudach wiosennego zwycięstwa, nabierały rzeczywistych barw życia. Nic to, że przed nami była jeszcze niejedna linja rosyjska do złamania i niejedna śmierć. Szliśmy przecież w głąb Polski, docieraliśmy do jej serca, a myśl jej biegła już ku nam z szumiących, dojrzałych niw i z wolnych rozłogów ojczystych, jak niestłumione tchnienie dziejów. Szwadron nasz stał z resztą dywizjonu na kwaterach w sandomierskiej wsi, Domaradzicach, i używał, jak zwykle, chwilowych wczasów na ćwiczenia. Piękne czerwcowe dni i malownicze łąki okolicy były świadkami, jak rosła sprawność szeregu i jak nowy dowódca, porucznik Grzmot-Skotnicki, urabiał z „wiary ułańskiej" giętką jednostkę bojową, któraby umiała w jego ręku rozwijać się pod ogniem niby na paradzie i trwać do końca. Tu poraz pierwszy wprowadzono do musztry naszej nową formację „ławę": z każdej kolumny jeźdźcy momentalnie tworzą jeden rząd, coś w rodzaju tyraljerów, frontem zwrócony do nieprzyjaciela. Tak sposobiliśmy się do przyszłych walk, które miały zdecydować o Królestwie. A tymczasem przed nami, podobna do naciągniętej cięciwy łuku, prężyła się linja piechoty polskiej, zagrzebana w piach okopów po sławnych bojach pod Konarami.

Dnia 23 czerwca rano, gdy na pastwisku ujętem w ramy wzgórz i lasu migotał szwadron automatycznemi ruchami zwrotów i kolumn, wypadł od wsi na galopującym koniu ułan i zameldował o natychmiastowym odmarszu. Głośne „hurra" wybiegło z naszych piersi i poszło lasem tak, jakby zatę-

tniała gdzieś zbudzona z baśniowego snu chorągiew pancerna... W niezmienny mechanizm zajęć na kwaterach padła piorunem inicjatywa czynu, otwierając przed nami warsztat pracy: bogate łany pszeniczne, które deptał uciekający nieprzyjaciel, i bory, zadumane nad losem pokoleń... Na tym barwnym szmacie Ojczyzny mamy wyznaczyć swój krwawy ścieg... Żegnajcie dziewczęta domaradzieckie spoglądające dziś na ułanów z poza łez w błękitnych oczach...

Od Kujaw, od rosyjskich rowów strzeleckich jechaliśmy traktem w chmurze pyłu, który powlókł szarą barwą mundury, twarze i konie. Żartowaliśmy, że wojsko polskie uciekło z muzeum i jako zapleśniałe mumje przeszłości wyległo dzisiej na rozstaje dróg. Ale to nieprawda. Szliśmy przecież z takim impetem i fantazją życia, jakby się rozhukała swobodna uciecha polska i tupała za nami w takt końskiego kłusa...

Brudną nicią rozcięła droga sosnowy zagajnik, przez który wracały właśnie patrole piechoty, wbiła się rdzawym ostrzem w las, wybiegła na górkę i spadła wreszcie w dół, zbłądziwszy w jakieś przytulne jary, i tylko miejscami wyłaziła wyżej skrawkiem wstęgi, niby patrol kawaleryjski, kiedy przejrzeć chce z wyżyny daleki widnokrąg. Tak nas zaprowadziła do Przepiórowa.

Przepiórów... Spojrzyj na mapę szczegółową: sucha nazwa, słowo krótkie, jak tysiąc innych, i więcej nic. Ale gdy przewrócisz parę kart z dziejów Pierwszej Brygady, to jakbyś na papier bryznął krwią. Zamarzy się nie przeciętny folwark polski, lecz groźna reduta moskiewska, o mury której łamał się pęd ataku naszej piechoty, i owe ofiary bezcenne, które kładła śmierć na zagonach, i straszny stuk karabinów maszynowych, co biły tu dla wielu ostatni werbel czynu. Zwykła „kulturalna" bitwa przeszła w zawieruchę ludzkich zmagań, rozbiła mury zabudowań folwarcznych i potrzaskała kamienną ścianę ogrodzenia z pozębionemi okienkami strzelnic. Niby odkopany grób, okop zburzony granatami i porozrzucane bezładnie czarne deski, podobne do zbezczeszczonych trumien... Sławne miejsce, ale nic okropniejszego nad istotny obraz sławy...

Za Przepiórowem rozsunął Belina cztery plutony tak, żeby zajęły całą szerokość odcinka, wynoszącego osiem kilometrów. Na wszystkich drożynach, zapadających w dyszące żarem pola i w rzeźwe zamrocza gajów, zaszkliły pokrowce

czak ułańskich. Zajrzało wszędzie badawcze oko naszych wywiadów. Ile wizerunków wsi chowamy z tych czasów w pamięci, jakiej nędzy widokiem nie pasł się wówczas twardy żołnierski wzrok, jakich nie widział kontrastów... Roślinność dokoła upojona słoneczną radością lata i — opuszczenie wsi; gnijące w zbożach trupy i pobojowisko, gdzie gospodaruje gromada włościan - grabarzy, zakopujących nieproszone ohydne żniwo wojny... Nalewo od Włostowa, w odosobnionem obejściu bierzemy pierwszych jeńców rosyjskich — siedmiu — spóźniony oddziałek ustępującej przed nami arjergardy. Zaczynaliśmy widocznie wjeżdżać jej na kark. Za tymi maruderami musiała być z pewnością niedaleko straż tylna. Otwierała się możliwość niechybnego spotkania. A więc po krótkim postoju w pałacu włostowskim — ostry, w tempie pościgu marsz na Lisów. Kapryśna droga polska ominęła sady i po kilku zawrotnych skokach dosunęła się raźno do wsi. Jechało się rodzajem nasypu. Poniżej łąką zawilgłą, środkiem brunatnego bagna, wił się nikły strumyk. Rzucony nad bajorem mostek był nie do przebycia: po dylach biegł już płomień roznieconego przez moskali ognia. Kłęby dymu przysłoniły obraz Lisowa. Ubezpieczenie przednie („szpica") przebywa bajoro i wypada na przeciwny brzeg niby zjawisko z chmury dymu. A tam, ze środka wsi, z drogi, która ginęła za chałupami pomiędzy wysokiemi ścianami wąwozu, szedł w naszą stronę chłop ze zwieszoną głową, dźwigając na ręczniku maleńką, dziecięcą trumienkę. „Szpica" zostawia konie w wąwozie i pod komendą wachmistrza Tatara - Abłamowicza wychodzi na wierzch, na szczere pole. Daleko nalewo niknie kilku podejrzanych jeźdźców w stronę położonego o jakieś 800 kroków lasu. Zresztą cisza zwykłego, letniego dnia, spokój niw, po których stąpa leniwie, głaszcząc je lekko, wiatr. Tylko las, do którego zmierzają figurki jezdnych, kryje złowrogą zagadkę. Ale ułan polski musi czytać z zagadkowych kart przyrody, jak z podręcznika taktyki wojskowej, musi znać gwarę wojenną krajobrazu. Doświadczenie kawalerzysty streszcza się bodaj najlepiej w rozmowie jego oczu z plastyką przestrzeni, na którą patrzy. Dlatego też nietrudna była dla nas zagadka lasu: tam byli moskale. I gdy tylko wychylił się nad wąwóz nasz sztab, t. zn. rotmistrz Belina, adjutant jego podporucznik Zdzisław Antoni Jabłoński, Wacław Sieroszewski i inni, — szczęknęły w lesie karabiny rosyjskie i złe kule zaświegotały koło uszu. Pierwszy ruszył

w ogień pluton czwarty. Jak chabry, zabłękitniały w zbożu nasze tyraljery i szły skokami na las kołyszącą się linją. Rozległ się jednocześnie, niby stąpanie olbrzyma, miarowy łomot manlicherów. Tutaj zaczęły dojeżdżać inne plutony, które przedłużały groźny nasz łańcuch. Wyparci z lasu moskale cofali się w stronę Sadłowic. Z poczynionych obserwacji i zasięgniętych po drodze wiadomości wiedzieliśmy, że mamy na całym odcinku brygadę kawalerji rosyjskiej, która gnała przed nami na zbity łeb.

Za Sadłowicami stanęły na wzgórzach śród zbóż polskie widety, mając naprzeciw kozaków. Tymczasem obok stajni sadłowickich zgrzane konie nasze chrupały siano, a niemniej zmęczeni ułani legli pokotem w cieniu. Kobiety w kraśnych chustach przynosiły dzbanki i wiaderka z mlekiem, oraz pełne zapaski czereśni. Studzienny żóraw skrzypiał sennie na podwórcu, a różne, gniade, kare i siwe „Maćki", tłocząc się przy korycie, nurzały z lubością poczciwe pyski w czystej, zimnej wodzie. Rozumieliśmy ich rozkosz własnem pragnieniem chłodu.

Lakoniczny rozkaz wymarszu zakończył postój, przerwał tok luźnych rozmyślań, wprzęgnął wszystkich w bojowy szyk. Brakło tam jeno... widzów, a wyglądalibyśmy w szerokiej topolowej alei, którą już mroczył długi cień drzew, na pieśń zjawioną. Ileż to razy rzeczywiste obrazy, gdzie my pionkami jesteśmy, przewyższają literaturę i żywiej mówią do oczu i serca...

My to (niekiedy) — zwycięstwo konkretne pięknego życia nad marzeniem i pieśnią. I wtedy pieśnią gardzim...

Sięgnij, kto chcesz, myślą do bojowej chwili, bo chwila ta jedynie może być próbą szwadronu. Niech wzrok twój towarzyszy nie przemarszom wesołym, lecz twardej, linjowej pracy. Cóż widzisz?... Twarze skupione, jakby ponosiły trud rozwijania myśli wodza, która jest źródłem czynu. Ilekroć spojrzę na nie, zawsze mi się marzy, że tak musieli wyglądać powstańcy polscy wszystkich krwawych lat, ci uczniowie wolności, doświadczalnych przez praktykę śmierci, historycznych szkół. I tem właśnie różni się dziś żołnierz polski od żołnierza innego w obecnej wojnie, że każdy krok i każde, nawet nieuzależnione odeń, posunięcie szeregu, mierzy korzyścią i wielkością sprawy, której służy, transponuje na skalę jedynego, ogromnego czynu przyszłej ojczyzny. Nie przesadzam bynajmniej. Może to nie zarysowuje się tak imponu-

jąco, jak piszę, nawet dla tych, co czyn nasz przeżywają, ale też dlatego, że nie oddają tego pod własny objektywny sąd. Z pewnością dowódca pierwszej lepszej jednostki bojowej obcych wojsk nie dźwiga większej, niż my, odpowiedzialności, cięższej, niż my, troski i głośniejszej od sumienia myśli.

Było już dobrze po południu. Szwadron, poprzedzany strażą przednią, złożoną — na ochotnika — z 6 ułanów pod dowództwem wachm. Leona Strzeleckiego, zdążył rozproszyć lekką arjergardę kozacką i dotrzeć do dworu w Stodołach. Przed nami i z boków, nieomal dokoła, pomykali w grupkach niewielkich albo pojedyńczo jeźdźcy nieprzyjacielscy. Podniecona uwaga nasza wyczuwała starcie poważniejsze, chwilę, co na nas szła na podobieństwo burzy. Tembardziej, że, jak nam mówiono, moskale gdzieś blisko pośpiesznie się okopywali.

Zastępca rotmistrza Beliny, por. Orlicz - Dreszer, pchnął jeden patrol od Stodół wprost do Wojciechowic. Dziesięciu starych doświadczonych żołnierzy drugiego plutonu poprowadził wachm. Orłowski. Cały szwadron rozwinął się od nich naprawo w linję, której skrzydłem prawem był pluton trzeci podporucznika Lewandowskiego, skierowany na Kunice. Przestrzeń ta, zawarta między dwie wsie Wojciechowice-Kunice, nierówna, po której płynął szelest zbóż i nawoływania przepiórek, stała się naraz straszna wymową potyczki i sławna siewem krwi. Właściwie akcja długiej, zygzakowatej linji naszej, sięgającej ogniem do rosyjskich rowów, rozpadła się na szereg śmiałych epizodów. Wyrąbaliśmy tu imię kawalerji polskiej na karkach wrogów, złożyliśmy sowity ofiarny okup dziejom.

Drobne ale ciekawe zajście daje hasło do większego starcia. Oto wysłani do Kunic wcześniej jeszcze przez podporucznika Dudzieńca: kapral czwartego plutonu Jurgielewicz i ułan — chłopiec prawie — Szydłowski wpadli we wsi na kozaków. Rozpoczęła się szalona gonitwa, w której zazwyczaj szczęście kawalerzysty i zbawienie spoczywa w nogach końskich i w rewolwerze. „Sztajer" Szydłowskiego wysadza kozaka z siodła i wstrzymuje pościg. Uciekających dalej przeprowadza tylko ogień ukrytej za chałupami kawalerji rosyjskiej i rani im jednego konia.

W jakiś czas potem do Kunic wjeżdżała bez strzału szpica trzeciego plutonu. Wieś była cicha. Nie błysnął ba-

gnet za płotami sadów. Zato na dochodzącą „ławę" padła z zaczajenia, niby nagłe uderzenie dzwonu śmierci, salwa. Moment wahania... Przepaść, w którą zapadnie postanowienie i niejedno życie... Pluton miał do wyboru: odwrót pod celnym ogniem, albo szaleństwo ataku na obsadzoną przez moskali wieś. Jak błysk oka — myśl i rozkaz, wydany ostrym głosem porucznika Grzmota... Jakby szarpnął najtajniejsze struny męstwa...

— Galop! Marsz — marsz!...

Pluton padł na wieś, na bijący w twarze ogień karabinów, za ściany budynków... I już tyraljery spieszone szły za cofającym się nieprzyjacielem, już nawiązywały krwawą łączność z linją rosyjską. Wkrótce pluton pierwszy (podporucznika Wieniawy-Długoszowskiego), doprowadzony w ten sam sposób do prawej strony wsi, bierze kierunek i cel ognia na bidziński cmentarz.

Najwyższy czas. Z cmentarza bowiem jakby wstała śmierć i w strasznym ogniu szła na trzeci pluton. Aż się gięła pszenica od wichru i świstu... Dopadł tu por. Skotnickiego wachmistrz Sieroszewski z rozkazem od Beliny i na koniu w ulewie kul spokojnie meldował...

Gdy tak skrzydło prawe parło moskali za Kunice ku Bidzinom, środek (t. zn. pluton czwarty i pozostała część drugiego) utworzył chwiejny łańcuch strzelecki, niepewny co do kierunku ognia. Daleko na flance prawej widać było przebiegających zbożem moskali, raczej ruchome plamki głów. Stamtąd szły furcząc kule po kłosach i siekły niedostrzegalne pokosy, ścieżyny, jak niteczki wąskie, po których próżno biegała śmierć. Na całem polu widzenia, od wsi do wsi, niby zdrowy i żywy płyn — pszenica i dwa podobne do latarni morskich wiatraki... W tej chwili przemówiło skrzydło lewe. Wybuchły najpierw ciężkie odosobnione strzały, poczem zaturkotało tak, jakby sami djabli wysypali groch piekielny. To starł się z moskwą patrol Orłowskiego. Wobec tego środek zagiął część linji tyraljerskiej na wojciechowicki dwór.

Niemasz chyba nic gorszego nad bierność wtenczas, kiedy mogłaby się rozpalić broń w ręku i kiedy opodal męstwo kolegów pod obuchem przemocy znajduje jedyną, godną Polaka odpowiedź: śmierć... Najsurowszym rozkazem jest rozkaz: „czekać". Długie, jak przed bitwą minuty... Nagle ze zbóż wyłonił się jeden z tamtych dziewięciu, ułan Jabłocki,

bez czapki, ze sztajerem w dłoni, raniony w nogę. Zwiastun klęski...

Tak. Tam już cofać się nie mogli — więc umierali. Konie — wzięte przez moskali. Spieszony patrol Orłowskiego, osaczony w polu, bił się bez nadziei, ale ze spokojem gwardji, jakby każdym strzałem wydzwaniał takt nieśmiertelnej pieśni polskiej o wolnem życiu... Odruchowo można było iść z odsieczą. Lecz wiadomość, że w Wojciechowicach prócz garści kawalerji rosyjskiej stoją dwie kompanje piechoty — kazała nam tylko patrzeć na widmową sylwetę folwarku, jako na ponure dekoracje dzisiejszej tragedji. Grano w tej chwili akt ostatni. Niby słowa końcowe obojętnego dla bohaterów chóru — rechotał raz po razu karabin moskiewski, aż nie doczekawszy odpowiedzi, urwał. Zapadła kurtyna ciszy...

Myśmy trwali wciąż na stanowisku widzów, choć milkła też utarczka prawego — w Kunicach — skrzydła. Wysłany pod Wojciechowice patrol pieszy stwierdził obecność silnej tyraljerki rosyjskiej, rozciągniętej wzdłuż dworskich stodół. Słowa komendy biegły od nieprzyjaciela do nas po rosie, miało się bowiem ku wieczorowi i na pola legł już spokój. Słyszeliśmy tylko ten niezdławiony wrogi głos...

I ustępowaliśmy. Nie, myśmy się cofali, uznając przewagę nieprzyjaciela, ale przynajmniej — marna pociecha — osadziliśmy go tak, że nie śmiał wychylić się za nami z pozycji. Cały szwadron ściągnął o zmroku do Stodół. Niestało na zbiórce tylko wachmistrza Orłowskiego z patrolem, który w Wojciechowicach znalazł grób, i paru innych. Tych innych wieziono na podwodzie chłopskiej. Ułani trzeciego plutonu: spokojny, jakby spał, trup Busia, obok charczącego przedśmiertnie Romana Freja, któremu kula przeszyła ładną głowę i zabryzgała krwią i mózgiem czarną kędzierzawą czuprynę. Wzrok żywych odrywał się z trudnością od prostego, moszczonego słomą wózka, gdzie fantazja młoda i przyszłość zatraciły gest życia i czynu w objęciach śmierci.

Z pola, z nocy spoglądały na nas dwa ognie płonących stert, niby żagwie wojenne, albo rozżarzone ślepia naszej dziejowej krzywdy. I teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że to dzisiaj wigilja Świętego Jana, noc kwitnącej paproci, cudów i szczęścia, jeżeli kto je umie znaleźć.

Późno, po niemałym marszu powrotnym do Sadłowic, ustawiliśmy konie na podwórzu dworskiem w czworobok, środek zająwszy dla ludzi. Mocny, żołnierski sen przerywało

dwugodzinne czuwanie na forpocztach, któremi obstawiono dwór.

A już na całym froncie dorównała do nas piechota i zakwaterowała w okolicznych wsiach.

Dnia 24-go przed ósmą rano, po przybyciu nocującego w Lisowie plutonu III-go, szwadron poszedł na Kunice i przesunął się spokojnie do Bidzin. Z lewej strony mieliśmy pierwszy pułk Śmigłego, z prawej — piechotę austrjacką. I tu i tam wybuchała dorywczo haratanina i, jak na rozkaz, milkła. Staliśmy się cząstką wielkiej linji, która rozpoczynała bitwę. Zadanie nasze było bardzo proste: wyprzeć nieprzyjaciela z niewielkiego odcinka tak, jak to z obu stron miała uczynić piechota. Konie zostawiamy w parku bidzińskiego dworu, za ogrodzeniem kamiennem, które już kąsa jakiś flankowy ogień. Na obu skrzydłach wre praca żołnierska, jakby padał potężny grad... Suniemy długim szeregiem na trakt i skradamy się naprzód rowem. Dobrze nas okrywa bujne zielsko i grube kolumny drzew. Po lewej ręce — przejrzyste szare pole, upstrzone zielenią naci kartoflanej i buraków. Przed nami żółty nasyp toru kolejowego, który przecina drogę, jest monotonną ramą pola i zasłania zupełnie widok dalszy. Do nasypu — ale wciąż jeszcze rowem — dochodzi patrol IV-go plutonu i komunikuje: „Moskale!" Widoczna jak na dłoni, okopana starannie tyraljerka w sile mniej więcej kompanji.

Na ciche słowa komendy szwadron skokiem wypadł na pole i, zatoczywszy kolisto szereg, przeszedł w linję z frontem na tor. Z niemoty i ciszy runęliśmy twarzą w morze i wicher... Kule chlastały po naci tuż u nóg. Nie odróżniało się melodji oddzielnych świegotów — był jeden ogromny krzyk bitwy, którym się bezwiednie żołnierz upija niby winem. Atak miał impet wybuchu skupionych ludzkich sił. Wszyscyśmy szli szalonym pędem, choć przestrzeń do toru była może ponad zwykłą moc... Padł ranny wachmistrz Kawiński.

Nasyp kolejowy odegrał rolę przedpiersia okopu. Kule rosyjskie pryskały o szyny. Drobniuchny żwir z rekoszetów ciął w oczy. W tej ulewie żelaznej, w największym gwarze śmiertelnej roboty chodził tam i z powrotem wzdłuż tyraljerki czwartego plutonu ogromny, w czaku ze srebrnemi sznurami ppor. Dudzieniec... Moskale nie wytrzymali naszego ognia. Ich łańcuch strzelecki pękł i żołnierze poczęli pierzchać pojedynczo, jak rozpryśnięte ogniwa. Bliska i łatwa zdobycz wymykała nam się z rąk. Chyba, że uderzymy na bagnety...

A ofiary?... Mieliśmy już wyczerpane naboje i ani jednego bagnetu.

Nastała sroga minuta, kiedy trzeba coś rozstrzygnąć, a jednocześnie zważyć życie ludzkie i drogie nieprzepłacone krople krwi doniosłością sytuacji. Momenty takie skupiają w sobie całą pracę i odpowiedzialność naszych dowódców.

Dudzieniec nie wytrzymał. Dobył szabli i pierwszy skoczył na tor z okrzykiem: — Naprzód!

Grzmot tymczasem wołał: — Stać!

Pluton IV-ty, rzucony między dwie sprzeczne decyzje — zachwiał się. Tam i sam podnosili się ułani na nasyp za Dudzieńcem. Jeszcze parę sekund — poczem zerwali się wszyscy i — żywa lawina potoczyła się do szturmu na rosyjski rów. Reszta szwadronu za nimi. Karabiny nieprzyjacielskie scichły, jak zgaszone tęgim podmuchem świece. Żołnierze rzucali przed okop broń i wyciągali do góry ręce, zaciskając w nich niekiedy ręczne granaty. Wzięliśmy siedemnastu jeńców.

Na prawem skrzydle zmilkły bijące dotąd karabiny maszynowe i ukazała się rozwinięta klasycznie tyraljerka piechoty austrjackiej. Bitwa, jakby goniona, przesuwała się na Wyszmontów i Ożarów. Odgłosy jej im dalej, tem niewyraźniej zlewały się w jęk, wybuchający z za krawędzi widnokręgu.

A my w kontrastowej ciszy niemego pola uzupełnialiśmy listę strat wczorajszych patrolu Orłowskiego. Ranni: wachmistrz Orłowski, kapral Cedro, ułan Niementowski. Zaginęli: Młot, Brodowski. Zabici: Antoszewski, Bedrich, starszy ułan Wyrwicz-Konarski, kapral Jur-Karski. Ten ostatni, pomimo ran, bronił się szablą do ostatniego tchu.

Każde nazwisko wymówione nabierało smutnej melodji dzwonów, każda sylaba drżała szelestem łez. Oprawne jednak w ramy dzisiejszego powodzenia, nekrologi te zawarły piękno skończonego eposu. W zgonach tych było coś, co wieńczyło treść naszego czynu. Co?... Może bezpardonowy testament Jura, który przekazał nam w spuściznie godność ostatniej chwili... Zdarza się bowiem, że śmierć jest rzeczą większą, niż życie, i — płodniejszą...

Wygrana skrzydła nam przypięła, przeistoczyła poświęcenie w zapał i zuchwałość. To prawda. Ale myśl, oparta o krwawe testamenty kolegów, zmężniała nad wiek i ujęła wolę młodego żołnierza w żelazny karb nieprzełamanej falangi, kruszącej samozwańczo sarkofag polskiego niedołęstwa. I tu — w myśli i w zadaniu — szukać należy źródeł powstawania naszego typu, tworzywa zbrojnej epoki: nowego w Polsce człowieka.

ŚMIERĆ DUDZIEŃCA.

W nocy z dnia 29 na 30 czerwca łuna rozpostarta nad Ożarowem zaczęła gasnąć. Oddaleni (w Jasicach) o parę kilometrów od krwawej linji ognia, słyszeliśmy przecież niestrudzony bełkot karabinów piechoty, niby gorączkowe nierówne tętno jakiejś śmiertelnej pracy. Rytm ten wraz z niewypowiedzianą słodyczą i ciszą srebrnej nocy polskiej tworzył groźny, böcklinowski nastrój. Od białego dworu wiało tajemnicą... Przedziwna, pociągająca głębia parku miała w sobie szept bajki - tragedji, wnikającej do wszystkich serc i myśli. Otwierały się przed nami jakby perspektywy wielkie, niezmierne, jak przyszłość. W dale te płynął śpiew naszego chóru, w czem wyróżniał się szczególnie II-gi pluton. Wibrująca melodja ułańskich, swawolnych a zawsze tęsknych piosenek pędziła w posrebrzony mrok, gdyby młode harde wyzwanie jutra... A tam już los sięgał do naszych rabatów ręką śmierci, choć nie przeczuł tego ani przewidział nikt.

Rano, koło godziny trzeciej, zbudził nas podporucznik Dudzieniec. Siodłać konie! Idziemy naprzód! W kilkanaście minut wyciągnął się już szwadron dwójkami na żmudnej, piaszczystej drodze, śród dojrzewających zbóż. Z wilgotnej łąki, oddzielającej dwór od wsi, szedł opar zwiewny, zapowiedź gorącego dnia. Mijając okopy piechoty naszej, witaliśmy już złotym w oczach połyskiem wstające przed nami słońce. Tu pluton IV-ty otrzymał zadanie: być prawą osłoną dywizjonu; kierunek — miasteczko Tarłów.

Tęgim kłusem dopadliśmy Ożarowa. — Nie to nie był Ożarów! To była kupa dymiących jeszcze zgliszcz, ruina pracy i ludzkiej doli... Szczęk pędzącego plutonu sprawiał

wrażenie stuku o grobowe płyty. Uliczki bezludne, jak w mieście nawiedzonem zarazą: zwęglone belki, opalone, rozrzucone cegły, pustka wyzierająca z wywalonych okien i drzwi, snujący się po tem wszystkiem, niby gryząca rozpacz, dym z pogorzeli i — ani żywej duszy, — to było wymowniejsze niż krzyk. Milczenie między nami zapanowało takie, jakby kto schwytał nas za gardło i gniótł. Na rynku mijamy patrol piechoty i, skręciwszy nalewo, zapadamy w bezbrzeżne tło złocistego pola. Pod kolonją Czachów przesadzamy okopy rosyjskie słabo drutowane, ale zato ze znakomitem polem obstrzału. Każdy żołnierz musiał tu mieć nawet bardzo odległe cele widoczne jak na dłoni: równia, pochylająca się w stronę nieprzyjaciela, bezleśna, mało drzew, a tylko falujące aż po kraniec widoku żyto. Do tego w miejscach wypukłych, tam i sam skoszone zboża, jak wystrzyżone łaty, obnażają szarozieloną nagość roli. Dostałe kłosy szeleszczą pod kopytami naszych koni. Jedziemy naprzełaj, depcąc rodzimy chleb. Tu i owdzie czerwoną plamą śród zbóż sterczy sprzęt jakiś gospodarski, część żniwiarki, siewnika. Niby kawałek kultury przyczajony, szukający ukrycia przed barbarzyńską zawieruchą w bogatej fali kłosów... Na krótko rozwarła się przed nami chłodna kolumnada lasu a dalej przycupnęła szara, opuszczona przez mieszkańców wieś Bronisławów. O pół kilometra wprawo rozwinięty pas innej wsi, Mieczysławowa. Za nią ledwie dostrzegalny z poza wyniosłości — Juljanów. Żeby mieć zabezpieczoną prawą flankę, trzeba było spatrolować obie te wsie. Dudzieniec wysyła w tamtą stronę pięciu ułanów. Reszta plutonu schodzi z koni i czeka za stojącemi na uboczu chałupami Bronisławowa.

Patrol nasz rozsypuje się w tak zwaną „ławę" i w takiej ubezpieczonej, bo luźnej formacji dojeżdża do Mieczysławowa, wnikając do wsi odrazu w paru miejscach. Wita nas chłop szpakowaty o spokojnych, mądrych oczach. Szybkie informacje: przed chwilą był tu pluton kozaków w sile 25 koni — pognali w stronę Juljanowa — przerwaliśmy im rabunek pozostawionego na opiece boskiej drobiu... Momentalnie najsprytniejszy z nas, Kasimir, improwizator pomysłów i sposobów patrolowania, wdrapał się na dach najwyższej chaty i skierował lornetkę na podejrzaną wieś. Tymczasem na dole gospodarz rozsnuł nam obraz niedoli wojennej włościan, pędzonych pod batem z własnego dziedzictwa, z rodzinnych gniazd i gruntów przez ustępujących moskali. Włóczące się w straży

tylnej watahy kozackie niszczyły zostawiony dobytek, grabiąc resztki mienia. I gdy to mówił, w oczach miał taką mściwość zajadłą, jaką może mieć tylko polski krzywdzony chłop, a w spojrzeniu na nas taką uciechę, żeśmy się poczuli najwyraźniej żołnierzami tejże krwi, dochodzącymi spólnych krzywd.

Wtem z dachu padła oczekiwana wiadomość:

— Są! Wjeżdżają w opłotki!

Wiedzieliśmy, kto i gdzie. Znów „ława" — i dosięgamy wzgórza, zasłaniającego przed nami Juljanów. Rozległy widok: niby wielkie srebrne jezioro — łany zbóż i wieś, podobna do umajonej listowiem sadów wyspy. Droga szerokim strumieniem piachu wpływa do wsi pomiędzy dwie ściany zabudowań. Tam — jak trzy bure kamienie — trzech jeźdźców. Wpija się w nich nasz wzrok. Kozacy! Nagle pada z ich strony strzał jeden, drugi, niby szczeknięcie mającego się na baczności psa. Strzelać z siodła trudno ze względu na nieostrzelanie koni, Kasimir jednak potrafi. Podnosi broń do oka. Mądry jego kasztanek, „Maciek", rozkraczył nogi, jak chłop biorący ciężar na barki, i ani drgnie. Odpowiedź nasza jest dla kozaków zupełnie zrozumiała, bo znikają z drogi i oto widać za wsią podłużne cienie uciekających. Zadanie nasze jako prawego patrolu było skończone. W powrocie do Bronisławowa konie nabrały rozpędu, sadząc przez zboże krótkiego, hamowanego galopa. Aż sznury od czak wiatr wyciągnął wstecz niebieskawą wstęgą, a z przewieszonego na ramionach kożuszka uczynił skrzydła.

Po powrocie naszym pluton dosiadł koni i wypłynął z cienia na zalany słońcem trakt. Na czele na tęgim gniadoszu jechał posępniejszy niż zwykle Dudzieniec, milczący dziś i zamyślony. Nastrój dowódcy udzielał się pomału plutonowi, rwał naszą rozmowę na strzępy, gasił zwykłą na patrolach żywość. Upał dygotał w powietrzu. Ze zbóż, z kwiecia rowu przydrożnego szedł upajający miodny żar. Czaiła się jednak myśl mroczna śród tego światła i barw, jak na cmentarzach w złoty letni dzień, gdy w ciszy syk owadów słychać z murawy oblekającej groby... Po prawej stronie traktu znów stanął las, piętrzący się na wzgórzach, przechodzący w zieloną szumną ścianę.

Na ubezpieczenie prawe dwuch ułanów!

Otoczył nas tłumiony gwar drzew, zajrzały w oczy ciekawe, kolące kiście jodeł. Był to właściwie wąski błam lasu,

dalej wzgórze spadało stromo w pole dalekie — szerokie, aż po siny pas jakiegoś boru. Środkiem pola wił się piasczysty wąż, ni to zagon kapryśny — ni to rów. W każdym razie nie okopy.

Jakże rozkosznie stać w tym sandomierskim lesie i wzrok swój rzucić na dalekość pól!... Jak uroczo pachnie polski las!... Przytulić się mocno do żywicznego pnia olbrzymiej sosny, chciwe zaś oczy niech błądzą po równi, szukając wroga... Nasze lasy — nasze pola... Świadomość tego dziedzictwa dodaje nam, żołnierzom polskim, mocy, jak mitycznemu Anteuszowi. Synowie ziemi... Dwu takich „synów ziemi" — osłona prawa — wypadło z lasu i dogania pluton. Wrażenie nowe: konie nieduże, postać naturalna, wyrosła z ogólnego tła ziemi polskiej, budzi odrazu myśl — rycerze Polski, żywy typ polskiego czynu, albo, jak nas (trochę przez złośliwość) nazywają, „polscy kozacy". Tylko czako jest historycznym snem, prawie zapomnianą legendą, wspomnieniem dawnych mogił i jakichś podwawelskich krypt...

Stanęła przed nami nędzna wioska, pełznąca w górę po długim, nagim stoku — Wólka Tarłowska. Daleko za garbem wzniesienia połyskuje blacha na strzelistych wieżach kościoła w Tarłowie. Patrol złożony z czterech ułanów rusza szybciej na miasteczko, pluton zaś czeka w Wólce. Kilka minut ciszy. Wtem ostra, jak zgrzyt, salwa karabinów rosyjskich — i patrol nasz pędzi z powrotem na wieś. — Za pierwszymi domami przedmieścia rów obsadzony przez moskali! Wobec tego ani marzyć o zajęciu Tarłowa. Usuwamy się w cień sadu wiejskiego na spoczynek i drzemkę w chłodzie, słońce bowiem piecze niemiłosiernie. Dziwno mi dziś, że wtedy już wszyscy zwracali uwagę na niezwykłą posępność Dudzieńca. Choć o żadnych przeczuciach nikt nie pisnął, nieokreślony ciężar tłoczył pierś. On zawsze taki rzutki, brawurujący całym swym plutonem i zakochany w największych opresjach — teraz powolny do przesady, z niemrawym prawie namysłem w oczach...

Za pochyłością naszej wsi zajeżdżała do lasku baterja artylerji Brzozy i, nawróciwszy, rozpoczęła pracę. Buchnął strzał — i z dzikim skowytem przeleciał nad naszemi głowami pierwszy pocisk, szybując za Tarłów. Jak echo, padł opodal granat rosyjski i wyrwał z ziemi potężny słup czarnego dymu. Drugi z jakimś śmiertelnym chichotem runął za wyniosłość na łąkę, podobną do łysego stepu. Zadudniała pie-

kielna rozmowa dział, zawył nad spłoszonemi końmi plutonu lot kul armatnich. Huk cichł, to znów potężniał, tętnił akordami burzy... Niedaleko lasu i grającej baterji, niby jasny rycerz z polskiej bajki, przeleciał na rozhukanym wierzchowcu Belina...

Po półgodzinnym prawie czekaniu dopada nas rozkaz: wesprzeć III pluton ppor. Lewandowskiego, lewą osłonę dywizjonu, która właśnie zajmuje Tarłów. Ospale idą koniska w skwarze czerwcowym po wyboistej małomiasteczkowej drodze. Pustka drzemie w bielonych domkach przedmieścia, pustka w opuszczonym rowie, z którego moskale odparli nasz patrol. Cisza wszędzie złowieszcza, jeno od czasu do czasu na szerszej uliczce trzaśnie kula w murowaną ścianę, odbijając płat tynku. Rosjanie ogniem karabinowym ostrzeliwują miasteczko. Na bezludnym rynku barwny obraz przedstawia spieszony pluton III i wyciągnięta w cieniu drzew kościelnych gromada sennych koni. Łomot padającego tynku częstszy tutaj, niż gdzieindziej. Kule kąsają złośliwie ściany kościoła i wieżę, wlatując w jej wąskie okna, uderzając śpiewnie o dzwony. Nieśmiały, przeciągły dźwięk sprawia wrażenie tajemniczych jęków i oddalonej rzewnej skargi... Zsiadamy „do ognia" i w ciasnej, na cmentarz wiodącej uliczce czekamy na wiadomość z zaimprowizowanego wprędce na wieży obserwatorjum (ppor. Lewandowski i jeden z jego kaprali). A przed zdemolowaną przez moskali apteką, na jakichś napół rozbitych pakach, śród stosów potłuczonego szkła i rozsypanych proszków położył swój smutny bagaż dr. Stryjeński i, zasiadłszy w porzuconym trzcinowym fotelu, także czekał.

Kiedy Lewandowski opuścił wieżę, oba spieszone plutony ruszyły w tyraljerach za miasteczko. Leżała przed nami okopana linja rosyjska w sile mniej więcej stu ludzi. Odosobniony, jak pod Bidzinami, rów można było zdobyć szturmem. Główne okopy nieprzyjacielskie były oddalone o tyle, że atak mógł się udać. Zresztą szczęśliwy dzień pod Bidzinami uczył nas wiary w dobrą gwiazdę. Obu dowódcom, Lewandowskiemu i Dudzieńcowi, oraz kilku ułanom IV-go plutonu wypadło akurat miejsce na szerokim otwartym trakcie. Dalej nieco, z lewej strony drogi sterczała samotna chałupka, wtulona w wysoki szumiący łan. Naprawo, niby wejście do czarnej jaskini, stała ponura kuźnia. Przed nami falująca zdradnie, gdyby czarodziejski złoty staw, pszenica, aż po widoczny stąd piach rosyjskiego okopu. Zboku stromy żółty

stok i znów pszenica. Wchodziliśmy więc na niepewne, skryte przed naszemi oczami pole. Wtem skądciś, w każdym razie zbliska i, zdawało się, z paru naraz stron, uderzyła w nas salwa moskiewska, że zadzwoniło w uszach, a z drogi podniosły się piórka lotnego kurzu. W chwilach takich ostrzeliwany znajduje błyskawicznie naturalną osłonę. Piorunem byliśmy za kuźnią i dopiero z za ścian tego ukrycia gruchnęły odosobnione, nie mające celu strzały. Dudzieniec ze środka traktu zawrócił wlewo do chałupki. Kule ze zjadliwym sykiem nurzały się w piasek... Nagle chlupnęło coś, jak uderzenie w spokojną taflę wody. Dudzieniec drgnął i zaczął kuleć.

— Jestem raniony...

Brwi mu się ściągnęły i twarz przybrała drapieżny, sępi wyraz. Jakże widoczną zdaleka musiała być dla moskali jego ogromna jasno-niebieska na tle drogi postać i spływająca na ramię z czaka taśma srebrnych sznurów!...

— Chodź tu, za chałupę! — krzyknął Lewandowki.

— Już nie mogę iść!

Usta zaciął boleśnie, szarpnął się, wyrzucił w górę ręce i — padł.

Skoczył Lewandowski z kapralem Pietruskim i wciągnęli go obaj pod chałupę.

— Po doktora!...

Jednocześnie Lewandowski odsłonił ogromną w pachwinie prawej nogi ranę Dudzieńca i przycisnął dłonią buchający strumień krwi. Pąsowy potok trysnął z pod tamujących go palców, jakby ktoś wyciągał stamtąd krwawe wstęgi życia... A gdy pod osłoną domu panowała przy ranionym śmiertelna powaga i cisza, z pod kuźni biliśmy z mściwą wściekłością do uciekających niedaleko w pszenicy moskali.

Ach! jak się dłuży czas przed przybyciem lekarza!... Nie napróżno zakładał na rynku swój bagaż dr. Stryjeński... Nareszcie... Biały kojący bandaż wije się cierpliwie dokoła dyszącej krwią, poszarpanej jamy...

Biegnę do miasteczka po jakiekolwiek nosze. Ale skąd je wziąć?... Wpadam do ziejącego pustką domu, gdzie z zupełnego rozbicia tylko kwiaty w doniczkach ocalały, i wyjmuję pierwsze lepsze drzwi. Mamy już nosze. Dźwigamy Dudzieńca z kałuży skrzepłej, prawie czarnej krwi... Pozostawiona nieliczna placówka osłaniała odwrót obu plutonów i powolny smutny pochód, siejący za sobą krwawy ślad, nieprzerwaną krwawą ścieżką, która uparcie spływała z drzwi.

Złożyliśmy go na ohydnym, brudnym sienniku, wyciągniętym wraz ze skrzypiącem i pogiętem łóżkiem żelaznem z apteki. Nastąpiła bolesna zmiana opatrunku, który mimo wszystkie usiłowania Stryjeńskiego nie mógł powstrzymać upływu krwi. Strzały za miastem rzedły. Napływać zaczęły patrole piechoty i pierzchać cicho w duszne uliczki.

A na rynku zdobytego miasteczka w otoczeniu kilku strudzonych, pyłem zasutych żołnierzy konał podporucznik pierwszego szwadronu ułanów polskich. Ordynarna, ściągnięta z okna jakiegoś mieszkania firanka okryła ciało zmarłego i zastygłą w masce śmiertelnej powagi orlą twarz...

Zaroiło się od siwych maciejówek piechurów, którzy, rozwijając za miasteczkiem linję tyraljerską, zmienili naszą placówkę i nawiązali kontakt ogniowy z nieprzyjacielem. Od przybyłego patrolu sanitarnego pożyczyliśmy noszy. Trzeci pluton opuścił już Tarłów, ruszył więc i czwarty. Naprzód prowadzono wszystkie konie pospinane po trzy, cztery, przeważna zaś część plutonu szła pieszo, zmieniając się przy noszach. Rytmem marszu kołysał się na nich ogromny trup Dudzieńca... Teraz dopiero spostrzegliśmy, że żar ustał i niebo powlekły ciężkie chmury. Jak oddalony huk dział, szła z poza widnokręgu burza... Po olbrzymiej nagiej pochyłości, u spodu której stała Wólka, pięły się tyraljery piechoty, niby czające się małe potworki. Ciemne te sznury, wynurzając się z lasu, sunęły pod górę, jeden za drugim — na Tarłów. Z obu stron artylerja rozpoczynała wrzawę bitwy. I niewiadomo było, czy to tak głośno zbliża się bój, czy burza...

Tuż za wsią miarowym krokiem zamyślonego człowieka szedł w naszą stronę Piłsudski. — Wódz oprócz wielkiej myśli ma serce w oczach. — Dłoń brygadjera pobiegła do daszka czapki. Salutował. Nie zapomnę nigdy smutku tego spojrzenia...

Nimeśmy weszli w las, chlusnęła ulewa i rozsrożyła się na dobre artylerja niebieska. Zatrzymaliśmy się, gdzie w groźnych dwurzędach stały pod deszczem plutony piechoty. Trzeba było oddać nosze kompanji tej, z której były wzięte. Z plandeki, z pasów rzemiennych i ściętych sosnowych żerdzi zrobiliśmy coś, co mogło je zastąpić. Pracy naszej przyświecały pioruny, a żadna chyba tragedja nie miała wspanialszej muzyki i okropniejszych dekoracyj... Nastąpiła teraz straszna droga przez niezżęte pola, gdzie wiatr poprzygniatał

do ziemi fale zboża, przez nieprzytulne, płaczące dżdżem zagaje i polne ścieżki, zamienione ulewą w bystro rwące strumyki. Na nierównej kolei traktów, w niezgłębionych wybojach drożyn wysokie buty pełną cholewą czerpały wodę. Przemokła odzież obciążała krok. Lśniącemi kałużami stała woda w zmarszczkach plandeki, okrywającej trupa, nieutulonemi spływała łzami po wysuniętej z pod płótna białej, jakby gipsowej nodze. Zdawało się, że cały trup dziwnie namókł. Po kilku wiorstach, prawie pod Kozłówkiem wzięła zwłoki Dudzieńca mała furka chłopska. Posuwaliśmy się jednak ciągle bardzo wolno, środkiem bowiem drogi płynęła rzeka piechoty austrjackiej, taborów, karabinów maszynowych i podobnych do żelaznych statków wielkich armat. Rzeka szumiąca gwarem ludzkich głosów, rozmów i śmiechu, rzeka żywa, której celem była dudniąca w dali bitwa i może śmierć taka, jaką wieźliśmy z sobą na wozie... Byliśmy razem z naszym trupem ponurą dla tych ludzi zjawą wojny. I gdy zajechaliśmy do Kozłówka i Belina, uniósłszy przemoczone płótno, spoglądał w niedomknięte martwe źrenice jednego z lepszych oficerów szwadronu — rozjęczała się okolica odgłosem boju. To piechota nasza w krwawej walce spychała moskali z okopów tarłowskich na przyczółek mostowy, Józefów.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 1-go lipca chował IV pluton swego dowódcę na cmentarzu w Bidzinach. Z brzozy, kochanego drzewa żołnierzy polskich, stanął krzyż i ogrodzenie okalające grób. Na równo ciosanej deseczce lakoniczny napis:

Ś. † P.
Stefan Dudzieniec (Krak)
podporucznik I pułku ułanów
I Brygady Piłsudskiego
Wojsk Polskich
zabity w Tarłowie dnia 30/VI, 1915 r.

I nic więcej. Żadnego epitafjum ani wianka sławy. Barwne, pełne krwawego mozołu życie ułańskie znalazło wieczny sen pod cichą darnią z taką prostotą, jakby patos nie istniał na świecie. I gdy staliśmy nad tym smutnym grobem starszego kolegi, pełni zamyślenia o śmierci, bliższej

nam tu, na cmentarzu, niż w ogniu, czuliśmy się jakimś zaprzysiężonym oddziałem, dla którego przyszłość jest niezbadaną dziejową loterją. Każdy ma wyznaczony los śmierci. Niektórym już wypadł, na innych zaś czeka, jak zatrzymany zegar przed uderzeniem ostatniej godziny życia...

A było to na dwa dni przed przebyciem Wisły, czyli w przededniu zwycięskiej kampanji lubelskiej.

WEJŚCIE DO LUBLINA.

Po przejściu Wisły pod Annopolem wkroczyliśmy jakby w inny, niż dotąd, świat. Miłe wsie, w sadach tonące, występowały bielą chat z tła przychylnych lasów i bogatych zbożnych pól. Nawet ruiny i zgliszcza, których nie mógł ominąć gościnny trakt, posiadały niestarty uśmiech życia. Piął się już tu chwast, porywało niefrasobliwe zielsko z popiołów i mogił. Lato było w całej pełni, lato radosne. A może tylko przez radosne spoglądaliśmy oczy na świat?... Za nami Wisła, przed nami Lublin i Bug. Za nami, a więc i przed nami — powodzenie. Wciąż myśl, że zdobywamy klucz do serca Polski, do jej przyszłości i mocy... Od Dzierzkowic dopiero, ogromnej, spalonej do połowy wsi, znaleźliśmy się w sferze pobojowisk i resztek ognia. Deptały tu po sobie ślady walki — obecnej i zeszłorocznej. Krzyżowały się rowy strzeleckie, jedne łyskające świeżo rozkopanym piachem, inne powleczone murawą, przyorane i porosłe szumnem zbożem. Byliśmy drugą atakującą falą. Na dawnych grobach kładły się znów trupy.

Kampanja lubelska była dla nas nowym rodzajem wojny. Linja po uporczywych starciach piechoty przesuwała się wolno, krok za krokiem. W czynione przez piechotę wyłomy, w luki, wybite wstępnym bojem, popychano kawalerję, którą osadzał wprędce ogień drugiej linji nieprzyjacielskiej. Możnaby to określić jako następujące po sobie naprzemian, dorywcze walki pozycyjne i wywiady. Szlak nasz przedstawiał spokojną drogę rezerwy, idącej za linją w odległości takiej, że tylko słyszeć mogła odgłos bitwy, widzieć na wozach jej krwawe żniwo, a jeśli być pod ogniem, to — co najwyżej artyleryjskim. Parę ciekawszych momentów wplotło się w ten

szary szlak barwą niepowszednich wspomnień. Np. wywiad pod okopy rosyjskie w Popkowicach dnia 11/VII na linji Urzędów — Kraśnik i 19/VII potyczka dwu plutonów pod Ratoszynem. Poza tymi momentami tylko zmiany kwater, etapów, któremi się mierzy czas i ciągłość rezerw. Było jednak coś w tej monotonji, co opłacało nudę bezczynności i próżnym dniom dawało wartość przeżyć. Bo nie to jest ważne, że tego a tego dnia staliśmy w tym a tym lesie, słyszeliśmy grzechot karabinów i huk armat, ale to, że przecież poza tą codziennością naszą, nudami i pracą jest pewne źródło, z którego czerpiemy myśl i moc. Bez tego cudownego źródła tężyzny, na samym chlebie powszednim i żołnierskiej strawie, nie wiem, czyby nam starczyło sił na przetrzymanie tego, co za nami jako rok 14 i 15 w dziejach Brygady.

Urok wszelkich postojów w rezerwie polega na tęsknocie do Polski. Czy komu dziwne, że my, którzyśmy jej czynem żywym i wyzwalającem ramieniem, tęsknimy do Polski?... Jest dla nas praca ciężka i celowe niebezpieczeństwo na linji, śmiertelna i krwawa służba, która Polskę budzi, sprowadzić ją ma z marzenia na jaw. I jest Polska taka, jaką ją widzą w chwilach postoju oczy żołnierskie: pobojowiska, zgliszcza, trupy... Wszędzie zniszczenie i śmierć... Groby... Grobów tyle, że chyba cała nasza ojczyzna cmentarzem próchniejących kości. Za nami milczenie, jakby tam rzeczywiście nie było życia,—a my to garstka... I jedyne ślady naszych dróg i prac — orły przypięte do mogilnych kamieni tych, co zmarli w służbie. Polska przed nami, w przyszłości, po twardej ukończonej pracy. Myśl ta tworzy tęsknotę. Nasiąkły nią wszystkie rozmyślania żołnierskie, obciążona każda myśl o jutrze. Szczęście nas, młodych, w tęsknocie tej, jak w wielkiem kochaniu. Mimo groby i przeraźliwą rzeczywistość bije z niej źródło naszej idei i w potoku jasnym, niby w czystych, najbardziej polskich łzach ostatnich dziejów, kąpie się nasza wola i wytrwanie.

Nigdy dawniej nie przechodziła myśl żołnierska takich prób, jak teraz. Nigdy tyle obrazów nie tłoczyło się w oczy i nie wołało do serca rozpaczą. Żyliśmy prozą wojny: w niedostatku, patrząc na zniszczenie dokoła i okropności pobojowisk. A w dodatku każdą czujność moralną uderzał obuchem tragiczny konflikt polskiej wojny. Oto po zaciętych walkach pod Bełżycami wzięto moskalom 22 tysiące jeńców. Przeważnie ostatnie pobory z kwietnia i przeważnie—Polacy!...

A czy można pytać o narodowość tych, co już leżą i gniją?... Rowy strzeleckie literalnie wypełnione trupami. W zbożach ciała opuchnięte tak, że podarły odzież i rozlewają się w brudne, cuchnące kałuże. Z rozbitych przez granaty domostw sterczą niedopalone kości, szmaty mundurów i broń. I pomyśleć, że ile trupów, tyle młodych sił i życia wdeptanego w piach nazawsze, bez rezultatu i bez powrotu... To już jest coś, co przewyższa największą grozę. Żywa myśl ma przed sobą otchłań i lęk, żywe oczy całuje wstręt i ohyda... To śmierć.

Czasami po drodze (dwór w Kępie), u ludzi postronnych spotykaliśmy się z uczuciem, które łączyło epopeję naszą z niewygasłą tradycją ojców. Zwykła łza na widok podjazdu ułańskiego w jakiejś alei dworskiej była niestarganym wiązadłem dwu melodji jednej i tej samej legendy wolności. Czas dzisiejszy miał wówczas rytm niepodległej pieśni zrozumiałą przedziwnie historyczność. i

Rozmyślaniami podobnemi wpisywały się nam do pamięci postoje w Leszczynie, Kłodnicy Górnej, Borzechowie, Kolonji Warszawskiej, — aż dnia 29 lipca wieczorem stanęliśmy w Niedrzwicy Dużej o 21 wiorst od Lublina. Późno w noc rozprawialiśmy o tem, kiedy możemy zająć miasto. Odczuwaliśmy już pewną gorączkę, jakby płynął do nas stamtąd tajemny prąd czekania i niecierpliwości. „Ronty" plutonowe (czujki) nasłuchiwały niedalekich a odosobnionych strzałów, podobnych do zwykłej nocnej rozmowy forpoczt. To nas utwierdzało tylko w przekonaniu, że linja na Strzeszkowicach potrwa długo. Rano wzięliśmy się do robienia porządku przy zaniedbanej ostatnio osobie własnej i rynsztunku. Roztroczono siodła; kto miał, wyciągnął brzytwę; staranniej niż zwykle oczyszczono konie i myślano o śniadaniu. Zapowiadał się normalny, w miarę nudny postój.

Wtem o godz. 8-ej padł rozkaz odmarszu. W dziesięć minut musiał być dywizjon na szosie, gotowy do drogi. W pędzie takim, jak rzadko, minęliśmy Strzeszkowice, opuszczone okopy rosyjskie i patrole naszej piechoty. Pluton IV-ty w ubezpieczeniu przedniem poszedł na Konopnicki las. Z równi przejrzystej wpadliśmy na faliste pole, gdzie osłony tonęły w załamaniach gruntu, migając żywą plamą na pagórkach z piasku i zieleni. Daleko naprawo widoczne już były wieże kościelne i szczyt bramy Trynitarskiej. Miasto przysiadło we mgle czy śrzeżodze. Z obu jego stron buchały szare olbrzymie

słupy dymu. Podjazd nasz ze wzgórza zsunął się w las i niewidoczny, bo zanurzony w gęstwie drzew, brał jeńców. Wszędzie padała rzucana dobrowolnie broń i płaczliwe głosy prosiły: „Pomiłuj pan!" Zostawiliśmy za sobą okazały transport niewolnika, dotarłszy do toru kolejowego i stacji Konopnica (Motycz). Gładka, bezbronna szosa śmigała tu obok kościoła i domków czerwonych, przy których tłoczyły się wylęknione gromadki ludzi, aż do jakiegoś dalekiego gaju. Osłony prawa i lewa szły polem szeroko, garnąc się obu skrzydłami na folwark w Węglinie. Tam i sam, naprzełaj przez rżyska uciekali pojedyńczo kozacy, podpalając zboże w snopach. Błyskały te nikłe płomienie i gasły, a woń spalenizny i kapryśny dym niosły w sobie przypomnienie jesieni i pastuszych ognisk. Szpica nasza, która zagalopowała się na folwark, ściągnęła na siebie strzały rosyjskie. Opryskliwe kule musnęły w paru miejscach kamienie na szosie i świsnęły przelotnie w przydrożnych topolach. Jakaś blada, wystraszona kobieta z wielkim tobołkiem na plecach tłomaczyć mi zaczęła, że pod Węglinem leżą kozacy, kilku zaś obserwuje nas z drzew. Pluton wziął nieco wprawo tak, że się skrył poza wyniosłością terenu i przy zagajniku sosnowym zsiadł z koni. Miasto było przed nami, prawie u stóp. Czerwone dachy, roześmiane okna domów na skraju przedmieść i, jak ogromna kadzielnica, pożary gdzieś przy cementowni i na stacji... Tylko ludzi nie widać. I cicho tak, jakby zamarło życie w murach, albo wyludniono tych, co powinni byli nas witać głośno i radośnie...

Cały szwadron zajął stanię dworską i popuścił koniom poprężi. Tłok tu panował, bo zabudowanie napchane było wozami z ruchomością uciekinierów. Kręciły się dzieci, płakał drobiazg na rękach matek. A my w obliczu miasta, z którego czuć już było dym pożarów, rezonować zaczęliśmy na temat, jak najlepiej wjechać. Padły jednak czyjeś pełne obawy pytania, czy napewno wjedziemy, czy nam pozwolą, — poczem zapanowała przygnębiająca konsternacja. Powiało chłodem po twarzach i sroga myśl zsunęła brwi.

Nagłe przybycie Orlicza i rozkaz marszu przecięły wątpliwość i zapaliły w oczach nowe błyski. Do Lublina!... Zakotłował się kurz na szosie pod kopytami naszych koni. Migawkowe wrażenia wzroku i słuchu. Zdawało się, że jakieś dawne, poważne nadzieje dziś są jawą i cudem życia. Szybka od serca myśl biła niespokojnie i ustalić nie mogła za nic przedmiotu pragnień. Jasnem tylko było, że stawał się fakt

doniosły, iściła się rzecz wielka, ale na czem polegała jej wielkość, trudnoby pytać narazie i odpowiadać. Coś, co miało nieprzejrzane skrzydła, brało nas w swój lot i unosiło ponad miarę codzienności i przygody. Pierwsze przy drodze koszary Ś-to Krzyskie wojsk rosyjskich były w ogniu. Płomień wykręcał obramienia okien i odrzwia, lazł na dach i ściągał zwoje blachy, a gęsty, popielaty dym obmacywał bezskutecznie ceglane ściany. Długi rząd budynków na szosie od zakrętu na konopnicki trakt był tylko opuszczony i milczący, lecz nie podpalony. Z małych, jak kramy, domków i ze sklepików wyglądały twarze ludzkie wylęknione i ciekawe. Przed rogatką warszawską, prawie u wylotu najszerszej ulicy stanęliśmy dla poprawienia siodeł i mundurów, przypięcia sznurów do czak. Szpica z II-go plutonu galopem pędziła przez miasto. Tymczasem I patrol III-go plutonu dojeżdżał jako ubezpieczenie lewe do Sławinka. Zniknęli tu tylko co za sadami dońcy, a pierwszy spotkany człowiek ostrzegał przed moskalami. Na tle jakiegoś podłużnego domu, mającego wszelkie cechy czworaków, ukazała się jaskrawa postać kobieca, dająca gwałtowne znaki. Coś w tem musiało być!... Za chwilę patrol stanął przed — powiedzmy — Telimeną. Jakże inaczej nazwać starszą już pannę, która z emfazą przyciska dłonie do serca i woła wzruszonym głosem: „Ach... dawno oczekiwani... witajcie!...” Jeśli teraz chodzi o przemówienie i sentyment, nie o kozaków, to — servus!... Ktoś mruknął ni to a! ni to przepraszam! — i ubawiony śmiesznym epizodem patrol ruszył na przedmieście Wieniawa. Szwadron zaś trójkami stępem jechał wzdłuż Saskiego Ogrodu, dzwoniąc podkowami o bruk. Dawno niesłyszany szczęk końskiego stępa. Przyjmuje nas Krakowskie - Przedmieście, pustka i milczenie. W oddali biegnie po trotuarze parę, jakby zaskoczonych wypadkiem osób i znika w bramach domów. A jednak, w miarę zbliżania się do placu z cerkwią, ze wszystkich przecznic występują ciekawi. Tworzy się wprędce zbiegowisko, a za placem rośnie już tłum. Miejscami kapelusz wyleci w górę lub okrzyk, w którym drży serce. Tężeje gwar i widać, że jakaś radosna swoboda ruchów ogarnia tych, co patrzą. Przed magistratem zsiadamy z koni i w tym czasie, gdy spieszona za rogatką lubartowską „szpica” z pod pomnika ułanów księcia Józefa ostrzeliwuje uciekających kozaków, nas oblega, zdaje się, wszystko, co żyje. Zaraz kwiaty, słodycze, natarczywa ciekawość i słowa, cała masa

słów, łzy i serce, które biło w piersi ludzkiej rytmem rozkołysanego przez nas dzwonu. W oczach tłumu było coś więcej niż wzruszenie. Słowa okrywały jakąś bogatszą, utajoną treść. Jakby ożyło podświadomie to nasze źródło idei i nasza tęsknota do Polski przejęła wszystkich. Niekiedy same obrazy sprowadzają Polskę z niebytu do serca. Wówczas przez każde wątłe piersi Polska zaczyna się stawać i może się stać. Był już na ulicach nie ciekawy tłum, lecz — zbudzona Polska. Przez nas ogarnęła lud, przez nas ujęła nici porozumienia do serc i myśli. My, ułani, dosłownie zdobyliśmy miasto. I na tem polegała wielkość faktu.

Teraz dopiero od ulicy Zamojskiej wjechał V szwadron. Szedł i nasz II-gi od rogatki Warszawskiej w pełnym ordynku, czaka bez pokrowców. Z magistratu, nawet z domów prywatnych wyciągano tymczasem jeńców. Gdy IV pluton szwadronu I-go wysłano spatrolować cmentarz, dywizjon zajął podwórze Szkoły Lubelskiej i tu rozłożył się niby biwakiem. Ułani wsiąkali w miasto, zawierali znajomości, odnawiali dawno zaniedbane przyzwyczajenia cywilnego, kulturalnego człowieka.

Wieczorem napływać zaczęła piechota austrjacka, a działa odezwały się już daleko za Elizówką.

— —, — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 31/VII przed dwunastą w nocy opuściliśmy miasto w kierunku na Dąbrowicę. Wzmagał się huk armatni, a w ciszy po rosie turkotał ogień karabinów. Przechodziliśmy do rezerwy piechoty (Kolonja Płonszowicka), rzuconej w bitwę pod Jastkowem. Czwartacy brali krwawy chrzest. Do Konopnicy ciągnęły szeregi wozów z rannymi. Lublin oglądał poraz pierwszy żołnierza polskiego we krwi...

Przypuszczam, że krył się jeszcze po kątach miasta i dygotał w echach boju nikczemny strach. Lecz obudzone przez nas serce polskie stukało do wrót myśli i sumienia, otwierało przyszłość, budząc pragnienie wolności. Ludzie starzy poczęli marzyć, młodsi, gdy chcieli, mogli czynić. Klucz polskiej mocy idzie sam do chętnych rąk. Tajemnica polskiego jutra staje się zadaniem jasnem, wykonalnem.

Jeno tęsknota jedna zwiąże dwa światy, którym na imię: My i Wy...

OSTATNI DZIEŃ PODPORUCZNIKA WYSOKIEGO.

Dnia 3/VIII, kiedy już ścichł Jastkowski bój, poderwano I-szy szwadron do pościgu. Nieprzyjaciel jednak uczynił tylko krok w tył, bo patrole nasze napotkały wszędzie silny opór. II pluton ppor. Wysokiego stoczył potyczkę w Piotrowicach Wielkich, poczem cofnął się do Jastkowa, gdzie nocował. Znów stanęły naprzeciw siebie dwa mury okopanej piechoty naszej i rosyjskiej. W nocy coś musiało zajść, bo rano dnia 4/VIII rzucono szwadron wprawo ku Dysowi i stąd na północ, jakby w jakiś wyłom. II pluton szedł na Majdan Krasieniński. Dostęp do wsi trzeba było zdobyć. Wyparci z zabudowań moskale, gęsto strzelając, ustępowali na las. Upstrzona stogami siana łąka nadawała się doskonale do odwrotu. Kupa kozactwa przebiegała od stogów do stogów. Polatywał za nimi wściekły trzask karabinów. Kule cykały w siano, niby ciężkie krople. Łąka mieniła się i żyła w tej gonitwie naszej z wrogiem... Ruch trwał dotąd, póki nie okryło ich lasu podszycie. Strzelanina wtenczas się wzmogła jeszcze bardziej, ale na moment. Nagle jak uciął — w zaroślach umilkło. Mając mimo to wciąż oko na opuszczoną przez nieprzyjaciela stronę, Wysoki pchnął patrol drogą leśną na północ — wywiad ku Dąbrówce, a sam z plutonem czekał.

Były przed nami lasy Samoklęskie. Zwykły polski trakt wrzynał się w nie piasczystą wstęgą w kierunku Kamionki. Tędy właśnie posunął się wywiad i wrócił. Pluton cicho dotarł do Dąbrówki, minął ją i jechał dalej. W tej chwili nawprost, pod Kamionką, aż zagotowało się od karabinowego ognia. To pluton I zaczepił linję rosyjską, wiążąc się z nią na bliski dystans. Wysoki wobec tego odbił od leśnej drogi

słów, łzy i serce, które biło w piersi ludzkiej rytmem rozkołysanego przez nas dzwonu. W oczach tłumu było coś więcej niż wzruszenie. Słowa okrywały jakąś bogatszą, utajoną treść. Jakby ożyło podświadomie to nasze źródło idei i nasza tęsknota do Polski przejęła wszystkich. Niekiedy same obrazy sprowadzają Polskę z niebytu do serca. Wówczas przez każde wątłe piersi Polska zaczyna się stawać i może się stać. Był już na ulicach nie ciekawy tłum, lecz — zbudzona Polska. Przez nas ogarnęła lud, przez nas ujęła nici porozumienia do serc i myśli. My, ułani, dosłownie zdobyliśmy miasto. I na tem polegała wielkość faktu.

Teraz dopiero od ulicy Zamojskiej wjechał V szwadron. Szedł i nasz II-gi od rogatki Warszawskiej w pełnym ordynku, czaka bez pokrowców. Z magistratu, nawet z domów prywatnych wyciągano tymczasem jeńców. Gdy IV pluton szwadronu I-go wysłano spatrolować cmentarz, dywizjon zajął podwórze Szkoły Lubelskiej i tu rozłożył się niby biwakiem. Ułani wsiąkali w miasto, zawierali znajomości, odnawiali dawno zaniedbane przyzwyczajenia cywilnego, kulturalnego człowieka.

Wieczorem napływać zaczęła piechota austrjacka, a działa odezwały się już daleko za Elizówką.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 31/VII przed dwunastą w nocy opuściliśmy miasto w kierunku na Dąbrowicę. Wzmagał się huk armatni, a w ciszy po rosie turkotał ogień karabinów. Przechodziliśmy do rezerwy piechoty (Kolonja Płonszowicka), rzuconej w bitwę pod Jastkowem. Czwartacy brali krwawy chrzest. Do Konopnicy ciągnęły szeregi wozów z rannymi. Lublin oglądał poraz pierwszy żołnierza polskiego we krwi...

Przypuszczam, że krył się jeszcze po kątach miasta i dygotał w echach boju nikczemny strach. Lecz obudzone przez nas serce polskie stukało do wrót myśli i sumienia, otwierało przyszłość, budząc pragnienie wolności. Ludzie starzy poczęli marzyć, młodsi, gdy chcieli, mogli czynić. Klucz polskiej mocy idzie sam do chętnych rąk. Tajemnica polskiego jutra staje się zadaniem jasnem, wykonalnem.

Jeno tęsknota jedna zwiąże dwa światy, którym na imię: My i Wy...

OSTATNI DZIEŃ PODPORUCZNIKA WYSOKIEGO.

Dnia 3/VIII, kiedy już ścichł Jastkowski bój, poderwano I-szy szwadron do pościgu. Nieprzyjaciel jednak uczynił tylko krok w tył, bo patrole nasze napotkały wszędzie silny opór. II pluton ppor. Wysokiego stoczył potyczkę w Piotrowicach Wielkich, poczem cofnął się do Jastkowa, gdzie nocował. Znów stanęły naprzeciw siebie dwa mury okopanej piechoty naszej i rosyjskiej. W nocy coś musiało zajść, bo rano dnia 4/VIII rzucono szwadron wprawo ku Dysowi i stąd na północ, jakby w jakiś wyłom. II pluton szedł na Majdan Krasieniński. Dostęp do wsi trzeba było zdobyć. Wyparci z zabudowań moskale, gęsto strzelając, ustępowali na las. Upstrzona stogami siana łąka nadawała się doskonale do odwrotu. Kupa kozactwa przebiegała od stogów do stogów. Polatywał za nimi wściekły trzask karabinów. Kule cykały w siano, niby ciężkie krople. Łąka mieniła się i żyła w tej gonitwie naszej z wrogiem... Ruch trwał dotąd, póki nie okryło ich lasu podszycie. Strzelanina wtenczas się wzmogła jeszcze bardziej, ale na moment. Nagle jak uciął — w zaroślach umilkło. Mając mimo to wciąż oko na opuszczoną przez nieprzyjaciela stronę, Wysoki pchnął patrol drogą leśną na północ — wywiad ku Dąbrówce, a sam z plutonem czekał.

Były przed nami lasy Samoklęskie. Zwykły polski trakt wrzynał się w nie piasczystą wstęgą w kierunku Kamionki. Tędy właśnie posunął się wywiad i wrócił. Pluton cicho dotarł do Dąbrówki, minął ją i jechał dalej. W tej chwili nawprost, pod Kamionką, aż zagotowało się od karabinowego ognia. To pluton I zaczepił linję rosyjską, wiążąc się z nią na bliski dystans. Wysoki wobec tego odbił od leśnej drogi

nieco w lewo, na północny zachód, bliżej do Samoklęsh, gdzie urywał się las a rozpoczynały łąki, stogi siana i kępy olch. Daleko, daleko jakiś dwór. Ubezpieczenie lewe z dwóch ułanów wypadło z zarośli poza ogromny stóg. Zasypał ich tu grad kul moskiewskich z łąki, z za kęp (koń raniony). Jeden ułan rozciągnął się natychmiast u podnóża stogu i strzelał, drugi zaś bez przerwy nabijał broń swoją i kolegi. Nieustanny ogień jednego człowieka dawał złudzenie jakiegoś oddziałku. Kule musiały przytem zmacać nieprzyjaciela, bo coraz podnosił się któryś i chyłkiem uciekał. Zostaliśmy panami placu. Z tryumfem podniesiono zgubioną przez moskali szynkę i zabrano jako łup. Humory były doskonałe. Sypały się żarty, huczał po szeregu zdrowy młody śmiech. Bucha tak zbytek życia i siły, wyzywa swój los...

Powróciwszy na dawną drogę, udaliśmy się teraz wprawo, na północny wschód. Las rzedniał, malał, aż przeszedł w nikły zagajnik, wreszcie zupełnie sczezł u wylotu w pole. Pluton zostawił konie wśród drzew i tyraljerą spieszoną zajął bezludny folwark Kozłówek. Później dopiero podprowadzono konie, rozkiełznano, rozpoprężono, zarzucono im siana. Spoczynek. Głód nam dokuczał. Była coprawda szynka, ale na tylu ludzi — mało. Szczebiot smyrgających po podwórku kurcząt obudził myśl. Zaczęła się rzeź niewiniątek. Wtem runęły przy czworakach dwa granaty, potem więcej, a potem zabębnił po dachach deszcz szrapnelowych kul. Moskale bili z dział na folwark. Kto żyw do koni, podciągać popręgi i munsztuczyć. Wnet zawrzał i ogień karabinowy. Zprawa widać było, jak okopywał się oddział 4 p.p. Pieszy patrol z oficerem na czele wnikł do naszych zabudowań. My rejterowaliśmy pośpiesznie na las. Już byliśmy w zagajniku, gdy krzyknął ktoś: „Szynka zapomniana!" Nie do darowania! Kopnął się jeden i przywiózł ją z pod kul. Do tego czasu patrol piechoty, który zajął folwark, zdążył mieć kilku rannych. W lesie dopadł nas galopem łącznik od por. Skotnickiego. Rozkaz: zostawić konie, wyjść pieszo z lasu, minąć okopy i pomóc plutonowi I-mu, który wysforował się ogromnie naprzód i, związany ogniem z okopaną linją nieprzyjacielską, nie mógł się wycofać.

Poszliśmy. Zboże zżęte stało w snopach i w mędlach. Nieprzejrzane pole biegło pozłocistą równią rżysk het, gdzie wyścibiały się z tła osamotnione grusze. Był pod niemi nietylko cień, lecz i dziwna cisza. Zdawało się tu, w tem za-

mroczu drzewin, że nieznośny trzask karabinowego ognia oddala się, zamiera i drga już tylko słabo we wspomnieniu. To było złudzenie. W ściernisko bowiem tłukł żelazny deszcz coraz celniej, coraz goręcej. Rozpoczęło się zwykłe odgryzanie przy odwrocie, gdy jedni się cofają, a drudzy strzelają za dwuch. Powoli, pojedyńczo, byle bliżej do lasu, byle w las... Pluton Wysokiego był teraz ostatni. Tyraljera gięła się ślicznie i szła krok za krokiem. Tu i tam rypały pociski armatnie w zagony, w brózdy i w snopy. Przeciągły jęk pękających szrapneli... Zwisło nad nami całe pasmo białych pierzastych chmurek dymu. Już las. Znikano w nim, odrywając się od linji po jednemu. Ostatni w plutonie schodzili wachmistrz i dowódca, Tatar i Wysoki. Nie obyło się bez powszedniej w takich razach rycerskiej certacji u wrót bezpieczeństwa.

— Idź ty, pierwszy.

— Nie, idź ty.

— No, to chodźmy razem.

Ale razem nie doszli. Pomiędzy drzewami prawie, na skraju lasu, dosięgnął Wysokiego szrapnelowy „zegar", zgniótł lewą część głowy, strzaskał ramię. Kawał metalu, z którego żołnierze robią takie ładne polowe pierścionki... Buchnęła krew na mundur, na ziemię... Rzucił się ułan Kęcki, żeby przynajmniej unieść trupa z niemilknącego ognia. Chwycił za dłoń, pociągnął. Zgroza... Ręka oderwała się od tułowia, jak glina. Porwał tedy za nogi i zawlókł w krzaki. Rozbita głowa ciągnęła za sobą po trawie kałużę gęstej, krzepnącej krwi...

Na żerdziach odniósł pluton ciało do wsi Biadaczki, gdzie leżało pod wartą honorową do 6/VIII. Trumna, pogrzeb — w Lublinie. I akurat wiadomość, że Warszawa wzięta. Potoczyły się zdarzenia nowe, niepamięć rzeczy minionych i ludzi.

W mroku przeszłych faktów tylko sława polatuje od krwi do krwi. Na dawnych grobach siada ptak zapomnienia i liczy ostatnie godziny nocy.

Nieutulone czyjeś łzy obeschną...

PRZEZ WIEPRZ NA PODLASIE.

Dnia 7/VIII przełamano znów linję rosyjską. O godz. 11 przed południem opuściliśmy kłusem Biadaczkę. Zbiórka dywizjonu (trzech szwadronów) na folwarku w Samoklęskach. Szliśmy stąd ostro w kurzawie i słońcu, wysuwając się z zarośli na otwarte pola dwójkami w dystansie kilku kroków. Nie miał już szwadron jednolitej barwy i linji mundurów i czak. Sterczały gęsto kurteczki rekruckie, sportowe czapki i lekkie angielskie siodełka. Przez plecy przewieszony Colt albo Winchester. Śmiały się oczy do tego bojowego sportu, przejażdżki konnej w pościgu za wrogiem, mozolnego używania i nędzy. To oni, nowi. Wstali i przyszli zwyczajnie, jak powstaje odruch, jak porywa się młodość z piwnicy, by zaczerpnąć wolnego tchu w przestrzeni. A my? Każdy nasz krok, niby gwałtowne uderzenie skrzydeł, otwierał podziemia, wyszarpywał sny i ludzi, czynił jawę...

Szarpany front powyginał się tak, że odgłos bitwy szedł ze wszystkich stron. Dokoła nas kipiało. Coraz bliżej — bliżej. Warkot karabinów buchnął nagle ztyłu. Bój taczał się w jakichś śmiertelnych drgawkach tam i sam, przewalał się, gasł, potężniał. Chwilami odzywało się głuche rzężenie armat. Było coś przerażającego w tem nierównem tętnie walki, jakby zmaganie z męką i śmiercią.

Miasteczko Kamionka. Domy się palą. Dym wypełnia uliczki. Przedzieramy się przez ciężką gryzącą chmurę na rynek. Budynki tu ocalały. Gromada wystraszonego żydostwa przylega do ścian. Biegnie wzdłuż murów gwar szwargotu i niszczycielski trzask ognia. Wypłynęły nasze czaka nagle z dusznego obłoku. Rozległ się szczęk kopyt końskich

na bruku. Jest i woda! Można wreszcie zanurzyć całą twarz w wiadrze i pić pełnem, spragnionem gardłem, dosyta... Moskale cofają się za kamionkowski las. Dosięgliśmy naprzełaj skraju, gdy oni wpełzali chyłkiem w zagajnik poza nędznem, piasczystem poletkiem. Szwadron nasz wypadł za nimi tak szybko, że artylerja nie mogła się zorjentować, kto my, kto wróg. Gruchnęły tuż austrjackie szrapnele, ale wzięliśmy już wielki pęd, więc nie zgoniły. Deszcz kul siekł tylko łyse zagony wciąż za nami — za nami. Gaik tymczasem przeszedł w olszynę, rozwarł się nad podłużną bagnistą łączką i dopadł niskorosłemi kępami krzewin do boru. Ruszyła ława jeźdźców na bór, lecz nie dotarła. Wzmożony ogień rosyjski zmusił do poniechania ataku wprost. (Jeden koń lekko ranny). I i II plutony zaczęły wobec tego obchodzić flankę nieprzyjacielską zlewa na wieś Ciemne; III i IV — zprawa lasem na Sobolew.

Pierwszy półszwadron jednym zamachem wygarnął moskali ze wsi. Nie oparli się aż w odosobnionych obejściach pobliskiej samotnej kolonji. Nastąpiła gorąca wymiana strzałów z za płotów i chat. Kule cięły w gęstwę sadów, siekąc listowie i gwiżdżąc zjadliwie śród drzew. Tyraljera ułańska przesuwała się naprzód powoli, ale stale, z uporem człowieka, który zacisnął szczęki i musi, żeby tam nie wiem co, dokonać tego, czego chce. (W jakiejże to szkole nauczyliśmy się takiego uporu?...) Były chwile, kiedy żywość huku — dudnienie niby mnóstwa cepów na boisku — mdlała lub zgoła nagła zapadała cisza wzdłuż całego krańca zabudowań. Moment wzajemnych posunięć. Zato środek wsi wrzał wtedy rumorem i krzykiem. Stłoczone wozy uciekinierów z rzeczami i dobytkiem zrobiły nielada zator. Jedne próbowały ruszyć, inne zaś wracały. Pisk kobiet i dzieci, ryk bydła, — pogłos gonionej niedoli i klęski. Szukanie kryjówek w podziemiach domostw i w głuchych, jak piwnica, kątach sadów. Gospodarze — tułacze... Patrzyli na nas z niebywałą ufnością, pytali, wyzbywali się trwogi i paniki. Spotkały się oczy bierności i czynu. I odnajdywaliśmy się w niebezpieczeństwie instynktem przedziwnym, my i lud. Wnet kobieciny darzyły żołnierzy polskich świeżo udojonem mlekiem.

Drugi połszwadron zajął Sobolew bez wystrzału. Wysłany do Ciemnego patrol z siedmiu ułanów pod wachm. Strzeleckim nawiązał łączność z plutonami w ogniu. Potyczka przybrała charakter ostry i uparty. Nieprzyjaciel trwał na

obsadzonem stanowisku i nie cofał się ani na krok. Można go było wyprzeć tylko przewagą liczebną karabinów. Właśnie nadchodził, zpoczątku luzem, ubezpieczeniami, a później kolumną II p.p. (obecnie V p.p.) i Austrjacy. Ściągała też piechota i do Sobolewa: honwedzi i karabiny maszynowe. Wtem wedety rzuciły wiadomość, że zbliża się przeciwatak rosyjski dwiema kompanjami conajmniej. A było to już dobrze po południu i bój pod Ciemnem już się był uciszał.

III szwadron osadził natychmiast pęd nieprzyjaciela i sparaliżował go szybkim ogniem tak, że za nic nie mógł wyjść z lasu, by zagiąć linję ataku na wieś. III i IV plutony szwadronu I-go przedłużyły prawe skrzydło III-go. Niezapomniana droga!... Nasi leżeli rozluźnionym łańcuchem w brózdach kartofliska i w rzadkim, skąpym owsie. Kule darły nać i ze wściekłym sykiem kęsały kiście zboża tuż u ich głów, dokoła. Zagon cały trząsł się i parskał piachem. Wiew naszych wystrzałów rozkolebał łan. Latały po nim wartkie śmiertelne pokosy. Trzeba nam było biec wzdłuż tego szarpanego przez kule łańcucha zupełnie naprawo, dalej za spokojną jakąś maćkową gruszę i zapaść w zieleń łodyg. Długi przyziemny rząd szarych czak (są i sportowe czapeczki), długi przyziemny rząd żywych serc i myśli i jedna jedyna wola...

Nie dotrzymali. Zielone, zmięte jak szmaty, cienie umykają ze skraju w głąb. Zrywamy się — hurra! — na las... Paręset kroków biegiem wślad aż do poręby, gdzie stanął, jak mur, gęsty zagajnik podszyty brzeziną. Rozkoszne polowanie! Strzelamy w skoku, niby do zajęcy, póki nie znikną w gęstwinie. Pędem niemal patrolujemy porębę i zagajnik, poczem zziajani, ostatnim tchem dopadamy do krańca lasu. Otworzył się widok na nową wieś (Anielówka). I znów ogień, który teraz nas zatrzymuje na miejscu. (Raniony kapral Wendorff Stefan z III-go szw.). Moskale za chałupami, w chałupach i na strzechach. Zciemnia się. Zmierzch rozpełzł się przedewszystkiem po lesie, skrył naszą linję i płynął stąd na pola. Krwawił tylko gdzieś rąbek nieba, czy może pożar. Kule szły rzadko, jakby leniwie, i gdy ptactwo umilkło, same świegotały w gałęziach przeciągle, niby do snu. Zanocowaliśmy w Sobolewie przy chmurzącem się już niebie i przy matowo-złotym odblasku dalekiej łuny. O północy jednak przeszliśmy do Ciemnego. Dopiero lunął deszcz...

O trzeciej rano, ledwie konie zdążyły zjeść, wymarsz (8, VIII). Deszcz jeszcze pokapywał, ale niebo się przecie-

rało i wstał nie dżdżysty, choć chmurny dzień. Od miasteczka Rudna, gdzie stał sztab I Brygady, rozsunęliśmy się tak szeroko, jak to bywało w sandomierskich czasach. Kierunek na Wieprz. Wieści o nieprzyjacielu takie: albo przeprawił się za rzekę, albo jeszcze nie. W Michowie daliśmy koniom spocząć, wystawiwszy pikiety na szosie do Baranowa. Kraj to był prawie płaski, pełen piachów i sosen, porznięty kolejami żmudnych polskich dróg bez kresu. Częściej spotykaliśmy ciemne, posępne lasy. Sadyby opuszczone, głuche, ani żywej duszy, ani psa. Przytuloną do boru wiosczynę Meszno pożarł płomień. Piecowiska sterczały dziko, niby kolumny nie mające co wspierać. Tliły się jeszcze rumowiska. Pierzchał z nich nikłemi pasmami dym. Wiatr rozdmuchiwał popioły gorące i niósł w pole groźny swąd pogorzeli. Cisza na zgliszczach miała w sobie jakiś niewymowny krzyk, jak przysięgę wewnętrzną, jak niezłomne postanowienie. Były to bowiem miejsca, gdzie wojna najmocniej wgniotła swą ognistą, krwawą pięść zniszczenia. Stąd do rzeki, jak strzelił, obszerne równe pole, opierające się zlewa o Żagość (Budzyń), zprawa o Skłodów. Myśmy szli na Żagość. Pluton III-go szw. dojeżdżał do Skłodowa z jednej strony, z drugiej — jakiś patrol ułanów austrjackich. Kozacy krotko bronili wsi. (Zabity ułan Stetkiewicz Franciszek z III-go szw., raniony ułan austrjacki). Przerzucili się zaraz na drugi brzeg do Blizocina i stamtąd sięgali nas ogniem. Daleko — daleko wzdłuż rzeki biegła żółta wstęga okopów. Czy nieprzyjaciel, wyparty stąd, tam się myślał oprzeć?

Dość było na dzisiaj. Rozgospodarowaliśmy się najspokojniej po lewej stronie Wieprza, w Żagościu, na noc. Wysłano tylko meldunki sytuacyjne do sztabu Brygady, który wciąż jeszcze stał w Rudnie. Wieczorem przeciągać zaczęła piechota i artylerja niemiecka, na drugi dzień (9/VIII) od rana honwedzi. Mrowiła się okolica od wojsk. Nieprzerywaliśmy więc postoju do popołudnia.

O godz. 4-ej przeprawiliśmy się brodem przez Wieprz naprawo. Szwadron cały posuwał się nieco w górę rzeki tak, że pluton IV miał wciąż brzeg po prawej ręce. Pozostałe trzy rzucono wlewo, mniej więcej jednak z kierunkiem na wieś Przytoczno. Gdzieś na tamtym brzegu bębniła artylerja, ostrzeliwując Łysobyki. Wracał od tej strony patrol jazdy pruskiej mocno poszczerbiony. Według wszystkich relacji moskale z karabinem maszynowym zasiedli w miasteczku. Ruszyliśmy

niezwłocznie naprzód, za nic sobie ważąc ostrzeżenia słowne. I wjechaliśmy — gładko i cicho. Równocześnie po niedopalonych dylach mostu przełaziła nasza piechota, a saperzy podjęli zaraz robotę. Dym wywłóczył się strugami z płonących domów na opustoszałą, niby wymarłą mieścinę. Ogłupiałe świnie i drób chodziły po rynku i ulicy, od ognia do ognia, bezdomne. Wszędzie rozbite kufry z odzieżą i pościelą, moc porzuconych gazet i książek. Nasza „wiara" schwyciła zaraz za druki i nuż czytać byle co, jak z głodu. Nieznacznie spływała noc i saperzy dobrze już o zmroku kończyli naprawę, gdy my, ominąwszy palący się drugi most na trakcie, dążyliśmy ku Przytocznu i dalej. Za szosą Dęblin — Radzyń reszta szwadronu była już w kontakcie z nieprzyjacielem. Głuchy po nocy łomot karabinów dygotał w echu daleko i długo. Niespodzianie na skręcie drogi zajaśniały przed nami olbrzymie oślepiające pochodnie pożarów. Tuż pod drzewami w mroku stały konie. Spieszeni, zwiększyliśmy tyraljerę szwadronu i wyszli na ognie czterech wsi. Dwie prawe gorzały, jak latarnie. Bezdymny płomień szalał, niby złoty smok. Tryskały kaskady srebrne; krwawy pióropusz, chwiejąc się, bódł czarność nieba. Dwie lewe dymiły wulkanicznie. Rude i białe słupy biły w górę podobne do wielostrużystej ciężkiej fontanny. Rozwidniło się na parę wiorst. Tak odchodzili moskale... Zaraz spatrolowaliśmy Charlejów. Daremnie oczy wrzynały się w przestrzeń. Nie widziały nic. Odblask ognia towarzyszył wciąż ubezpieczeniom, które rzucały w bok ogromny cień centaura. Za Charlejowem, do Budzisk, gdzie łuna nie sięgała, ciemność jeszcze większa. Ani na krok. Jakby rozlana była w powietrzu gęsta, nieprzenikniona ciecz... Nie wiedzieć, jak konie zmacały trakt i nie pozapadały w rowy. Nareszcie domy. Ozwały się psy, wyjrzeli ludzie. Na podwórkach znów wozy uciekinierów z popalonych osiedli. Umknęli watahom kozackim, które ich garnęły ze sobą. Pierwszy to raz zdarzyło nam się być w przeludnionej wsi, śród tylu mieszkańców. Przyjmują nas jak zbawców. Odpędziliśmy od nich widmo Rosji, obczyzny, tułactwa i nędzy. Z jaką rzewną uciechą i podziwem radosnym poznają nasze, „swoje" wojsko... Przyjaźnie patrzą w oczy, ostrzegają, udzielają troskliwych rad, jak starzy gospodarze młodym przy pracy parobczakom. Była w tem nietylko serdeczność, ale ziszczenie pragnień, snu, legendy. Przyjdą, odwaliwszy z piersi górę niewoli, i obudzą... Tak. Budzimy w nich polską duszę.

Świadomość tego piersi rozpiera niebywałą ochotą i poczuciem siły. Więc tu nasza narodowa więź. Przebudzenie nas łączy, spaja na moc, tworzy piękno czynu. Jest tak, jakby nasze zapalne głowy rozżarzały zgaszone węgle wolności, całe pokłady drzemiące po wsiach. I zdaje się, że to, cośmy brali w chwilach zwątpień za popielisko, wybucha pożarem, nową twórczą epoką. I zdaje się, że ten pożar serc przepali już do cna starą polską nikczemność...

O 3-ej rano byliśmy z powrotem w Przytocznie. „Nocleg". Ledwie-że żołnierz zdążył rozkulbaczyć konia, przetrzeć wiechciami, zarzucić siana, upaść na wiąchę słomy i zemknąć powieki, gdy o 4-ej zawołano do siodłania i wyjazdu (10/VIII). Zapadliśmy narazie w typowy bór podlaski, płaski i smutny, a długi, jak nieszczęście. Zdala od dróg pobudowali sobie wieśniacy ziemianki i siedzieli tam z rodzinami, niby przedwieczni mieszkańcy ziemi w pieczarach. Wyzierały z tych dołów i lochów płowe głowiny dzieci, wylegała tłumiona polska mowa, jak zduszony szept. Istniały przemyślne schrony dla bydła i całego dobytku. Mieszali się tu i zostawali, by się poddać, żołnierze rosyjscy, przeważnie Polacy. Braliśmy jeńców aż do samej wsi Pieńki, miejsca chwilowego postoju sztabu Brygady. Nie mogliśmy jednak długo zażywać wczasu. Moskale czynili pospieszny odwrót bez utrzymywania linji. Trzeba było deptać im po piętach i szarpać cofających się to tu, to tam. Jak tylko żywe, giętkie kolumny piechoty i artylerji naszej zatrzymały się w Rudzie, raczej na czarnych ruinach wsi, jazda poszła naprzód. Na rozkaz Dziadka, IV pluton I-go szw. pod ppor. Lewińskim rzucił się pod Oszczepalin. Nieprzyjaciel kończył właśnie się okopywać i już był odrutowany. Zostawiliśmy konie w lesie i w kilkunastu chłopa z karabinkami w garści tyraljerą na wywiad pod okopy... Widać, jak wszystko wybiega z rowów, składa kolumnę i ucieka. My do koni i — ławą... Nagle zachichotało powietrze i rymnął ciężki granat rosyjski za nami, podrywając czarny słup ziemi i dymu. Drugi, trzeci... Odgrodziła ich od nas żelazna ściana pocisków. Zawróciliśmy wlewo, w las i, zasłonięci, podsunęliśmy się bliżej na jakie trzy tysiące kroków. Ale i tego jeszcze zadużo dla skutecznego ognia ręcznej broni kawaleryjskiej. Oddalali się więc spokojnie długą, szarą kolumną.

Pomału dywizjon ściągnął na folwark Zofjówka, gdzie popuścił koniom popręgi i spoczął. Wnet nadeszła Brygada.

Wieczorem przeniesiono nas do Chordzieszy. Piechota zaczęła się przed wsią na noc okopywać. Nazajutrz (11/VIII) o godz. $1^1/_2$ po połdn. pomaszerowaliśmy już jako rezerwa dywizji w odległości od linji, razem z niekończącemi się łańcuchami taborów. Stawaliśmy zwykle na noc, poczem ruszaliśmy w miarę tego, jak odnosiła sukces pierwsza linja. Hermanów, Kolonja Ciężkie pod Łukowem, — niedaleko Brześć. Teraz dopiero obległy nas tęsknoty, niby ptaki ciszą przywołane. Poczęły się snuć marzenia o stolicy. Mijaliśmy zaścianki szlachty chodaczkowej, zaciszne Kępki, w zieleni sadów Brzostowiec, dworzyste Jurki, — a przecież nie odstępowała nas jedyna myśl o Warszawie, jak niezapomniana pieśń z trudów i krwi. Musi się stać żołnierski sen, skromny tryumf: zdobyć serce Polski tym właśnie pyłem na obuwiu i mundurach, strzępami, tym mozołem, który oblepił twarz potem i kurzem... Darliśmy się do niej długo poprzez okropny las zmagań i bezbrzeżne pole śmierci. A oto teraz przemarsz nasz zdala zasypywany jest lotnym piachem Podlasia, smutnej ziemi krzyżów i mogił. Drehlów, Żerocin. Rozstajne, miękkie drogi stratowane uciskiem. Rozpięta na nich po wiek wieków krzywda katowanego ludu. Drży jednak po zakątach pól, w najgłębszych ostępach, niezmożona siła, tajemnica narodu...

Dnia 15/VIII przeprawiliśmy się przez Bug w Grodzieńskie za Niemirowem. Zacięły się usta, a oczy patrzyły w głąb, daleko...

OD STOCHODU PO STYR.

I.

Po przejściu na Ruś zaczęliśmy dziwnie smutny okres wojny. Jakby legł na nasz szlak cień oddalającej się stolicy... Nikt, jak my, nie odczuł tej straszliwej próżni, w którą zapadaliśmy z każdym dniem i z każdym krokiem. Ten, co za nami miał stać, naród, gdzieś się zapodział... To nie polityka — to zmora. Tężały nam twarze od tej świadomości, a piosnka ułańska, ta brawura gestu i echo czynu, umilkła. Czy śpiewał kto, idąc przez Bug, za Włodawą?... A przecież czekała nas akcja niebywale ciekawa, rzetelna kawaleryjska robota, pełna impetu i samodzielności. Nieprzyjacielowi zadano okropny cios pod Łuckiem. Gros sił runęło na wchód, ale tylko jednym kowelskim traktem. W całej puszczy pozatem zaszył się wróg, najlotniejsze oddziały jazdy i artylerji, i debuszował. Tutaj więc rzucono całą I Brygadę i nas. Myśmy mieli być najdalej wysuniętą czujnością, baczną pikietą śród lasów i błot, okiem i słuchem. Przeszła tędy na północ, może na Kobryń, 11-sta dywizja kawalerji austrjackiej szybkim przemarszem. Ale tylko przeszła. Byliśmy na całym obszarze jedyną kawaleryjską bronią i jedynym konnym wywiadem. Trzy polskie szwadrony!...

Pod Kopytowem, w pochodzie z Grodzieńskiego na Wołyń, uzupełnili nas nowi ochotnicy z Lubelskiego, Podlasia i Warszawy. Nowozaciężny ułan miał przebyć szkołę wojenną wraz ze starą wiarą. Jechał tedy bez żadnych wstępów na patrol, szedł odrazu w ogień i tak pisał sobie każdy rekrut chlubną kartę wojskową czynem i pracą. Budziła się

dziedziczna w krwi fantazja, rósł w doświadczeniu twardy żołnierz.

Przejście do działalności ze spokojnych marszów odbyło się prawie nieznacznie. W pierwszych dniach września kluczyliśmy jeszcze między wielkiemi jeziorami Świciazią i Pulmą. Dnia 5/IX w południe byliśmy w Lubomli, a już wieczorem dotarliśmy szwadronem do Wygnanki. Padał deszcz. Zmierzch obłóczył wieś i nieprzystępne ciemne sady. Schodziła zimna mokra noc. Plutony rozsiodłały konie, czwarty zaś ruszył patrolem na Czernoplesy i Rudniki, żeby zasięgnąć języka. Wszędzie ludność — moskali nie widzieli od czterech dni — jednak przed Turją są z pewnością... To wszystko. Szwadron spokojnie nocował w Wygnance z wyjątkiem III-go plutonu. Ten w sąsiedniej wsi. Do samego rana siąpił deszcz. Drogi rozmiękły w jesienne lepkie błoto i bajora jak oparzeliska. Nazajutrz wypadł nam krótki postój za dnia w Horodyszczu. Uśmiechnęło się słońce z poza ciemnych chmur, zaszkliły kałuże i nikłe w piasku strugi. Niby powrót lata... Cała sieć dróg i ścieżyn biegła stąd poprzez soczyste podmokłe łąki w zagaje i las, jak wielorakie długie palce, które rozgarniają gęstą kędzierzawą zieleń drzew. Szwadron rozpłynął się wszerz po tych wąskich kolejkach traktów, ciągnął zdrobniałemi niteczkami szeregu, wsiąkł w przestrzeń. Trzy plutony szły na Obłapy, IV z prawego skrzydła na Myślinę. Rzucone z Horodyszcza różnemi szlakami, miały jednocześnie uderzyć w jeden punkt. Marsz rozwijał się cicho na zwyczajnem tle leśnego życia. Gwarzyło ptactwo, szumiał bór, miło parskały konie... Daleko wysunięte wprzód, wzmocnione „szpice" darły się przez ciemne, splątane drożyny, a osłony boczne zapadały w bagno po brzuch. Zestrachany koń spuszczał nisko łeb, węszył i chrapał, nie chcąc wyjść na zdradną zawilgłą polanę. Ubezpieczenia flankowe dojeżdżały wtenczas szybciej do „szpicy", by się znów rozsunąć na terenie suchym. Tak wciąż, niemal rytmicznie. Wytwarzał się nowy system prowadzenia osłon: „dobiegowy", zwiększała się samodzielność żołnierza, ostrzył zmysł orjentacji wywiadowczej. Obie wsie wystąpiły nagle, jak zjawisko, przy białej wstędze kowelskiej szosy. IV pluton obsadził i ubezpieczył forpocztami Myślinę, reszta szwadronu zaczaiła się gdzieś w zaroślach od strony Obłap. Niepewne pikiety kozackie ściągały pospiesznie do wsi, ale jeszcze miejscami, nawet tuż przy szosie chwiały się w krzakach papachy i stały nieruchomo czarne burki. Ułani

jeżdżący między naszymi oddziałami dla nawiązania łączności, musieli przedzierać się przez ogień wrogich posterunków. Patrol rosyjski, z pół plutonu, probował drogi do Myśliny, lecz po krótkim ogniu dał spokój i wycofał się z powrotem przez las na Obłapy. Tam przywarowali cicho niewiadomo w jakiej sile. Pukały tylko osamotnione strzały wedet.

Szwadron mógł uderzać wprost. Zato pl. IV, kiedy chciał flankować zprawa, ugrzązł w bagnie. Trzeba było, zostawiwszy 5 ułanów na załodze w Myślinie, pomykać suchą steczką na skraju zarośli, żeby mimo wszystko uskutecznić manewr. Wtedy pl. II ruszył od szosy, a tamte lewym skrzydłem. II-gi spadł na wieś najwcześniej, wyrzucił kozaków z za pierwszych chałup i parł ich dalej na wschodni kraniec. Wywiązała się ostra i żwawa potyczka. Legł ciężko ranny nowozaciężny ułan Wiśniewski. Ogień rosyjski trzepotał gwałtownie, jak ptak skrzydłami, gdy go duszą. Oddział ich cały ściśnięty przez nas ostatecznie wyprysnął ze wsi i znikł w lesie.

Uciekała też przed nami wroga ludność. Żadnych nie dało się wydębić zeznań. To samo w kółko, że moskali nie widzieli, i to samo nienawistne spojrzenie. A równocześnie ukrywali po domach kozaków i przeprowadzali, jak mogli. Niebezpiecznie było zapuszczać się samemu pod strzechy sadyb. Musieliśmy stać z Rusinami na stopie wojennej. Miły wyjątek polskie przedstawiały osiedla, wszystkie Majdany, albo jak tu — Myślina. Dziwnie samotna wyspa szaraczków, w całości prawie własność „panów braci" Myślińskich. Stary w zagrodzie obyczaj, jak dziedziczny obrazek Panny Częstochowskiej, i nieposzlakowana polska mowa. Czem się żywi tradycja i uczucie na tem bezpolskiem odludziu? Jaką nadzieją? To już jest tajemnica rodzin rzuconych w ruskie morze.

O zmroku ściągnął szwadron tutaj, do tej polskiej wsi, i przenocował obstawiony zdwojonemi czatami. Deszcz lał bez przerwy. Wedety i ronty mokły do ostatniej nitki. Najgorzej jednak to, że miękkie drogi puchły i rozpływały się w oczach. Zostaliśmy bez furażu i prowiantu, bo bez dowozu. Trzeba było stosować nie z dobrawoli napoleońską zasadę — życia kosztem kraju. Od samego rana zaczęliśmy rekwizycję w opustoszałych Obłapach. Dojeżdżali tu i dziś kozacy, lecz przepłoszył ich ogień pikiet I plutonu. Gdzieś od strony Kowla wybuchł pożar. Zmiarkowaliśmy, że nieprzyjaciel ze wszystkich stron. Postęp nasz mógł być tylko sze-

regiem drobnych ciosow naprawo i lewo. Rzutkość zaczepnego działania miała osłonić nieproporcjonalną szczupłość sił.

Równo ze świtem dn. 8/IX dołączył do nas szwadron II i III. Odmaszerowaliśmy w stronę rzeki Turji. Jakoś w parę godzin potem wywiązała się strzelanina. To drugi szwadron rozpoczął z kozakami walkę o Niesuchojeże. Atak odbył się podobnie jak w roku 1915 na Kunice. Galopem na obsadzone miasteczko, żeby spieszyć się i rzucić na moskali w opłotkach pieszą tyraljerę... Gryziono się o każdy sad, który Rosjanie potrafili wyzyskać do zaciekłej obrony. Palba karabinów targała się śród zabudowań tam i sam, niby ruchliwa głośna fala. IV pluton I-go szwadronu przedłużył zawieszone w próżni lewe skrzydło od wsi Łapni. Punktem oparcia ogniowego wypadu był tu położony na wzgórzu wiatrak i krańcowe domy. Moskale w kolumnach cofali się już na las za rzekę, rejterował z miasteczka ostatni łańcuch tyraljerski chyłkiem przez zarośla. Ścigał go, macając krwawo, nasz ogień. Straty były nieznaczne (ranieni: Rusiek — I szw., Ludo — II szw.).

I-szy szwadron przesuwa się teraz wlewo do Grabowa i w nocy nawiązuje łączność z III-im, który po krótkiej walce (śmierć Stępnia) zajął Serachowicze. Jak trudne było utrzymanie łączności, niech świadczy fakt, że w Grabowie nocowali kozacy i my. Podchodzili i napadali nasze forpoczty. Patrole czmychały przed nami niespodzianie z niejednego obejścia. Byli oni wszędzie, za każdym węgłem i na każdym kroku, czy zabłąkani, czy w podsłuchach. Według zebranych informacyj mieliśmy przeciw sobie pułk jazdy rosyjskiej z artylerją.

I pp. podciągnął tymczasem bliżej i stał, dla nas jako podstawa i oparcie, w Niesuchojeżach i Grabowie. 9/IX dostaliśmy odeń amunicję, nasza bowiem w ciągłych utarczkach była na wyczerpaniu. Wszystkie szwadrony skupiły się w Serachowiczach — ogromna nad jeziorem wieś. I szy szwadron zajął obszerne dworskie stajnie i już następnego dnia uczynił wypad za rzekę Turję pod Mielcami. Dwa plutony przeprawiły się na drugi brzeg, I-szy został w Zaprudju, IV-ty zapuścił się kilka kilometrów wgłąb, do Soszyczna Tutaj strzelał do jednego patrolu rosyjskiego, pod Kaczynem do drugiego. Wreszcie skonstatował, co najważnjejsza, że sroższy niż Moskwa nieprzyjaciel — cholera grasowała po okolicznych wsiach. Ludzie tłukli się dwiema przestraszonemi falami:

uciekinierów i powracających, a w stłoczone gromady choroba zapuszczała szpony i rzucała trupy. Kozactwo myszkowało jeszcze po lasach, ale bojaźliwie i raczej w odwrocie,

Dnia 12/IX o godz. 7-ej rano wymaszerował dywizjon przez Grabowo, Łapnie, Niesuchojeże do Stobychowki. Zapadaliśmy w coraz dziksżą puszczę, w nieprzerwany gęsty bór, w nieznane dotąd ostępy i knieje. Nie było dróg, lecz manowce nawodnione i bieżące, niby leśne strumyki, albo wątłe na bagnach groble i wąskie z bierwion kładki. Osłony boczne nic nie mogły zdziałać, nawet dobiegowo. Tyle tylko, że przeszkadzając, las z błotem nas również krył i zabezpieczał. Zmienna pogoda zajaśniała słońcem po dniach nudnej pluchy Zadymił bór żywiczną wonią, zapachniały wrzosy. Wkroczyliśmy na dziwne usypisko, gdzie szczerzył się piach z pośród mchów i z pomiędzy krętych, jak żmije, sosnowych korzeni. Było tu wyżej niż dotąd, jakby wysoki próg spadający tuż w bagniste ponadrzecze Stochodu. W taki dzień złoty dotarliśmy właśnie do Lubarki. Słychać było niedaleko na wschodzie głuchy, niby przedzierający się przez las, łomot karabinów. Ruszył więc zaraz na Stobychwę, skąd szedł głos, pluton II-go szwadronu. IV-ty pluton I-go dociera do maleńkiej nadbrzeżnej wioski, Zarzecza, i wystawia forpoczty przy kładkach w obliczu obsadzonej przez moskali Bereźnicy i na drodze do Smolar. W całej wsi — chłop kaleka i prawie niemowa. Cisza i nędza opuszczonych siedzib. Dolata tylko z Bereźnicy ryk bydła i krzyki. Nalewo bucha słup dymu: Stobychwa się pali. Cerkiew stojąca wyniośle na wzgórzu ma za tło czarną chmurę pożaru... Było to już w parę godzin po brawurowym patrolu ppor. „Franka" Gibalskiego na miasteczko, którego zdobycie przypłacił krwią i własnem życiem. II-gi szwadron improwizuje wprędce naprawę dwu mostów na rzece, poczem dywizjon idzie przed wieczorem do Stobychwy. W Zarzeczu nocuje jeden pluton III-go szwadronu.

Dzień 14 września. Kłębiły się mgły nadbagienne, włóczyły o świcie białe pasma oparów. Wedeta nasza, ciemna w rozbrzasku i nieruchoma, jak słup, stała przy samym stromym spadzie, prawie nad topielą. Lśniły tam w dole, śród niskich a kudłatych krzewin, tafle wody, bieżącej krętym chodem stu kapryśnych ramion i włóknistych łap. A dalej czarny milczący las... Ułani spali pokotem poobwijani w koce na murawie, albo też w próżnym sąsiednim spichlerzu. Konie

zajmowały ogromną stajnię, która jednym węgłem dotykała krańca wzniesienia. I to właśnie było wielkiem niebezpieczeństwem postoju, że nieprzyjaciel wszystko miał w razie czego niby na dłoni. Mogliśmy stąd daleko widzieć i obserwować, cel — przepyszny, ale zato cały szwadron od pierwszego konia i siodła do ostatniego wozu mógł być na tym szczycie celem równie dobrym zdołu. Jakoż przed południem ostrzelał nas z pod lasu nieznaczny patrol rosyjski. Krótko i bezskutecznie, ale zawsze... Tembardziej, że była wtenczas tylko ta jedna droga odwrotowa, „defilé", poprzez dwa mizerne zgruchotane mosty i po długiej odkrytej grobli, która rozwidlała się: wprost na Lubarkę i wlewo przez Żarzecze do Smolar. Piasczysta wstęga wybiegała z za cerkwi, zbrukana przebywała bagno i wiązała się z obu stron z zieloną kolumnadą boru. Posiadanie tego traktu było stanowczo kwestją życia. Rano spatrolował Żarzecze powtórnie IV-ty pluton I-go szwadronu, a o 2-ej po południu obsadził wieś na stałe i zabezpieczył drogę. W nocy wsparł go w służbie czat pluton II-go szwadronu wachmistrza Kunigasa. Nic nie zakłóciło ciszy i spokoju.

Dnia 15/IX wstał cudny letni ranek, jak święto. Nagle — była godz. 6 z minutami — padł na I-szy szwadron szrapnel rosyjski. Kto żyw za broń! Rozwścieki się ogień i literalnie zasypał nasze wzgórze. Granat za granatem, szrapnel za szrapnelem, karabiny... Kule darły płot z żerdzi, za którym rozwijała się linja, i rwały gęsto ziemię, a grad żelaza tłukł po dachu stajni, szarpał go, wybijał dziury i mordował konie. Kwik i łomot... Część ludzi porała się tu ze strachem oszalałych zwierząt, które nie dawały się siodłać ani wyprowadzać z tego potoku śmierci, gwizdu i wybuchów. Ściany w mgnieniu oka stały się przejrzyste, podobne do sita, tak siekł ogień karabinów maszynowych. Granaty w dachu wyłupiły otwory na podobieństwo wydartych bezdennych jam. Osnuł nas swąd krwi i prochu... Najgorsze stanowisko zajął I-szy pluton. Ogień w tem miejscu tworzył wir potworny, krwawą łaźnię, burzę. Jakby zmagało się w powietrzu nasze szczęście ze śmiercią... Kule chlastały bezupamiętania i kłuły murawę, niby roje żądeł. Ranny darł palcami ziemię i leżał... Już niejeden... Pierwszy to raz zdarzyło się, że por. Skotnickiego nie było, kiedy jego szwardron pracował. Wyjechał na pogrzeb ppor. Gibalskiego do Kowla. Zastąpił go por. Lewandowski, mały, różowy, z jednakowym wyzywają-

cym uśmiechem nawet tu, gdzie śmierć siedziała już na ramieniu, a potęga nieprzyjacielskiego ognia przesłaniała oczy. — To, co wy nazywacie szaleństwem, tu jest wyniosłą śmierci wzgardą i najżywszem pięknem żołnierskiego czynu i przykładu. — Wreszcie padł raniony w nogę. Między wielu innymi odznacza się ułan Ostroga-Ostrzycki (II-gi szw.), który w gęstym nieprzezwyciężonym ogniu przewozi meldunki przez mosty i groblę do oddziału w Zarzeczu i z powrotem. A co się nigdy jeszcze nie zdarzyło — nawet kucharze i kuchnia byli ostrzelani, dwa trenowe konie granat rozszarpał. Święta pasja ogarnęła kuchcików, chwycili za broń... Krwawa charatanina trwała parę godzin. Rosjanie, jak przyszli, utonęli w lesie. Opowiadano nam później, że grzebali odrazu 7 zabitych, a kilkunastu rannych zabrali z sobą. Straty nasze: 11 rannych, z tych jeden tylko po paru dniach zmarł (ułan Sieklucki), oraz przeszło 20 zabitych lub poszwankowanych koni. Dywizjon tego samego dnia zmienił miejsce postoju, przenosząc się do Lubarki. Odtąd, t. zn. od 16/IX mamy bezustanną służbę forpoczt w Lubarce, a od 18/IX w Zarzeczu, na drodze ze Smolar do Stobychwy. Zmieniają się tu co dobę spieszone szwadrony. Pogoda znów słotna, deszcze dzień i noc. Szwadron, liczący do niedawna 120 ludzi, stopniał teraz do 60 wraz z oficerami. Wyszczerbiły go potyczki, trudy uciążliwych marszów bojowych, febra i czerwonka. Praca żołnierska od wschodu do wschodu słońca, spoczynek niewiadomo jak i gdzie, natężona czujność i nieprzerwana gotowość — zrobiły swoje, szarpiąc zwarte dotąd koło szwadronu. To, co jeszcze było, trzymało się nie wiem czem, jaką resztką energji i idei. Nieśmiertelna nadzieja towarzyszyła nam najwierniej do końca i tu zapomnianym przez was w poleskich bagnach krzepiła myśl...

21/IX zbiórka dywizjonu do odmarszu o godz. 8 rano. Czytanie rozkazu: por. Orlicz-Dreszer mianowany rotmistrzem. Odchodzimy do Jeziornej. Przed nami wlecze się artylerja po piasczystych koleinach miękkiego traktu. Zimno przenikliwe. Pada deszcz. Ostry wiatr kroplami dżdżu w twarz siecze a siecze... Jesteśmy niby samozwańcy czynu, którzy stargali buntowniczo łańcuch niewoli, ale sami zawiśli między bezwładem narodu a swoim snem... Wiatr wciąż w oczy...

W Jeziornej wybrano najlepsze konie — reszta pożal się Boże! — i złożono z dywizjonu szwadron zbiorowy pod dowództwem por. Skotnickiego. I-szy pluton z I-go szwadronu

objął ppor. Kawiński, II-gi z II-go por. Skarga, III-ci z III-go ppor. Witeź-Karski. Szła z nami kuchnia II-go szw. Pozostałość dywizjonu przesunięto do Kowla na spoczynek. Oddziały austrjackie zaczęły obsadzać sforsowaną linję Stochodu. Nas rzucono naprzód — za rzekę.

II.

Wszystkie doświadczenia zdobyte w minionej kampanji, całą najprzedziwniejszą w obliczu śmierci roztropność i żywą tradycję konnej partyzantki polskiej trzeba było wykazać tu, między Stochodem a Styrem. Działał już nietyle szwadron jako całość, ile grupy najdrobniejszych oddziałków, częstokroć w bezustannej łącznikowej służbie i wywiadach. Każdy prawie ułan wyniósł stąd swój epos, swoją czynną gawędę kawaleryjskich zadań, rozwijających się na niezapomnianem tle złocistych dni jesieni. Niepodobna za każdym iść i wymieniać każdego. Notatnikowy, niezupełny szkic roboty, niby ciasną ramę, rozsadzają wspomnienia bajecznych niezatartych epizodów. Najpiękniejsze jednak i najwybitniejsze drobnostki toną w całej rzeszy podobnie śmiałych stawań podoficerów i ułanów I-go pułku. Nie wyliczy nikt litanji bezimiennych czynów. Otoczy je ogółem pamięć czcigodna i pokoleniom przekaże w umiłowanej postaci ułańskiego wiarusa. Tak z poszczególnych dźwięków urasta pieśń, silna a rytmiczna, bije z niej moc nowego życia i twórcze zawadjactwo impetu, niweczącego starą polską słabość...

Dnia 22/IX o godz. 8 rano ruszyliśmy w 90 koni na Hulewicze do przeprawy przez Stochód. Ciągnąca przed nami artylerja uszkodziła mostki, zorała ciężkiemi kołami armat łożyska kilku rękawów rzeki i porżnęła głęboko ilaste miękkie groble. Było chmurno i ponuro, zanosiło się na deszcz. Rozległe zabagnione łąki ponadrzecza opadały z obu stron drogi aż po ciemny przed nami las. Czarne okna torfowisk ziały tam i sam, niby groźne przytuliska śmierci. Szara żydowsko-ruska wieś, Trojanówka, leżała rozrzucona na piaskach śród bezpłodnych pól, tuż pod piaszczystem wzniesieniem, które było jakby progiem pobliskiego boru. Napadli tu wczoraj kożacy pół plutonu piechoty i zadali straty. I pp. właśnie odmaszerowywał, pozostał tylko VI bataljon. Koło 12-ej jedziemy na

patrol w stronę Gorodka. Las stary, usiany podobnemi do łat bagienkami. W miejscach tych gęste olchowe podszycie tamuje widok i utrudnia marsz ubezpieczony. Posuwamy się bardzo wolno, ostrożnie i cicho. Zlewa ozwały się krótko jakieś strzały, jakby zaszczekał czujny pies. I nic. Las był w dalszym ciągu niemy, wypełniony tylko zwykłym poszumem, niby krążeniem żywej krwi. Dopiero przy wylocie na groblę i młyn zatrzymały naszą „szpicę" karabiny rosyjskie. Jeden raz i drugi, powtarzaliśmy bowiem próbę chcąc się przekonać, czy placówka jest pewna swego i dostatecznie silna, żeby się nie cofnąć. Częściowo spieszeni, związaliśmy się ogniem z nią i z pikietami, poczem wróciliśmy według rozkazu do Trojanówki na noc. Przyjechał ze służby przy sztabie brygady wachm. Dzik-Kleszczyński z I-ym plutonem, zastąpił go natomiast ppor. Kawiński z przeważną częścią plutonu II-go. Siła szwadronu nie uległa przeto żadnej zmianie.

23/IX pomaszerował bataljon VI na Gorodok; my, jako wywiad, w straży przedniej. U młyna i grobli „szpica" znów jest ostrzelana. Spieszamy się do ognia, ale zdążył już nadejść czołowy pluton piechoty, który wypiera placówkę rosyjską. Galopem przebywamy mostek i groblę, wyprzedzamy piechotę i patrolujemy dalej. Rozpełzły się tu od traktu piaszczyste drogi we wszystkich kierunkach na las. Na osłonach bocznych i „szpicy" częsta wymiana strzałów. Pchaliśmy przed sobą na całej linji arjergardę moskiewską i ta odcinała się ogniem co krok. Zupełnie jak na polowaniu z ogarami: ujadanie karabinów wybuchało miejscami to tu, to tam, milkło, przenosiło się ostro naprzód, dudniło zprawa, a za chwilę już biło nalewo gwałtownie i zawzięcie, póki nie wsiąkło w leśną ciszę Nareszcie Gorodok. Tylko co umknęła stąd secina kozaków. Postój był jeszcze „ciepły", siano — ślady popasania koni. Tuż za nami piechota ogarnia wieś. Przeciąga artylerja niemiecka z północy, podobno od Pińska, i całe kolumny piechurów pruskich Opalone twarze, po których spływa pot, odwinięte kołnierze bluz, rozchełstane na piersi koszule i ten szept grążonych w sypkim piasku nóg... Z takim samym szelestem przesypuje się on w szprychach ciężkich armatnich kół. Słońce krwawo zaszło. Spadał zmierzch pogodny, daleko po wsi skrzypiały żórawie... Przyszło marzenie...

Na nocleg udaliśmy się do Gradysk. Księżyc wysrebrzył drogę. Na każdej widni polany legły przyćmione srebrne blaski. Czarne masy drzew stężały w tem świetle i wyglą-

dały jak nieruchome skalne złomy. Smukłe jodły przywdziały nieprzenikniony płaszcz mroku tak, że stały niby cyprysy cmentarne w zamyśleniu i smutku. Niekiedy strumyk i droga w jedno wbiegały łożysko. Wtedy kopyta koni siekły wodę i perlił się dźwięk jak tajemniczy nocny śmiech przyczajonego w lesie życia.

Spoczynek dwudniowy w cichej, jakby sennej wsi obudził znów troskę i myśl. Oprzędła nas, jak biała pajęczyna „babiego lata", tęsknota. Czy słyszeliście w złoty gorący dzień odbiegające daleko, poza świadomość, echo dzwonu? Ostatniego zbrakło akordu. Zamiera dźwięk pod kopułą niebieską, za lasem, na skraju pól, w otęczy blasków. Ale gdzież ostateczny, najpożądańszy ton? Nie ziściło się to, czego pragnę. Jakieś ukochanie serdeczne wlecze zmęczone długie skrzydła w pyle dróg, które zdeptał człowiek, szukający szczęścia. To tęsknota. Obok tego jednak, co mogło być jesiennym smutkiem, zawisł zmierzch nadziei. Przyszły najstraszniejsze dla żołnierza groźby: złożenia broni i bezcelowości trudów. Tak szły do nas odgłosy tajemnych tarć w narodzie. Aż wyłupiło się pytanie przeraźliwe już w samym fakcie stawania nam przed oczy: czy my się bijemy za Polskę?... Czyn i poświęcenie, wydarte ostatnim aktem woli, zapadały w noc i w przepaść. Niech mi nikt nie mówi, że łatwo zrzucić z siebie ciężar owych zwątpień, gdy żołnierz nie widzi oparcia, a myśl — znużona samotnem dźwiganiem tęsknoty do ojczyzny...

26. IX zbudzono nas o g. 4-ej rano. Nastąpił duży marsz na Gałuzię poprzez lasy i nędzne piaszczyste polany, gdzie oprócz suchych cudacznych patyków zielska nie było zgoła żadnej roślinności. Piechota ma tu spoczywać, szwadron zaś idzie na Wólkę Gałuzyjską o 5 klm. Znów trakt na grobli, a z obu stron obmierzłe bagna, łąki zalane rdzawką; niby bajoro, niby rzeczka, most i młyn wodny. Wysadzana topolami aleja wiedzie do dworu. Dojeżdżamy bez strzału. Konny patrol rosyjski był może na pół godziny przed nami i odjechał z powrotem na wieś. Wobec tego jeden pluton przetrząsa Wólkę, reszta szwadronu popasa na dziedzińcu przy stajniach, mając na lekkiem wzniesieniu i na skręcie drogi przy cerkwi pikiety, a na dzwonnicy obserwatora W godzinę potem rusza pluton ppor. Kawińskiego na wschód do Bielskiej Woli (8 klm.) Teren zmienny, suchy i podmokły, las i zagaje. Wrzosowiska wielkie, jak tło, z którego pryskają młode drzewka. Wąska kolej nieśmiałej drogi ledwie się znaczy dwiema

nikłemi brózdami w gęstym dywanie mchu i traw, rozsypując się niekiedy, jakby dla kontrastu, w szczerk i piach. Ale to tylko w starym, wysokopiennym lesie. Ostatni szmat boru urwał się nagle i otworzył oczom płaszczyznę bezdrzewną, gdzie długim szarym pasem w prawo biegła wieś, a w pobliżu z lewa stanęły białe zabudowania folwarku. Trzeba było przebyć kawał przestrzeni otwartej, to też flankierzy sięgali już wsi, gdy oddział wyłaniał się dopiero z lasu. Szpica szła krętą drogą i dotarła do cerkwi. Osłona lewa oparła się równocześnie o kraniec wsi. Wszystko stanęło. Badani chłopi jednogłośnie przysięgali, że Moskali tu niema od dwu dni. Znalazł się jednak jakiś pastuch, idjota, prawie niemowa, który coś nieskładnie bełkotał o rocie sołdatów. W trakcie tego baba próbowała przemknąć się na folwark. Zawróciłem ją, grożąc rewolwerem. Osłona przesuwa się tymczasem 200 kroków w bok do gorzelni i podjeżdża do wrót. Na podwórzu Moskale... postój kawalerji — ognisko, kupa sołdatów i koni... Rozpaliły się nam ręce do napadu i pogromu. Byliśmy niezauważeni dotąd — to prawda. Ale siłę główną mieliśmy o 8 wiorst, a tutaj niespatrolowaną ostatecznie wieś i niezbyt daleko Sobieszczyce, gdzie mogła stać piechota nieprzyjacielska. Odwrót na las. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedy cofali z większym, niż teraz, żalem. Zmieniliśmy zaraz kierunek, wysunąwszy się na folwark bardziej z lewa. Tu od cmentarza przywitały nas ogniem wedety nieprzyjacielskie i zatrzymały. Za mało nas było, żeby się kusić o zajęcie wsi. Powrót do Wólki a o zmierzchu ze szwadronem do Gałuzi. W Wólce Gałuzyjskiej nocuje V bataljon kap. Olszyny.

27/IX jedzie cały szwadron na Bielską Wolę. Przed ostatnim laskiem wpadł na nas patrol rosyjski. Ze zwykłym sobie impetem por. Skotnicki momentalnie rozwinął „ławę" wprzód i poprowadził ją galopem na las. Moskale, postrzelawszy trochę, cofnęli się do wsi. Spieszona część szwadronu ruszyła tyraljerą wprost na Bielską Wolę, pluton nasz, jak wczoraj, dojeżdżał konno na folwark. Osadził nas jednak z miejsca silny ogień, który trwał dotąd, póki próbowaliśmy ataku. Oni w opłotkach — my z otwartej przestrzeni. Trudno było w tych warunkach naszą ilością karabinów zasypać ich i wyprzeć.

Nocleg teraz w Wólce Gałuzyjskiej. Zapowiadał się awans piechoty na całej linji.

Wszelki ruch piechoty zwiększał potrzebę łącznikowej służby. Rozrzucona na znacznej przestrzeni, w bagnach, śród puszczy, mogła piechota iść naprzód tylko samodzielnemi odległemi kolumnami z trzech miejsc: Kostiuchnówka, Wólka Gałuzyjska, Serchów. Kawalerja miała te grupy wiązać i łączyć, od kawalerji w przeważnej części zależała jednoczesność uderzenia. Na tem polegała uciążliwość i odpowiedzialność służby. Teren pocięty przeszkodami nie do przebycia trzeba było zdobywać nie wprost, lecz mozolnem obejściem, okólnemi ścieżkami przez las i groble. Wysłani np. z Wólki do Serchowa, do III bataljonu kap. Scaevoli-Wieczorkiewicza, nie mogliśmy wybrać kierunku najprostszego, bo prowadził przez topiele, które bez przewodnika groziły śmiercią. Zamiast więc pięciu wiorst zrobiliśmy 24 na Gałuzię, Karasin, Zamostje. Pół dnia kłusem, aż dopiero pod noc doprowadziła nas wąska zadrzewiona grobla po milczącem martwem bagnie do wsi. Tak przynajmniej wypadało z naszych obliczeń, że tu powinna być wieś. Ciemność była nieprzebita, niewiadomo czy las, czy zbiorowisko domów. Konie same trzymały się drogi, myśmy ledwie widzieli w mroku końskie łby. Jeżeli blisko była wieś, to były i wedety. Jak tu podjechać, żeby poznano: swój, nie nieprzyjaciel. Zagwizdaliśmy zcicha najpopularniejszą w legjonach polkę „husiasiusia". No i tak, wiedzeni raczej instynktem koni, dostaliśmy się bez przygody do wsi, gdzie stał III baon. Było akurat po odparciu kawalerji rosyjskiej, która napadła od cmentarza na naszą placówkę. W obawie ataku wzmocnionego, który łatwo mógł w tych ciemnościach spowodować zamęt, podpalono dwór. Zrobiło się widno, jak w dzień. Krwawy odblask łuny padł na ulicę i chaty, ubarwił twarze, sterczał wysoko przez całą noc złoto-szkarłatną żagwią. Wszyscy w pogotowiu, nie wolno spać, konie posiodłane.

29/IX rozpoczął się marsz na Bielską Wolę. Sunęły w porządku bojowym dwie kompanje, t. zn. nie więcej nad 250 ludzi. Na lewem skrzydle w Jeziercach mieli stać Austrjacy. Ale czy stoją wobec gwałtownego debuszowania po lasach jazdy rosyjskiej?... Scaevola pchnął ku Jeziercom patrol z 4 ułanów. Kłusem 6 wiorst przez gęsty, mocno podszyty las w parę godzin po śmiałym napadzie moskiewskim... Wywiad taki musiał iść z brawurą i zdecydowaniem, przerąbać się tam, gdzie nie można będzie przejść. I tak wszędzie, gdziekolwiek się ruszyła piechota, na całej linji, wszy-

stkie w tych dniach podjazdy kawaleryjskie i wszyscy łącznicy. W obliczu już Bielskiej Woli podczas obiadu wiążemy się na prawo z kap. Olszyną. Zaalarmowani Moskale zdwoili pikiety. Widać stąd, z osłoniętego wzgórza, niepokój we wsi i przebieganie konnych. Pierwsze strzały od nas i z prawa wypłoszyły nieprzyjaciela z Bielskiej Woli. Pluton jazdy rozwinął się na łące, zatoczył frontem w promieniach zachodzącego słońca, błysnął bronią i znikł nalewo w lesie. Puszczony w pościg pluton ppor. Kuleszy wywołał ostry, gwałtowny ogień, który długo szarpał ciszę zapadającego zmierzchu. Przeczysta pogodna modrość spłynęła na wieś, poczem niebo głębokie zalśniło gwiazdami. Szwadron odjechał z dwiema armatkami do Optowej. Wzmocniono tylko ilość łączników przy bataljonach III i V. Znów pożary rozświetliły noc daleko.

Następnego dnia późnym wieczorem przybył 13 p. dragonów austrjackich. Mieliśmy dokonać wspólnie stanowczego uderzenia na ostatnie załogi rosyjskie przed Styrem. Dnia I/X o godz. 5-ej rano pomaszerowaliśmy ku Sobieszczycom na las obsadzony gęsto przez Moskali. Zaraz za wsią piechota rozwinęła linję. Kule biły w drogę, podnosząc lotne szmatki kurzu, pryskały w piach po całem polu. Mroczny mieszany las rozdzielił kompanje sunące szerzej, niż mogły ogarnąć rozwinięciem linji. Kawalerja w bezustannej gonitwie w lewo i w prawo wiązała szarpany front, dopóki nie otworzyła się równina płaska, gładka jak stół, sięgająca do Sobieszczyc i Styru. Część piechoty rozwinęła się nie na skraju lasu, lecz dalej nieco, w szczerem polu i poczęła się okopywać, mając przed sobą o $1^1/_2$ klm. okopaną linję rosyjską. Przemówiła artylerja nieprzyjacielska, zdaje się, że z tamtej strony rzeki. Pociski szarpały przeważnie prawą połać lasu od nas w bok. Pojedynek ogniowy piechoty to gasł, to wybuchał, zwyczajnie, jakby łomotem karabinów rozrywano nudę dogasającego dnia. Zapadła wreszcie noc. Komenderujący oficjalnie major austrjacki sądził, że Moskale opuścili wieś, rzucił więc na Sobieszczyce patrol z 3 dragonów austrjackich i naszych dwu ułanów.

Minęliśmy rów strzelecki piechoty, potem ostatnią, wysuniętą wprzód linję wedet i otoczyła nas głęboka, jak przepaść, noc. Nie było widać wsi, przed nami — czarność nieba i czarność ziemi — tylko bielała trochę jasna wstęga piaszczystego traktu i wolno sunęły wstecz słupy telegrafu. Konie niechętnie, strachliwie zanurzały się w mrok, strzygąc uszami.

Zaraz na wstępie okazało się, co znaczy mieć oddział w ręku i prowadzić patrol. Kapral dragonów prawdopodobnie pod wrażeniem, że jedziemy na niechybną śmierć, bo na okop rosyjski, stracił głowę i nie wydawał żadnej komendy. Zwykle w takich chwilach ludzie bojaźliwi nie potrafią opanować się i myśleć o czem innym, nie o sobie. Jadąc w takiej kupie, nietylko, że nie przeprowadzilibyśmy wywiadu, ale mogliśmy wpaść i nie wrócić. Widząc tę bezradność, kapral Pietruski wysunął się samowolnie na czoło i objął komendę, rozrzucając oddziałek w konną tyraljerę z dyrekcją na wieś. Dragoni nie protestowali. Jechaliśmy teraz sprężyście, stając co pewien czas i wysyłając słuch i całą wytężoną czujność na zwiady. Trwało to nie wiem jak długo. Pomału zaczęła występować przed nami czarna masa zabudowań, ogólna przyziemna sylweta wsi. Droga ginęła w mroku bez wyjścia. Błysło tam jakieś światełko, jak schowany szybko w dłoń zapalony papieros. Cisza. Konie nasze ani drgnęły. Nagle tuż przy nas ozwał się twardy gruby głos: „stoj! kto idiot?" My nic. Moment, w ciągu którego nawracaliśmy powoli konie wtył. Aż tu jak nie trzaśnie w oczy oślepiający strzał, jak piorun! Konie wykręciły na zadach i w cwał. A za nami jakby burza wybuchła lub zarechotały jakieś straszne młyny. Na całej linji wściekł się ogień rosyjski i gonił wślad, aż skowyczało powietrze i piach darty deszczem kul siekł po twarzach. Konie oszalały ze strachu. Wydłużyły się nakształt strun, a uderzenia kopyt o ziemię następowały tak szybko, że miało się wrażenie turkotu. Gdy dopadaliśmy do okopów naszej piechoty, ogień zmalał. Mijały nas tylko pojedyńcze śpiewne kule, niby zabłąkany gniewny dźwięk...

W tym samym niemal czasie dokonano nocnego napadu na ciągnącego ku Sobieszczycom maj. Trojanowskiego z VI-ym baonem i częścią III-go, które cofnęły się z powrotem do Kostiuchnówki. Stało się więc w ciągu nocy, że skrzydło prawe kap. Olszyny było bez oparcia i zawisło w przestrzeni, nad którą panował nieprzyjaciel.

2/X zwiększył się obustronny ogień artylerji. Ciężkie kuferki rosyjskie szły na las, rwały ziemię z obu stron leśniczówki, wyrzucały czarne fontanny dymu. Byli już ranni. Przytem donosiły meldunki, że od Rafałówki dążą wielkie kolumny piechoty i jazdy nieprzyjacielskiej. Zaczynało być gorąco. Popołudniu przyjechała ze szwadronu nasza zmiana z kapralem Doliwą-Żembrzuskim naczele. Ledwie dotarliśmy

do Bielskiej Woli, gdy Moskale złamali prawe skrzydło kap. Olszyny, ubezpieczenie złożone ze szwadronu 13-go p. dragonów austrjackich pierzchło i ogromna fala uciekających porwała nas na drodze u wylotu ze wsi. Zbita masa kawalerji i armat runęła w prawo na Serchów w nadzwyczajnej panice; my pomknęliśmy prosto na las i Wólkę. Z lewa dojeżdżali „ławą" kozacy również na las, siepiąc wpędzie ogniem uciekający potok. Żebyż nam tylko nie odcięli jedynej drogi!... Przybyliśmy pierwsi na zmydlonych do upadłego koniach. Alarm. Szwadron pomknął natychmiast ku Kostiuchnówce. Z Wólki tymczasem zaczęły wyjeżdżać długie kolumny trenów brygady do Gałuzi. Posępniał już las i ciemniał, kiedy spotkaliśmy VI baon w odwrocie. Fleszar otoczony wziął jeńca i cofał się klasycznie czworobokiem przez las. Wracamy, by ruszyć ku Bielskiej Woli, wesprzeć kap. Olszynę. Noc była zupełna. Piechota ściągała od lasu, nie rozproszona bynajmniej, chociaż mocno zrąbana gwałtownym napadem. Wozy z rannymi, białe bandaże i ożywiony gwar tych, kto wyszedł z krwawej kąpieli i teraz deptał radosny w ciemnej kolumnie poprzez mrok do wsi... Jakiś symboliczny tryumf życia, wieczna pogarda śmierci wyzywająca nową przyszłość...

Odmarsz do Gałuzi. Szwadron wysunął się za piechotę, jako arjergarda, dopiero o północy, ale dojeżdżając do wsi otrzymał rozkaz powrotu. W rozbrzasku wstającego dnia patrole nasze zajęły znów Wólkę Gałuzyjską. Wraz z częścią piechoty obsadzamy wieś i — drzemiemy w pogotowiu przy osiodłanych koniach. O 11-ej przed południem alarm. Piechota odeszła. Wystawiamy placówkę i w kontakcie z wrogiem cofamy się ze wsi przez groblę do Gałuzi. Tutaj obiad.

Na szczupły szwadronik spadło ciężkie zadanie straży tylnej piechoty. Podjazdy rosyjskie szły za nami śladem, wreszcie otoczyły wieś, odcinając drogę do Maniewicz. Strzały wybuchły z tyłu i z boku. Przepłoszyliśmy jednak nacierających silnym ogniem z dachów i drzew, gdyż wysokie konopie i sady przysłaniały widok. Wybraliśmy teraz nie zwykły trakt, na którym już byli Moskale, lecz wąską steczkę, znaną nam z poprzedniej łącznikowej służby. Dróżka ta łączyła z karasińskim gościńcem do Maniewicz. Skrył nas bór, jedyna pociecha w srogich minutach niebezpieczeństw, gdy zwisła nad głową klęska i tryumf wroga. Umknęliśmy zarzuconej sieci, która liczyła na nas jako na pewny łup.

Późno rozbłysły światła Maniewicz. Ognie wsi były przystanią i spoczynkiem. Witały nas placówki piechoty zdziwionem pytaniem: „Więc was nie zafasowali Moskale?..." Przybył na zmianę drugi szwadron zbiorowy pod dowództwem por. Janusza Głuchowskiego. Zanocowaliśmy razem w Gorodku.

4/X o godz. 6 rano zaczął się kontratak na Gałuzię. My stanowiliśmy lewe skrzydło, por. Głuchowski ze szwadronem prawe, środek — 3 kompanje piechoty pod kap. Bukackim. Tempo wolne, prawie senne — dowód najwyższego wyczerpania żołnierza, który pierwej, niż ochotę, tracił siły. Na wczorajszej ścieżce odwrotu strzelaliśmy się z pikietami rosyjskiemi, wysuniętemi aż tak daleko w las, i zabraliśmy im konia. Dostęp jednak do wsi był broniony z niezwykłą zaciętością i uporem. Moskale obsadzili część wsi i stąd rozwijali gwałtowny ogień, ilekroć nasza linja szła naprzód. A tu żołnierze spali na ubezpieczeniach, wedetach i pikietach, spali nawet w tyraljerce. Legło na nas wyczerpanie możniejsze niż energja; przytłoczyła praca przebytych dni. Z niebywałym trudem patrolowaliśmy skrzydło i wszystkie te rozjazdy, do niedawna radość i zapał kawalerzysty, znalazły się teraz pod obuchem niemocy i znużenia. Byle nie usnąć na koniu, byle coś widzieć, byle nie zobojętnieć na wynik...

Wreszcie wieczorem powrót do Maniewicz i dalej. Szliśmy znów za Stochód, ale już po to, żeby wypocząć. Nie wiem, jak przebyliśmy mosty. Sen ciężki w marszu zawarł nam powieki, zrzadka tylko otwierane źrenice chwytały wizję ponurych lasów, czarnych dróg i płaszczyzn nieprzejrzanych, jak mrok. Sunęło to wstecz, wciąż wstecz, nawet bez zwykłego szeptu końskiego stępa. Jak we śnie... Ni stąd ni zowąd zalśniły ogniska, rozjarzyły się okna ciepłych izb i dym przywlókł. Parskały konie. Tułał się jakiś gwar śród chałup i stały nieruchome widma wozów. Smolary — zapracowany twardy sen bez snów.

Dnia 5/X o godz. 10-ej rano ledwie posiodłaliśmy konie. Tłukło się po kościach przebyte zmęczenie, jak choroba. Wkońcu wyciągnął w stronę Kowla długi sznur szwadronu. Konie się chwiały pod nami. Prowadziliśmy je duży szmat drogi aż do lasu, z którego jesienny wiatr strząsał liście i miotał zwiędłą purpurę na zrudziałe pola i rżyska. Ani pastuszych ognisk, ani włóczącego się dymu, tylko szarość i smutek. Daleko, jak we mgle, sięgają w chmurne niebo wieżyce miasta...

W OKOPACH.

Wróciliśmu znów do dawnych wiosennych czasów, jak w Kieleckiem. Trzeba było się w ziemię wkopać, przyczaić, spiąć do nowego skoku i zimować. Kawalerja w takich razach zagrzebuje się narówni z piechotą. Mówi się zhasanym koniom „do widzenia" i pewnego rana, o świcie — czy to będzie rozmarzający wschód słońca, czy nuda deszczu, czy wreszcie wesele pierwszego śniegu — ruszamy. Jesteś już teraz. ułanie, ofiarą śmiechu piechura, który nie ma przed tobą respektu, gdyś niższy o całą konia wysokość. Tak, jak my, idący do okopów, muszą wyglądać ludzie wystawieni na pośmiewisko gawiedzi: zpoczątku jakiś wyższy szczebel wstydu, uczucie niezręczności, póki nie dojdziesz do śmiechu nad sobą; wtedy bez żalu kopniesz swoją wyższość i idziesz najnaturalniej w świecie dalej, jakbyś za pan-brat był z tymi warunkami, od których zależysz. Śmiało rzec można, że ułan bez konia zaczyna filozofować...

Zazdrośćcie nam, ludzie miasta, patrzący wciąż na bruk i mury, jedynych, niewypowiedzianych obrazów, jakie tworzymy i jakie przesuwają się przed naszemi oczami. Bogate tło żółtego piachu-traktu, szarzyzna pól, żebractwo drzew przydrożnych i brzękliwa buńczuczność naszego dwuszeregu, który długim sinym wężem wchodzi w las. Listopadowe kolory, jesienny poszum wielkich drzew, tęsknota śmiertelna bajki, co się snuje od lat poprzez naszą rdzawą historję... Nie słyszę nigdy sławy, nie widzę nigdy złota barw. Zawsze w tem skarga i płacz lecących liści. I to jest ostatnie, może najlepsze uwarstwienie psychiki polskiej, że piękno budzi w niej cmentarne echa dzwonów przeszłości, jak każda pieszczota przypomina sierocie śmierć matki.

Miasteczko Kołki. Zgliszcza. Przywykł do nich wzrok żołnierza po krwawych, znaczonych pożarem i ludzką nędzą dniach sandomierskiej i lubelskiej kampanji. To jest przecież normalne tło obecnej wojny, stratowane pole, po którem idzie burza wojenna i niszczy, zostawiając gruzy i mogiły. Pierwsze tutaj groby przy wjeździe do drugiego lasu. Rosyjskie, austrjackie, wkońcu nasze. W innych warunkach byłoby to pewnie tragiczne: przed nami nieprzyjaciel, za nami zaś cmentarz, rosnący z każdym tygodniem, i krzyże, jak brzozowy przesmutny gaj, i tezy nieśmiertelne polskie, w których obronie konali obywatele mogił: „za Ojczyznę", „za Polskę", za „Niepodległość"... Niedaleko od pozycji dochodzimy do rezerw, gdzie stał niedawno pułk czwarty. Cały odcinek czwartaków ma zająć nasz pierwszy szwadron i niewielkie uzupełnienia z drugiego (pod dowództwem ppor. Świerszcza) i trzeciego (pod dowództwem ppor. Witezia). Dowódcą odcinka jest por. Grzmot-Skotnicki. Oba uzupełnienia pozostają w rezerwie. Nasz szwadron obsadza okopy i wystawia natychmiast trzy ubezpieczenia (dwa okopane) przy drutach i łączniki alarmujące (czujki) w okopie. Reszta wciska się do wygrzebanych w ziemi nor na spanie. Odtąd nie zakłóca już nic ciszy, prócz zmiany ubezpieczeń i czujek oraz świstu zabłąkanych kul rosyjskich. Śnieg pada przez całą noc, bielą okrywa małą przed nami polanę, ciężką się kładzie okiścią na cały las. Bierze mróz i nie folguje przez kilka dni następnych.

Życie nasze układa się prędko i płynie już nazajutrz trybem normalnym, według pory śniadania, obiadu i kolacji. Wszyscy przeważnie śpią do chwili śniadania, przynoszonego z rezerwy. Po kawie zaczyna się dopiero praca w celu przygotowania opału do piecyków żelaznych w „ziemiankach", a więc piłowanie, znoszenie i rąbanie drzewa. Kiedy już temperatura nor doprowadzona zostanie do odpowiedniej wysokości (20 st. R.), składamy sobie wizyty, na tem bowiem tylko polega życie towarzyskie w okopach. Ja osobiście tak się urządzam. Wiem, że najlepszy piec jest u wachmistrza Kordjana Napiórkowskiego, zatem o godz. 8-ej podnoszę zasłonę z nieprzemakalnego płótna, zastępującą drzwi, i ze słowami „czy można?" włażę na czworakach do ciemnej szuflady, którą oświetla rozczerwieniony i zasapany piecyk. Ciepło jak w łaźni. Gospodarze robią miejsce i siadam, wyciągając błogo buciska w kąt, skąd idzie boskie gorąco i czad rozpalonego żelaza. Z prawej strony mam długie nogi Kordjana, z lewej zmiętą

figurkę małego kaprala Julka, a przed sobą gniewny jakby, huczący piec, który jednak nie przestaje mrugać do mnie dobrodusznie i porozumiewawczo wąską rozognioną szparą drzwiczek. Snujemy rozmowę złożoną ze wspomnień, marzeń, krytyki i kroniki bieżącej i sami nie wiemy, jak wypełniamy prozą i poezją strony naszego życia i jak to życie kładzie się smugą na kartach tytanicznej polskiej księgi, spiętej klamrą spólnego czynu. I gdy to uprzytomnię sobie, widzę już nie poczciwe, zmrużone oczy Kordjana, lecz spojrzenie całego wieku, który czeka na los, — wieku, który czynić nie mógł, aż wreszcie stał się cud, znalazła moc, żeśmy myśl i serce do ziemnych zamknęli szuflad, by stąd wyjść jako Polska Młoda, odrodzona, czynna, prawie zmartwychwstała. A jeśli chcecie, bym wam wyraźniej mówił, to powiem, że każdy świadomy żołnierz polski nie ma innej pracy nad wyzwolenie ojczyzny i to jest jego zwykła codzienna robota, choćby się przejawiała w najprymitywniejszej formie. I chyba za aktorów nas macie na narodowej scenie, nie za robotników polskich, gdy choć na chwilę postanie w was myśl, że to jakieś bohaterstwo, jakaś nadzwyczajna ofiara i gest, nie zaś normalny, zdrowy odruch krwi i ducha. Polskiej krwi. polskiego ducha... Dopiero splot wszystkich tych najprymitywniejszych form z ekstazą walki o wolność tworzą rzeczywistość życia polskiego żołnierza. Zwykle jednak proza wojny wydaje się z oddalenia poezią. A tu, jak i w życiu cywilnem, piękne są tylko momenty. Np. takie rozstawianie wedet. Posuwa się ludzi dwuch — rozprowadzający kapral i żołnierz — zpoczątku przez korytarz kryty, wykopany w przedpiersiu okopów, później rowem wąskim pod drutami aż do ostatniej ich linji. Z boku wygląda to tak, jakby się posuwały po śniegu dwie głowy; jedna zostaje, druga wraca. Najciekawszą wedetą jest trzecia. Nie ma ona przed sobą lasu, jeno wielką polanę, na przeciwległym krańcu której stoi placówka rosyjska, paląca ognie w dzień i w nocy. Wedeta nasza ma pod nogami bagno zamarzłe, a za osłonę rodzaj ściany z bierwion, formą ułożenia przypominającej jakiś stary prymitywny klęcznik. Największych prozaików usposobi z pewnością poetycznie cudna zimowa noc, gdy na czarnem niebie gwiazdy się roziskrzą, nawprost płoną nieprzyjacielskie ognie a myśl ludzką uniesie ocean ciszy. Mróz szczypiący w twarz i w nogi jest w takich chwilach najlepszym synopizmem na marzenia.

Odcinek nasz jest tak bezpieczny, że aż nudny. Przed dwudziestu dniami dano nam część okopów najbardziej wysuniętą naprzód. Do rowów rosyjskich mieliśmy 800 kroków a do placówki nie więcej nad 400. Wedety nasze były wtedy zdwojone i tworzyły niejako rzadką tyraljerę, która przez całą noc ostrzeliwała linję nieprzyjacielską. Gdy ciemność nie do przejrzenia, rakiety rzucają magnezjowy trupi blask poza druty. Wybucha wtenczas taka kanonada, jak w bitwie. Po paru minutach wszystko się urywa. Cisza aż dzwoni w uszach. Nagle rozpruwa ją trzask rakiety i znów łomot naszych wystrzałów i tenorowe szczekanie karabinów moskiewskich. Niekiedy kula jęknie o druty, albo zaśpiewa świegotliwie nad głową, jak niewinne ptaszę ciekawe ludzkiej krwi. Dzień każdy miał jedną przełomową przed- albo popołudniową godzinę, w ciągu której zasypywali nas Moskale ogniem dział. Wzdłuż całego rowu naszego, niby piorunujące stąpanie śmierci, szedł granat za szrapnelem, szrapnel za granatem, wywalając lejowate doły, porywając w górę słupy piasku i czarne fontanny dymu, trzepiąc po blindażach ołowianym grochem kul i długimi, jak wazony, płaszczami pocisków. Wiew potężny gnał rowem, giął najbliższe drzewa, siekł i obcinał wikle i gałęzie, wpadał przez strzelnice podmuchem burzy. Groźny mrok wpełzał do schronisk naszych, jakby szperał, czy tai się jeszcze gdziekolwiek żywe serce. A serca żyły. Ściskały się boleśnie wtedy tylko, gdy donoszono, że ten a ten kolega leży już martwy na piaszczystym kobiercu korytarza (uł. Skorupko), że „dziewiąty ułan Beliny" (kapral Skaut) kona, raniony kulą szrapnelową w szyję i twarz. Krew ta, którą szwadron zostawił na piaskach pod Koszyszczami, była najpiękniejszym rabatem ułańskim, najlepszym wyłogiem czynności polskiego kawalerzysty. Świadomi swej roli, odpowiadaliśmy tam, jak gdzieindziej i jak zawsze, na śmiertelną powagę i grozę wojennej mowy, spokojną postawą dojrzałego w ogniu żołnierza. Mimo wszystko, przerażająco długą musiała być godzina, którą przeżyliśmy pierwszego listopada, przyniosła nam bowiem pocisków moskiewskich czterdzieści cztery! Czterdzieści cztery ogłaszające sekundy, czterdzieści cztery momenty, kiedy ślepy młot trafu szukał na kowadle — ludzkiego życia!...

Dnia 28·XI zmieniliśmy wraz z całą brygadą odcinek, przenosząc się do innej dywizji, bardziej na prawo. Kawalerji dano część najgorszą: okopy bez blindaży, przedpiersia sypa-

ne na bagnie, pod stopami lód, jak na ślizgawce. Dobrze, że mróz wciąż trzymał, bo inaczej moglibyśmy tu tonąć. W „ziemiankach" także lód. Kładliśmy nań podłogę na belkach poprzecznych w rodzaju tratwy. Robiło się wtedy tak nisko, że nie można było nawet siąść. Kiedy zaczęliśmy po norach palić, podłoga — o dziwo! — zakołysała się. Byliśmy teraz istotnie na pływającej tratwie; od spodu mokła odzież. Godziny snu ograniczyliśmy z tego powodu do minimum, dzień cały spędzaliśmy w okopie, paląc na ziemi ogień ogromny, podtrzymywany dzień i noc. Drugi pluton miał pomieszczenie jeszcze gorsze, chodził więc na nocleg do kwater brygady w Stawyhorożu, o dwa kilometry stąd. Nasz znicz — czwartego plutonu — przyciągał gości. Gromadzono się tu na pogawędkę, na czytanie, na ogrzanie zmarzłych nóg. Stawało się jednak widocznem, że bez solidniejszego schronienia, niech jeno przyjdzie chwila, nie wytrzymamy.

W tym czasie jakoś wypadła inspekcja linji, dokonywana przez pułk. Sosnkowskiego, ppułk. Śmigłego-Rydza, majora Berbeckiego, majora Żymirskiego i innych. Kiedy Berbecki obrzucił nas wzrokiem, to po ironicznych słowach: „Kawalerja ma jednak najlepsze okopy", dodał, może nieco zdziwiony: „Ale ci nie tracą humoru!..." Tak. Dziarskość ułańska postawiona w najniewygodniejszych warunkach zdawała nadspodziewanie dobrze egzamin wytrzymałości i biła w oczy, jak za najlepszych czasów.

Sprowadzona nareszcie półkompanja saperów rozpoczęła budowę „ziemianek" kolejno dla każdego plutonu. Nie kopano głęboko w obawie trafienia na wodę podskórną. Z chwilą gdy stanął z okrąglaków szkielet naszej budowy, wzięliśmy się żwawo do roboty. W ciągu paru dni stanął dom — podziw i zazdrość całego szwadronu. Ganek przystroiliśmy mchem, willę otoczył rów i brzozowy płot. Gości witała sentencja, umieszczona nad wejściem na spiłowanym równo pniu:

Przechodniu, nie myśl, że tu źle, bo ciemno!...
Dawniej nam schronem były więzień lochy,
Albo mogiły, o których wraz ze mną
Pomnisz, gdyż skryły męczenników prochy.
Dzisiaj mów o nas: „Ach, jak im przyjemno!..."

Wewnątrz postawiliśmy ceglany piec. Mieliśmy odtąd ciepły kąt, gdzie z przyjemnością spędzaliśmy czas pozasłużbowy. Gdy przyszła odwilż i nieprzejrzane ponure noce,

mieliśmy gotowy rozkoszny schron. Mogliśmy tu przy płonącej świecy czas spędzać na rozmowie i na czytaniu. Przechodziły z rąk do rąk „Dzieła" Mickiewicza, Sienkiewiczowska „Trylogja", Stanisław Brzozowski, a ostatecznie i Kraszewski. Literatura gromadzona bezładnie na miejscach postoju, księgozbiory plutonowe z wypożyczonych i znalezionych kiedyś i gdzieśtam książek, roztrzęsionych długiem wożeniem w sakwach przy siodle...

Piętnaście dni doli i niedoli okopowej minęły szybciej, niżby kto pomyślał. Zmiana! zmiana! Jaką melodję pieściwą słyszy w tem słowie człowiek, który przez pół miesiąca nie mógł się rozbierać, nie zmieniał bielizny, a nawet niezawsze zzuwał buty!... Są już o parę kilometrów za okopami konie nasze. Mamy nocny marsz po groblach, kładzionych na bagnie, poprzez stary las, zawilgłe łąki i wydmuchy piaszczystych pól. Snuł się już nie siny, lecz jakiś czarny wąż z tajemniczym pobrzękiem i długim szeptem końskiego stępa. Mijamy ciemne nasępione domostwa bezludnych wsi, albo rozzłocone wesoło okna, z których ciepło płynie na drogę, na szkliwo kałuż i na rostaplaną grząską masę błota. Konie parskają raźno, im bliżej kwater, i żałobna wstęga drogi ucieka chyżo w tył z pod naszych nóg. Drzewa przydrożne zataczają się w wietrze, po gałęziach smyrga szum, niby tłumiona, gotowa się rozperlić uciecha...

STANICA PIŁSUDSKIEGO.

I.

Zimowa linja okopów polskich leżała w roku 1916 spokojnie, jak rozciągnięty sennie, ale groźny wąż. Od czasu do czasu patrol naszej piechoty sięgał nieprzyjaciela, czynił krwawy w jego szeregach wyłom, odnawiał sławę partyzantki powstańczej, oraz sycił ambicję żywej służby na froncie (wywiad porucznika Styka). Ambicją bowiem żołnierza jest praca linjowa, udział w ogniowych faktach, odwracających dalszą kartę wojny. Być młotem rozbijającym i tworzącym, decydować... To bywa największą przyczyną rozdźwięku, jaki istnieje — dla wtajemniczonych — między kawalerją a piechotą. Gdy ona zajmuje leże zimowe w obliczu wroga, żyje życiem ziemnem okopowych kretowisk przez ciąg paru miesięcy, niby bojowa straż na kresach, — my o kilkadziesiąt wiorst od tego muru, w zamieszkałych wsiach, przy ciepłych kominach przesypujemy wspomnienia minionej kampanji. Mamy tu piękno długich nocy i żołnierskich gawęd, pracę zaś przy stajniach i koniach większą niż piechota w okopach, lecz odzywa się raz po raz uczucie przykre człowieka wyrzuconego poza front i skazanego na niebojową czynność. Tak krzyczy ambicja linjowego żołnierza. Dlatego kawalerja zgłasza się tak chętnie do okopów, by pełnić pogotowie narówni z piechotą, jak to było pod Koszyszczami i Stawyhorożem (od listopada do połowy grudnia).

W lutym szwadron wybrany z II-go i IV-go poszedł pod dowództwem por. Skargi na służbę wywiadowczą tak zwanej „jagdkompanie" (szwadron podjazdowy) za Jeziercy nad rzekę Wiesiełuchę. W marcu przypadła kolej na szwadrony I-szy

i III-ci. Poprowadził por. Skotnicki. Wyjechaliśmy w sile około 100 ludzi konno 28 lutego do Leśniówki, gdzie czekał nas nocleg, a konie odprowadzono z powrotem na miejsce postoju w Majdanie. Nazajutrz o godz. 6 rano ruszyliśmy pieszo na wschód.

Słońce było przed nami. Ciemny pas chmury, w której kryła się jeszcze noc, stanął na widnokręgu, podobny do dalekiego skalistego grzbietu. Słońce zwisło nad nim, jak bajkowy złoty ptak na tle gór. Nieprzejrzaną równię u podnóża zalała różowość poranna. Długi cień towarzyszył nam aż do boru, któremu nie było końca. Po obu stronach kładzionych z okrąglaków, sztucznych dróg rozlewały się bagna pod taflą lodu, albo ziały niezamarzające nigdy oparzeliska, gdzie chwiał się trupi, karłowaty las. Nikłe groble między jeziorami spajał najlepszy z budowniczych, mróz. Czasami nie było ani grobli, ani drogi, tylko mozolnie postawiony mostek, zdobiony niebywałej konstrukcji bramami z brzozy („Leonardibrücke"). Minęliśmy jedyną wieś i leśne sadyby żołnierskie („Zsoka Falva"), misternie klecone z brzozy i mchu wille i ziemianki. Po sześciu godzinach marszu dochodzimy do miejsca przeznaczenia. Ciężki dym z ognisk rozwłóczył się po lesie i gryzł w nozdrza. Niby jakieś osiedle smolarskie, albo prymitywna wioska, właściwie dość gustowna zabawa w wakacje... Byliśmy przydzieleni taktycznie do IV-go pułku ułanów austrjackich. Jeden pluton zajął odrazu redutę. Resztę umieszczono w drewnianych barakach. Przez wielkie szpary w ścianach wciskał się tu wiatr mroźny i zimnemi palcami gładził twarze.

Miesiąc leśnego życia upłynął nam, jak czynna pieśń o nadzwyczajnych tonacjach, zawierająca trzy zasadnicze fragmenty chwil i wrażeń: obozowych dni, pogotowia bojowego na reducie i patroli. Każdy fragment miał swoją melodję i tylko sobie właściwy czar. Ostatni był bohaterskim krzykiem tradycji ułańskiej, która znaczyła na Wołyniu krwawy ślad wiernej służby i żołnierskiego poświęcenia. Tak zwykle bywa, że słowem naszem najwymowniejszem jest — nekrolog...

II.

NA MAJDANIE.

Bardzo prymitywne budy z młodych sosnowych drzew, długi czworobok, z jednej strony otwarty zupełnie na drogę i las — to nasze kwatery. Tuż zaraz studzienka i biały brzozowy żóraw, jeden z tych, co marzenie prowadzi w jakieś chreptiowskie czasy, do innych, skrzypiących na majdanie stanicy kresowej „małego rycerza" z Sienkiewiczowskiej Trylogji. Snuje się powieść od tylu lat ta sama, jak naturalne tchnienie ojczyzny i jak zdrowa myśl, wypływająca wiecznie z nieprzemienionych źródeł i trosk. Te same dekoracje i te same boje... Obrazy i czyny...

Mróz zaskrzepł na wszystkich gałęziach. Biel śniegu leżała cierpliwie na polanie i okólnych bagnach. Iglaste kiście sosen ociężały tak, że umilkły szelesty i pogwar, którymi cieszy się bór i żyje. Tylko zrzadka, gdy ciągnął wierzchołkami wiatr, szło dudnienie po lesie ogromne i tajemnicze. Dalekie strzały wedet wcinały się w tę nieruchomość i ciszę ostrzem czujności, niby krzyk drapieżnego ptaka.

Życie nasze zamykało się w budach przy piecykach żelaznych systemu „Hindenburga". Były one ośrodkiem ciepła i — myśli, która snuła się między nami w łańcuchu wspomnień oraz spojrzeń w jutro. Wogóle ideowego żołnierza cechuje czujna, wiecznie pracująca myśl. Przeżywaliśmy okres wielkich nadziei. Optymistyczne tchnienie szło na nas, nie wiem skąd, dość, że każdy patrzył już w jutro jako w coś, co ma być dniem teraźniejszym, a gotów był marzenie brać za jedno z faktem. Wytężaliśmy słuch w stronę narodu — stamtąd miała

przyjść upragniona wieść i zdarzenie — i jednocześnie powstawała z dna duszy czarna, pesymistyczna myśl: „czy to się stanie?" Entuzjazm i czekanie miały w sobie dużą domieszkę goryczy, która wykwitała na usta w postaci ironicznej piosenki. Przyszło do nas z piechoty echo jakichś tragicznych drwin z tego, czem żył dotąd nasz żołnierski czyn i myśl:

„I ni z tego ni z owego
Mamy Polskę od pierwszego..."

Było tak, jakby bieg historji zwalił się nam właśnie na barki. Musieliśmy go wchłonąć w siebie i przeżyć. Samo stawanie się Polski działo się dotychczas gdzieś poza nami, uzależnione bardziej niż od nas — od skutków naszego czynu. Teraz zaś od roku 1916 proces ten wnikać począł w głąb dusz żołnierskich. Dwuletni polski optymista musiał jednocześnie: pracować, wierzyć i — wątpić. Zupełnie odczuwalny i zrozumiały wicher dziejowy jął wstrząsać sercem i myślą. Mieliśmy w sobie to, co w literaturze płakało od stu lat i dławiło twórczość najmłodszą. Nie mogliśmy nie przeżyć obaw, zgrozy i cierpień wszystkich dni niewoli. Zdawało się, że Polska błądzi po najtajniejszych zakamarkach duszy. Trzeba ją było przedewszystkiem tam, w sobie, odnaleźć poprzez łzy wewnętrzne, nietylko czyny... I na tem polegała okropność i ciężar naszego życia.

Często robota powszednia zagłuszała troskę. Chodziliśmy po drzewo daleko w las, wzdłuż dróg na Łobnoje i Krasnyj Bór. Grobla, okuta lodem, wiła się brzegiem boru, podobna do kapryśnej wąskiej ramy, ujmującej senny obraz zamarzłego jeziora. Po białej płaszczyźnie ślizgali się na łyżwach Austrjacy, miejscami zaś silniejszy wiatr miotał pył śnieżny nakształt srebrnego kurzu. Otaczało nas mocne, hartujące życie przyrody. Można tu było zapomnieć o wojnie i znaleźć chwilowy spokój w krzepkiej powadze starego lasu. To też prawie zawsze wesoła pieśń ułańska czepiała się potężnych sosen, gdy jędrne, rozgrzane na mrozie ręce piłowały proste młode drzewka. Dobudowywaliśmy magazyn, w którym przez dziwną ironję losu, zamiast chleba, znalazły się zczasem trupy kolegów...

Jakoś po piętnastym marca spadły rzęsiste deszcze, poczem przyszły słoneczne ciepłe dni. Poranki były jeszcze mroźne. Iskrzył się o świcie szron na dachach z „papy", na

pniach i na stosach drzew. Ale południe było już rozgrzane tak, że wszyscy wylegali na podwórze, na słońce. Pierwsza widziana w tym roku jaszczurka wzbudziła radość i nadzwyczajne zainteresowanie. Z oczu jej wyglądała wiosna i ciepła, słoneczna pieszczota.

Ze strony otwartej osłoniliśmy podwórze sztucznym sosnowym żywopłotem i postawiliśmy wysoką sosnową bramę z napisem może trochę literackim „Stanica Piłsudskiego". Czyż nie byliśmy jednak rzeczywiście w stanicy historycznej, z której czyniliśmy wypady w stronę nieprzyjaciela? Czyż nie było tu kominkowego spoczynku po krwawej śmiertelnej pracy? Mieliśmy swe orle gniazdo, skąd wychodziliśmy na łów plutonami w poszukiwaniu wroga, a jednocześnie szukała nas i znajdowała — śmierć... Mówię może zbyt wzniośle i ponuro. Ale wszystko tamto było przecież piękne i straszne. Widzę do dziś proste drewniane trumny...

Wtenczas okropność tę zagłuszył wiosenny gwar i młoda, bezpamiętna zabawa. Gra w tak zwane „kije" (po rosyjsku „gorodki"), skoki, śpiewy. Nawet cicha gwiezdna noc, zmuszająca do rozmyślań, tchnęła mocą i życiem. Szumiał dokoła las. Czarna jego ściana miała tęgi oddech przebudzonego żywiołu, niby nowy wiosenny rytm. I zdawało się, że ten nadzwyczajny rytm przenikał nam do krwi i zaczynał wraz z nią pulsować. Opadała z człowieka stara pleśń i, choć wiła się na dnie myśl czarna, chciało się wierzyć i ufać. Złudzenie to było tryumfem wiosny i wyzwalającego się z zimowych oków nieśmiertelnego życia przyrody.

III.

REDUTA № 3.

Idzie się po wąskim, jak kładka, pomoście nad bagnem poprzez ten sam cichy lub szumiący las — aż do reduty z potężnych okrąglaków, niby dawnej jakiejś w borach forteczki. Osłania ją reszta skrajnych od polany drzew, broni potężne z bierwion i ziemi koliste przedpiersie. W przedpiersiu tem biegnie długa, do mansardy podobna, kabina, oraz mieści się krągłe podwórze do alarmowych zbiórek załogi. Ze wszystkich strzelnic widok otwarty i ostrzał po ramę następnego lasu. Wedeta — czujne oko blokhauzu — włazi po schodkach na rodzaj prymitywnej ambony, gdzie czuwa na zmianę dniem i nocą.

Druty, zasieki i dziesięć, jak ta, redut, tworzyły niepewny, z trudem przeciągnięty przez las łańcuch obronny naszej linji. Grząski, może nawet miejscami bezdenny teren, nie dozwalał osadzić się tęgo w miejscu, twarzą w twarz wroga i okopać. Co dnia tylko, niby żywe macki, wysuwały się stąd patrole o kilka wiorst do rzeki, za którą był już nieprzyjaciel.

Jeśli wogóle na stanicy prowadziliśmy życie zawarte i leśne, to tamto odosobnienie nie było jeszcze niczem w porównaniu z tem na reducie. Pluton, który przychodził tu na służbę, jakby beznadziejnie zabłądził i przepadł. Miał zadymioną, głuchą, jak piwnica, kabinę—i patrzył w las. Oprócz dymu i lasu nie było nic. Zatracała się kompletnie świadomość tego, że gdzieś tam, za nami istnieje naród i bije jakaś żywa, a nam spólna myśl w bezustannej pracy i niepokoju.

Czujność nasza na tle leśnego życia i gwaru była jak wytężony krzyk. Dziwnie obco padały na nią nawet ciekawe nowiny, np. o wyjeździe Piłsudskiego do Lwowa niby to na wypoczynek, niby na jakieś tajemne narady. Wiedzieliśmy, że coś tam musi być, kiedy rusza się człowiek, który robi za nas sprawę i do którego przyrosły żołnierskie serca. Wiedzieliśmy jak przez sen... Czynność powszednia chłonęła nasze zmysły i uwagę. W dzień biel śniegu oślepiała wzrok. Nocami zmagały się znużone oczy z ciemnością, potykały o każdy wykrot i pień, pieczołowicie macały nikłe ślady. Nieraz mroźny wicher osmagał wedetę. Las huczał jak przeklęty... Przerażenie, jeżące włosy, tłukło się po śliskich skrzypiących kładkach...

Czuwaliśmy, bezsenna straż stanicy!...

Pierwszy ciepły podmuch wiosenny stopił śnieg i postrząsał z gałęzi okiść. Na tafle lodów wystąpiła woda, że polana była jak jezioro, którego powierzchnię marszczył wiatr. Twardy dotąd, niby skalisty grunt, przeistoczył się nagle w bure mokradła i lepkie grzęzawiska. Puszcza ożyła. Piszczało coś nad ranem w gęstych krzakach, słychać było taplanie i ruch. Po niebie ciągnęły długie ślady gęsi i dzwoniły klangory żórawi. O wschodzie słońca las poczynał grać na dobre. Odzywały się żołny i dzwońce, gęgała gęś, która opadła samowolnie za żerem i rozpaczliwie biła skrzydłami śród splątanych drutów. Pod samą redutę bezczelnie podchodziły rogacze, jeden nawet uwiązł w zasiekach. Wedeta na swej ambonie wyglądała jak cudowne stanowisko myśliwskie. Echo przynosiło pojedyńcze strzały i dalekie beczenie, niby odgłos rogu. Z rozlewnych bagien wstawały opary. Kapryśna mgła rozwłóczyła się po młodych, wyprysłych pędach krzewin i chybotliwie ciekła w las. Świeża zieloność obłóczyła drzewa. Zjawiła się wreszcie najsroższa plaga Polesia — komary...

Wiosna przemówiła do żołnierza: barwą, głosem i — utrapieniem...

IV.

PATROLE.

Pierwszy nasz patrol wypadł jakoś w suchy, mroźny dzień. Była pyszna ponowa. Sypki śnieg skrzypiał pod stopami. Ciężki srebrny mech przytłoczył gałęzie sosen, szklistemi paciorkami zwisł na bezlistnych rózgach brzóz. Co krok ślady saren. Płoszyliśmy nieraz błądzące, bezdomne ich stadka. Perspektywę otwierały przed nami gładkie, śnieżne płaszczyzny, albo zamykał posępny, bezdźwięczny las. Stąpaliśmy niby po bezmiernem jeziorze, na którem podobne do ciemnych wysp sterczały gaje. Niebo i ziemię powlekał niewypowiedziany odcień fioletowo-złoty, właściwy zimowym pięknym dniom. Nie było żadnych znaków szczególnych, wyróżniających drogę i kierunek. Szło się według kompasu i mapy, mijając niezmiennie większe lub mniejsze polany. Stopniowo jednak przez prowadzenie osłon plutonowych rozwijał się w żołnierzu przedziwny zmysł terenowy mieszkańców puszczy. Wyczuwaliśmy drogę prawie instynktownie z nieuchwytnych dla zwykłego oka szczegółów i właściwości pejzażu. Wiedzieliśmy, że tu trzeba wziąć bardziej w lewo, tam zaś — w prawo. Czas kojarzył się z przebywaną przestrzenią, krok nabierał stałej, dobrze zrozumiałej miary, jak rytm. Sposób patrolowania był może nieco kawaleryjski. Flankierzy piechoty posuwają się zwykle ostrożnie, powoli, jakby oko naradzało się z tem, co widzi. My, wzwyczajeni do szybkich wywiadów konnych, braliśmy bezwiednie tempo marszu takie, że ubezpieczenia boczne przy zmianie kierunku zachodziły biegiem. Czy to w lesie, gdzie osłony ciągną bliżej siły gło-

wnej, czy też na otwartej, szczerej równinie, gdzie odpadają daleko, jak tylko sięgnie wzrok, zawsze z obu stron plutonu sunęły pochylone sylwety żołnierskie pędem, niby puszczone ze smyczy psy gończe. Sprawiało to wrażenie jakiegoś okropnego polowania na ludzi, a było przecież niebezpiecznym może, ale w każdym razie błyskawicznym, brawurowym patrolem spieszonych ułanów. Szlak wywiadów był niemal stale jednakowy. Wychodziliśmy z reduty lewoskrzydłowej № 10, docieraliśmy do najwyższego nad Wiesiełuchą punktu „Tabała Chan", poczem wracaliśmy przez redutę prawoskrzydłową № 4.

Przebywany przez patrole rewir „Viehof" nosił jeszcze jakie takie ślady ludzkiego życia. Napół spalone resztki osiedli, nikłe wspomnienia opłotków oraz dawno nieobsiewane, lecz widoczne zagony mówiły echem przeszłości. Zato po wyjściu z lasu „Viehofu" na Żydowskie bagno rozstać się trzeba było z myślą o człowieku i życiu. Wielkie zamarzłe jezioro, a dalej ogromne mokradła, pokryte umarłym karłowatym lasem... Z dużych kęp, teraz oblepionych śniegiem, sterczały badyle nierozwiniętych drzewin, niby wetknięte złośliwie w pustynię patyki. Nie można było tego nazwać zagajem — raczej cmentarzem młodocianego boru. Coś tak okropnego było w pustce i nadbagiennej ciszy, że się da porównać tylko z ludzką śmiercią... Wrażenia przykrego nie rozpraszał następny bajkowy las, pełen kapryśnych wzgórz i złocistego piachu, który darł się ciekawie z pod zimowej opony, jak wesoły młody śmiech lata. Dużo tu było wykrotów i spróchniałych pni. Niejedna zawieja śnieżna porobiła w dołach i zawalidrogach kryjówki zaciszne, wymarzone schrony dla zwierza. Bór przechodził pomału w niskie jałowce i nagą, piasczystą falistość Garniku. Tak z prawa. Widok na rzekę wprost zasłaniał Tabała-chan.

Skąd się wzięła ta nazwa? Może ją pozostawił jaki zagon tatarski zamierzchłych lat lub zrodziła fantazja ludu. Stary kurhan, olbrzymia zapomniana mogiła... W zimie jakby wysoka czapa śnieżna. Na szczycie, niby groźny pióropusz, stoją trzy ponure, prawie czarne sosny. Obok — łys piasczystego wydmuchu, na którym przysiadły ciemno-zielone uparte jałowce. Miejsce to ma w sobie coś z przebrzmiałej zbrodni i okrucieństwa. Samobójca, jeśliby szukał, znalazłby tu najodpowiedniejsze dekoracje śmierci. Ze względu na łatwy dla Moskali ostrzał grzbietu wzgórza, patrole sięgały szczytu ostrożnie, pełznąc. U stóp płynęła zawile szerokiem bagni-

stem korytem Wiesiełucha, dalej biegł płaski brzeg aż do jakiejś odrutowanej placówki moskiewskiej i większych szarych kup zarośli.

Dnia 7/III zdawało się, że nas minęły dwa maleńkie rosyjskie patrole. Wysłany na nie z paru ułanami w las, stwierdziłem z odgłosu kroków ucieczkę paru ludzi w stronę stanowiska Niemców na Kuchowskiej Woli, gdzie po chwili wybuchły strzały. Możliwe, że nieprzyjaciel nas „macał", jak my jego. Czuł nas tuż—tuż. Drogi nasze się skrzyżowały, lada dzień mogliśmy na siebie nastąpić.

Spotkanie zdarzyło się dnia 11/III. Wyszliśmy, pluton il, o godz. $7^1/_2$ rano pod dowództwem ppor. Jabłońskiego wprost na Tabała-chan. Za leśniczówką spaloną, t. zn. niedaleko już od celu naszego wywiadu, „szpica" i prawa osłona podpatrzyły na polanie lodowej dziwny ruch. Nie było wątpliwości: Moskale... Pluton w tyraljery!... Podchodzimy na skraj lasu. Moskale naładowali sianem parę fur i odjeżdżają. Mijają oto niewielką kępę sitowia. Rozkaz. Wypadamy na lód. Byle do kępy... Ślisko. W butach woda, gdyż nogi wyłamywały miejscami w cienkiej tafli przeręble i grzęzły wyżej ud. Zamaskowała nas wreszcie brudna plama szuwarów. Poczynamy bić do uciekających. Celownik 800. Śród nich popłoch. Porzucają jedne sanie, z innemi uciekają cwałem, chwytając tymczasem za broń. Widoczne zdaleka wyraźnie długie czarne burki czy kożuchy i papachy z czerwonem dnem. Chyba dońcy... Jeden zaraz po pierwszych naszych strzałach padł. Dwuch go dźwiga i wlecze za sobą po lodzie. Za chwilę i oni poczynają się wstrzeliwać w naszą pozycję. Kule ze złym sykiem ścinają badyle tuż u głów, albo prażą w lód z suchym trzaskiem. Czas już się wycofać, dalsze bowiem ostrzeliwanie do niczego nie doprowadzi. Biegiem przebywamy przestrzeń z powrotem i, skręciwszy w prawo na Tabałę, w kolumnie pojedyńczo idziemy najspokojniej w dalszą drogę. Moskale jednak się rozwścieklili, jak podrażnione dzikie zwierzę. Słyszymy, że uparcie ostrzeliwują las, gdzieśmy im zniknęli. Po paru minutach, gdy tu pod nogami wesoło śnieg chrzęści, tam zaczyna grać zajadle karabin maszynowy. To zapewne z placówki rosyjskiej za Wiesiełuchą. Wesoło zdąża krok w takt złowrogiej muzyki... Wracamy upojeni spotkaniem i rozbawieni komicznym wykazem strat: rozłupana kolba karabinu i przestrzelone spodnie jednego z ułanów.

Wobec takiej możliwości zetknięcia z nieprzyjacielem, rotmistrz Orlicz zastanawiał się nad patrolem nocnym poważniejszym, choćby w sile całego szwadronu. Jednak moskale nas ubiegli. Przyszedł fatalny dzień 13/III i śmierć Ostera z towarzyszami.

Dziwna rzecz, iż kiedy mowa o Osterze i jego plutonie, muszę powiedzieć: pluton Ostera. Urósł on bowiem przez swój czyn. Dowiódł stanowiska i wysokiej godności kadrowego żołnierza Polski. Postać Ostera ozdobiła pluton i pozostanie w jego historycznej tradycji jako krwawy niezatarty znak honoru.

Wyruszyło ich 21, rano, jak zwykle. Gdy się mieli wychylić z Żydowskiego lasu na Garnik, trafili na ukrytą tyraljerę rosyjską. Padł w osłonie, raniony śmiertelnie ułan Bejgrowicz. Koledzy zatrzymali się, zrobili wprędce z gałęzi nosze i ponieśli go, cofając się lasem na Żydowskie bagno. Osłony tylne ostrzeliwały bez przerwy następującą linję nieprzyjacielską. Wtem, gdy ubezpieczenia przednie wyszły już na błoto i młodą karłowatą brzezinę, buchnęła salwa moskiewska i z tej strony. Nieprzyjaciel i tu był w takiej sile, że zaczął brać pluton jakby w kleszcze. Pozostała jedna droga ratunku: rozsypać się najluźniej, skokiem przebyć bagno i — w las. Gdybyż nie raniony!... Trzeba go było nieść, ostrzeliwać nacierającego wroga i nieść dalej. Duże szczerby czynili nas, w gęstej, ramię przy ramieniu linji rosyjskiej. Ale ta była coraz bliżej. Zawzięte dzikie twarze... Huczy „hurra“ i „ałła“... Pada przy noszach ułan Wojna, raniony ekrazytówką w nogę. Sanitarjusz nie zdążył mu już założyć opatrunku. Naboje się skończyły. Natarli wreszcie pierś o pierś. Pluton musiał rzucić rannych i bronić się, a ratować w pojedynkę. Wachmistrz Oster, jak u nas przystało, osłaniał odwrót. Osaczony ostatecznie wraz z ułanem Adamem Sałacińskim, nie poddał się. Zginął — kadrowy strzelec Piłsudskiego — chwalebną śmiercią samobójczą. Sałacińskiego zatłukli Moskale.

Wszystko to trwało nie dłużej nad pół godziny. Słyszeliśmy na majdanie głośną, żywą charataninę. Przed godz. 11-ą przybiegł stamtąd do nas z meldunkiem zziajany, jak po maratońskim biegu, ułan Łamigłowa. Natychmiastowy alarm i zbiórka pozostałych plutonów. Ściągnięto nawet załogę reduty. Porucznik Skotnicki poprowadził nas zpoczątku przez placówkę dziesiątą. Spotkaliśmy tu ludzi z plutonu Ostera i na zasadzie ich informacji zmieniliśmy kierunek, wyszedłszy

przez placówkę czwartą. Od Garniku idąc na Żydowski las i bagno, przebywaliśmy niejako drogę linji rosyjskiej, która stąd zaatakowała Ostera. Pierwsze ślady starcia — gilzy od rosyjskich naboi. Na bagnie ślady były liczniejsze i świeższe. Kępy mchu wygniecione, jakby wyleżane, połamane suche badyle drzewin. Tuśmy wpadli na pierwszego trupa. Oster leżał bez butów, przytuliwszy prawy policzek do lodu i wody, jakby słuchał... Spokojna, zawsze ta jego twarz i kobiece, po męsku zaciśnięte ręce... O kilkanaście kroków dalej Sałaciński, skurczony, z rozwartemi oczyma, rzucony na wznak. Twarz zalana krwią i piersi. Ulewa krwi, okropny rozbluzgany strumień... Gdyśmy już mijali gładkie jezioro, dźwignął się z kupy siana pod lasem jakiś szary cień i zatrzepotał rozpaczliwie rękami. Był to ranny ciężko Konrad Kasprzykowski, którego Moskale próżno próbowali dobić. Wszystkie te okropności przepełniły kielich cierpliwości żołnierskiej. Pierwsze oszołomienie gwałtownością i grozą wydarzeń minęło. Rozrastała się tylko jedna myśl, że Moskale przemogli naszych, zgnietli, poczem pastwili się jeszcze w pościgu. Podnosiła się utajona, głucha zawziętość, wyzierając z pociemniałych czeluści oczu, jak zemsta zaprzysiężona i nieubłagana. Wierzę, że gdybyśmy wtenczas spotkali choćby dwa szwadrony rosyjskie, tobyśmy je roznieśli ze wściekłym impetem. Owszem, pragnęliśmy spotkania z żywego serca, taka była żądza odwetu. Doszło nawet do tego, że kiedy na tle lasu mignęły jakieś podobne do Moskali sylwety, buchnęła, jak odruch, strzelanina.

W drodze powrotnej znaleźliśmy jeszcze rannego w nogę Romanowskiego oraz pozbieraliśmy rozproszonych po lesie ocalałych z pogromu ułanów. Kilku wyszło aż na lewe skrzydło na pozycję niemiecką. Przybyli Austrjacy z lekarzem pomogli nam nieść rannych i trupów. Wydłużył się smutny pochód, eskortujący cztery nosze. Posępny zimowy dzień tworzył odpowiednie cmentarne tło. Woda chlupała pod stopami. Cienka skorupa lodowa pękała, a w rozwierające się bagienka zapadali do kolan ci, co nieśli. Obnażała się zeszłoroczna zmięta trawa. Śnieg spływał z drzew, kapał brudnemi łzami z sosnowych kiści, rozlewał się w kałuże i stawy. Przypominał się żywo rok 1915 i śmierć Dudzieńca: ulewa i trup... Zawsze te pogrzebne procesje, ilekroć chodzi o symbol polskiego ruchu zbrojnego i łączenie miłości ojczyzny z pogardą śmierci...

Nazajutrz pluton III obmył trupy ze krwi, umieścił je na narach w niewykończonym magazynie, przystroił go zielenią świerków i trzymał wartę honorową przez cały dzień. 15/III o godz. 8[45] rano odbył się pogrzeb. Białe trumny z ładnie struganych desek zakołysały się nad tłumem na barkach żołnierskich. Ostera nieśli por. Skotnicki, por. Lewandowski, ppor. Jabłoński i ppor. Śmigielski. Żaczem dźwigaliśmy ogromne brzozowe krzyże, ostatni koleżeński dar grobom.

Dawniej, jeszcze podczas pierwszej zmiany por. Skargi, obrano za cmentarz wzgórze śród lasu, gdzie stały dwie stare sosny z chorymi, wykręconymi konarami. Potężne, ubrane w zieloną kosmatą kiść łapy zwisły nad ziemią, otulając biedne piaszczyste mogiły. Odbywało się jakby jakieś bezszmerne porozumienie między tragedją przerwanego młodego życia a kalectwem drzew. Leżał tu już ułan Jarosz, ofiara bohaterskiego lutowego kontrataku. W jednym rzędzie złożyliśmy Ostera i Sałacińskiego, niby na ostatnią, pozgonną zbiórkę. Słowa cichej mszy żałobnej były jak utajony szelest orlich skrzydeł albo łopot chorągiewek ułańskich. Odgłos tylu pobitewnych polskich chwil... Nie było żalu. Ojczyzna położyła dłoń na naszych sercach... Śpiewowi „Roty" towarzyszył takt spadających na trumny grud i piasku. Coś niby daleki głuchy krzyk matek, które składają na ołtarzu polskiej przyszłości największą ofiarę bolesnego kochania... Wypalony na tablicy brzozowej nekrolog, wypalał się w duszach. Do każdego słowa nawiązywało się wspomnienie, łzami ciężyła nieobjęta literami treść.

Ś. † P.
TADEUSZ OSTER-OSTROWSKI
Wachmistrz III szw. I-go P. Uł. Leg. Pol.
Brygady Piłsudskiego
Poległ w lesie Żydowskim dnia 13.III.1916.

Po powrocie z pogrzebu dowiedzieliśmy się, że Konrad Kasprzykowski zmarł. Poszedł za innymi na cmentarną zbiórkę. A było tam jeszcze miejsca na wielu. Zdaje się bowiem, żeśmy nie złożyli do reszty śmiertelnej dla jutra daniny.

16/III o godz. 12-ej w południe ruszamy łącznie z Austrjakami na patrol w sile mniej więcej 200 ludzi. Prowadzi rotm. Orlicz. Jedna część, większa, idzie drogą okrężną na „Viehof" i Żydowskie bagno, druga z furami po siano prosto na Tabała-Chan. Zaczęły się na dobre wiosenne roztopy.

Śnieg wypełzł jak zdeptany dywan. Woda nie wsiąkała w rude mchy, lecz rozlewała się naokół, podnosząc poziom bagnisk i jeziorek. Odarte z zimowych oków mokradła ziały topielą. Potworzyły się jakieś dziwaczne strumienie, któremi rwały, niewiadomo dokąd, prądy i płynęła kra. Nogi mamlały w grząskich podwodnych torfowiskach, łamały ukryty niezwyciężony jeszcze lód i wbijały się dalej w skudlone porosty i grążele. Na zacisznych polanach ciężar ludzki chybotał lodową powłokę i kruszył, zapadając wgłąb niemal po pas. Ostre skorupy darły cholewy butów i siniaczyły nogi. Na Żydowskiem bagnie kępy mchu wyglądały jak opuchłe. Były podobne do ogromnej pagórkowatej gąbki, która tamowała zdradnie każdy krok i wsysała w siebie aż do niewiadomego dna. Tam znów, gdzie z podwyższeń śnieg spłynął, ogołocone zostały korzenie dużych drzew. Pnie sterczały jak potworne wielonogi. I taki był cały, niby na palcach podniesiony, las. Miejsce katastrofy dnia 13-go pozostało z prawej strony, przechodziliśmy przez bagno blisko Wiesiełuchy. Dolatywało skądciś dzikie ujadanie psów, oddzielne wyzywające strzały i warczenie bębnów na rosyjskich placówkach. Szliśmy widocznie wzdłuż ich linji. Nie zaszło jednak nic godnego uwagi. Za drogo musiało kosztować Moskali zwycięstwo. Śmierć swoją opłacił Oster sowicie.

Wiosna przerwała zupełnie wywiady dalsze. Ograniczaliśmy się odtąd patrolowaniem pola wzdłuż drutów i redut. Ostatnią zatem kartę naszego tutaj eposu zapisały nekrologi: Ostera, Sałacińskiego, Kasprzykowskiego i rany trzech: Romanowskiego, Wojny i Bejgrowicza. Dwaj ostatni w niewoli.

Puszcza i bagna na przestrzeni od naszej linji do Wiesiełuchy były pozostawione samym sobie. Stały się pasem nieprzebytym, neutralnym.

V.

Z powodu śmierci Ostera wydał rotm. Orlicz-Dreszer rozkaz do I-go pułku ułanów.

„Koledzy!

Dnia 13-go b. m. (marca) na patrolu wywiadowczym, osłaniając odwrót otoczonemu przez Rosjan w olbrzymich bagnach plutonowi oraz czyniąc nadludzkie wysiłki, by nie oddać w ręce nieprzyjaciela ciężko rannego kolegi, zginęli śmiercią bohaterską nasi starzy towarzysze broni: wachmistrz Ostrowski i ułan Sałaciński; czterej inni ułani: Kasprzykowski, Romanowski Zbignicw, Bejgrowicz i Wojna zostali ciężko ranni. Spełnili oni na ochotnika wskazany im przez wachmistrza Ostrowskiego obowiązek osłaniania odwrotu cofającemu się przed znaczną przewagą nieprzyjacielską oddziałowi. Dowody nadludzkiej odwagi tak liczne w szeregach młodego wojska naszego i tak ofiarne, zostały złożone ponownie przez wyżej wymienionych kolegów naszych, z całą prostotą żołnierską oddających życie jako konieczny podatek krwi za prawo wolnego istnienia narodu. Niech pamięć ich męskich postaci i ofiarnego bohaterstwa wzmoże nasz zacięty upór w tworzeniu wbrew wszelkim przeszkodom silnego fizycznie i moralnie wojska polskiego, tej podwaliny bytu narodu, rwącego się do życia bez kajdan i kagańca. Niech żołnierz polski pamięta, że dla niego istnieją: zwycięstwo, bezwzględna pogarda śmierci a wstręt i nienawiść do niewoli, jak to stwierdził oddział wywiadowczy z dnia 13 b. m. Cześć i sława niech otoczą drogich bohaterów naszych z ofiarną męską postacią wachm. Ostrowskiego na czele!“

Gustaw Orlicz-Dreszer
rotmistrz m. p.

Fröhlichsdorf, dn. 14.III.1916
godz. 6^{15} przed południem.

Myśl rozkazu związała najlepiej czyn Ostera z przyszłością. Sens podobnych tragedji leży w tem, że są podwaliną jutra. Dzięki nim przycieś ojczyzny jest nietylko srodze zbryzgana krwią, ale podniesiona wyżej, na światło i wolność. Przez doświadczenie bolesne dochodzimy do twardej nieludzkiej prawdy, że naród, by się wydźwignąć ponad grób, musi go wypełnić stosem ofiar. Szare pasmo codziennego życia trzeba rozorać krwawą szramą wojennego tragizmu. Wzięło nas w swe łożysko życie narodu, niech się łamie nasz los...

Takie jest przekonanie i głos Najmłodszej Polski. Stoimy na przełęczy dwu światów: grobu i wolności. Okres nasz będzie kiedyś nazwany epoką polskiej odbudowy. Dlatego rzucamy na szalę wypadków mowę krwi i czynu, mowę najgłośniejszą.

Leżeć tak na poboju, jak leżał Oster, z uchem przy ziemi, wsłuchany w nowy, nadchodzący czas... Doprawdy: niemałą zasługą naszego pokolenia jest wypisać sobie czynem niezłomnym zaszczytny nekrolog.

NA KWATERACH.

1.

Od spoczynku w Kozach (Galicja) minęło wiele dni i wiele postojów. W ciągu r. 1915 i 1916 tłukły się szwadrony po różnych wsiach na olbrzymiej przestrzeni między Nidą a Wysokiem Litewskiem i Włodawą a Styrem. Przemierzyliśmy parę tysięcy wiorst traktów, pól, lasów i bagien. A poza epopeją potyczek i bitw snuł się stale inny dział życia żołnierskiego, druga niejako strona, pod dachem różnych kwater, albo w braku wsi pod odkrytem boskiem niebem, na biwakach.

W okresie kwaterunkowym, jak przystało na improwizowany oddział jazdy, dorabialiśmy to, czego nam najwięcej brakowało: ćwiczeń i gospodarki szwadronu.

W Kawęczynie (28.II – 12.IV.1915), wczesną wiosenną porą – jeszcze leżał śnieg i mróz trzymał mocny – pełniliśmy zwykłą służbę rezerw, chodząc na zmianę do okopów pod Sobowicami. Kiedy jednak przygrzało słońce i wyschło błoto, jeździliśmy ze Strzeszkowic (13.IV – 11.V) do Zagaja*) na ćwiczenia dywizjonem. Pamięta nas dobrze zryte kopytami dworskie błonie, miejsce szarż. Spoczynek nie był dla nas spoczynkiem rzeczywistym, lecz taktycznym, tyle, że poza linją. Wypełniał go bowiem czas nauki: maneże, musztra piesza i konna.

Od 12 maja, t. j. od przeprawy przez Nidę i pierwszego ofenzywnego marszu na Staszów, rozpoczął się długi szereg postojów, splecionych tak z robotą linjową, że możnaby je przyrównać do krótkich tylko wytchnień po pracy. Wysoczki

*) W Zagaju stał II szwadron i sztab dywizjonu.

Małe, Wolica, Konary, Pęsławice Dolne — a w tym huk armat, pożary, ruch taborów, przewóz zabitych i rannych, pogrzeby. Nie bitwa, ale w każdym razie echo jej widoczne, zakulisowy rozgardjasz wojennego dramatu. Nawet Domaradzice, gdzie staliśmy cały miesiąc (19.V — 22.VI.1915) niewiele różniły się trybem życia od najbliższej rezerwy rowów strzeleckich. Ostrzeliwali nas z dział, gęsty karabinowy ogień warczał po nocach. Jedna tylko rzecz była nieco odmienna: jeżeli w linji żyliśmy w gromadkach mniejszych, zwykle plutonami, z których każdy wypełniał swoje zadanie, to tutaj czuliśmy się i widzieliśmy się szwadronem. Wszystkie kółka i dźwignie gospodarki wewnętrznej były obnażone. Ustalały się wówczas naprawdę funkcje wachmistrza-szefa (Tadeusz Bieńkowski), jako pozafrontowego administratora, oraz pomocników: furażera i prowiantowego. Trudności było sporo, bo bez kuchni polowych, stołowaliśmy się na własną rękę plutonami, trochę z pobrania (t. zw. „fasunek"), trochę zaś — swędem ułańskim. Nie słyszeliśmy jeszcze o żadnym regulaminie koszarowym. Pierwszą normą było narazie przymusowe paszenie koni na łąkach i ranne przejażdżki na oklep. Co za chwile, pełne swobody i figlów studenckich, niepozbawione przytem czaru. Łąki wilgotne od rosy, lekki srebrzysty pył podlata z dróg, zawodzi szumnie las głęboki... Dzwonnym, chrobotliwym dwuszeregiem jedziemy w słońcu, gwarno, do wsi na mleko.

A dzień Bożego Ciała w kościele w Ułanowicach! Zatrzęśliśmy sercami tych, co patrzyli.

A wyjazdy na służbę do sztabu! We dwuch, we trzech, przydzieleni do jakiegoś detaszowanego bataljonu (np. VI baonu kapitana Satyra-Fleszara w Żernikach Dolnych, gdzie zginął por. Pększyc-Grudziński), pędziliśmy nieraz ze 30 wiorst na samodzielną robotę łącznikową i meldunkową. Strzelanina nocna, alarmy... W bezustannej gonitwie i harowaniu wiąże ułan działające osobno grupy ze sztabem. Połączone z tem jedyne, niezapomniane obrazy. Np. wieś Modliborzyce za Żernikami, w pasie neutralnym między okopami ich i naszymi. Szkielet rozebranego wiatraka, przerażająco wyciągnięte puste śmigi, niby trup olbrzymi, sterczący, objedzony przez ptactwo do kości... Rosyjskie patrole i nasze gryzły się o tę opuszczoną samotną wieś, jak o łup, którego żadna ze stron wojujących nie może podźwignąć i unieść. Niby to spokojnie szemrało zboże dokoła, a przecież kule karabinowe dziurawiły ściany domostw i zabijały żołnierzy.

I takie sceny należą do życia kawaleryjskiego na kwaterze, gdyż wszystko to działo się w okresie spoczynku. Sznur wspomnień długi, jak szlak naszego marszu, od postoju do postoju. Młoda, pamiętna na zawsze melodja...

Później podobne dni na prawym brzegu Wisły. Walki piechoty pod Urzędowem i nasze czuwanie w Wyżniance, dosłowne spanie „na baczność". Tu pamięć wyłania obraz ułana Tadeusza Wesego. Kula szrapnelowa przeszyła mu tył głowy. Wieźli go konającego na wozie drabiniastym bez słomy. Nagi kadłub tłukł się bezradnie o deski. Obandażowana, zalana krwią twarz skakała podrzucana na wybojach. Głuche, z głębi piersi stękanie, w rozwartych oczach — śmierć...

Po Wyżniance (pierwszy raz piętnowano konie znakiem I. P. U.) postoje krótsze aż do Lublina (w Kłodnicy Górnej zbratanie się z V szw. rotmistrza Ostoi), zaczem marsz przez Podlasie na Brześć. Ciężka droga z beznadziejnem marzeniem o Warszawie... Przyrosła broń do dłoni, podobnie jak do duszy wiara w naród, że wkrótce zrozumie naszą utajoną walkę z N. K. N. i z nowym zaborcą, który gości w stolicy. Mogliśmy być atutem wygrywającym ojczyznę, o ile nas ujmie naród...

Za Niemirowem biwakowaliśmy 3 doby w lesie podczas ustawicznego deszczu. Tutaj obdarzono nas wreszcie kotłami do gotowania (II szw. miał już od Podlasia kuchnię polową, ktorej mu zazdrościliśmy tembardziej, że rozpościerał się przed nami kraj zniszczony i pusty). Pierwszy kucharz szwadronowy, Koźbiał, przejdzie chyba do potomności ułańskiej, jako twórca ciężkostrawnych rosołów.

Po niedługich walkach w Wysokiem Litewskiem i okolicy (21/VIII — 24/VIII) przesunięto brygadę na południe pod Włodawę, a w parę dni za Bug, gdzie rzucono siły polskie na Kowel, Stochód i Styr. Rozpoczęła się smutna jesień naszej wojny. Zgryzota przysiadła myśli i ciemiężyła żołnierzy, spracowanych nieustanną harówką, niewywczasem i bojem. Mordęga taka sama, jak jesienią 1914 r., a jednocześnie jakże inny nastrój. Serdeczną drogę do Polski, po której chadzała tęsknota, przyoblekł zmierzch i smutek.

Marsze i żywe, zmienne ugrupowania zostały wreszcie zahamowane. Przeszliśmy do upartych zmagań pozycyjnych, wobec czego postoje kawalerji wypadały zdala od linji i dłuższe. Rozkwaterowywaliśmy się na dobre, niczem w koszarach czasu pokoju. Dawniej nocleg, czy spoczynek, ledwie starczył na wytarcie i naobroczenie konia, uwarzenie sobie jadła

i sen; stopa nie wytchnęła jeszcze po wyjściu ze strzemienia, a już budzono nanowo. Teraz inaczej. Wyrabiał się stalszy, koszarowy tryb życia.

Pierwszy porządny postój tego typu mieliśmy w Kowlu (X/1915). Był to okres nietylko starannego odżywiania koni, czyszczenia rynsztunków i doprowadzania do porządku rozlatującej się odzieży, ale również forsownej reorganizacji gospodarki ogólnej, szczególniej taboru, nad którym dowództwo objął ppor. Tatar - Abłamowicz. Własna pułkowa piekarnia dostarczała nam doskonałego chleba, kuchnia szwadronowa dobrych obiadów, wachmistrz - szef — wina i rumu, miasto — rozrywek, zawartych w dwu słowach: kinematograf i knajpa. Czegóż pragnąć więcej! Szerzyły się też książki, nawet niezgorsze, niewiedzieć gdzie i jak zbierane. One to zmagały nieprzemożoną nudę, sączącą się wraz z deszczem, który chlipał bez końca, jak płacz.

Szaruga jesienna trwała do chwili odmarszu, poczem, kiedyśmy już szli na Styr, wypogodziło się w krótkim czasie i cały świat zasnuła pajęczyna babiego lata. Wprędce jednak przygnał ostry północny wiatr nawałę chmur i rozdudniły się ostatecznie sute deszcze. Konie grzęzły w niezgłębionym błocie białoruskich dróg, po których przewalały się ogromne kolumny wojsk i wozów. Wszystkie wsie zapełniło żołdactwo austryjackie i tabory. Nieruchomiała pozycja na zimę i kawalerję ściągano do okopów. Pełniliśmy tę służbę pieszą, kwaterując narazie w Borowiczach nad Styrem (listopad), lecz z powodu niebywałego stłoczenia oddziałów zmuszeni byliśmy przejść do Bohuszówki. Była to rozrzucona na wielkiej przestrzeni kolonja. Plutony stały od siebie tak daleko, że kuchnia szwadronowa objeżdżała z obiadem poszczególne kwatery. Tutaj w dniu 22 listopada utworzono oficjalnie szwadron IV-ty z jazdy sztabowej ppor. Dzieduszyckiego (tak zwanych złośliwie „szkopów" albo „madziarów") i plutonu radomskiego, który przyprowadził wachm. Świderski.

Nareszcie więc dorobiliśmy się kompletnego pułku po roku wojny, na schyłku 1915 r.

Dnia 20 grudnia rano opuściliśmy Bohuszówkę, cofając się za Stochód, aby w warunkach wygodniejszych odetchnąć. Należało się to nadewszystko koniom. W marszach częstych zeszkieleciały one okropnie.

2.

Marsz przez ośnieżone pola, które świt powlekał niebieskawą zimną barwą. Równia gładka, jak morze. Ciemne wstęgi dróg wiążą się tu i owdzie, odpływając, niby potoki, w bezmiar, gdzie nieodróżnić chmur od ziemi. Czarujący sen, zimowa bajka... Lato, pełne bujności i życia, jest bardziej ziemskie w porównaniu z tym oto widokiem, gdzie półbarwy i półświt przenoszą nas w regiony marzeń.

Przejeżdżamy przez zniszczony, jakby zdeptany Powursk. Mróz szczypie w stopy. Szczęk kopyt miesza się z chrobotem łopat robotników, zajętych naprawą traktu. Jeńcy-Rosjanie. Jasno-zielone, brudne szynele sołdackie, czapy baranie na łbach i oczy proszalnie wyzierające z żółtych, znędzniałych twarzy. Zaczyna padać śnieg wielkimi ciężkimi płatami i cały świat zasnuwa białym ruchomym welonem tak, że wszystko jest senne, milczące i smutne.

Nocleg w Krywle za Mielnicą. Po przejściu pod Stobychwą Stochodu docieramy do Werchów, gdzie roztasowujemy się na święta.

Nigdzie chyba nie było takiego mnóstwa ładnych kobiet, jak tu. Małe ich dłonie i szlachetny profil wskazywały na niewątpliwą domieszkę pięknej rasy. Musiała stać kiedyś w niedalekiem sąsiedztwie chorągiew pancerna, bo skądżeby ten wdzięk niewieści... Iskrzące ślepia ułańskie wnet to spostrzegły nawet w słabym odblasku płonącego łuczywa. Ze stodół i stajni dolatało wesołe parskanie koni, a zdawało się, że to młode chrapy ludzkie grają w takt jurnym myślom...

Przygotowania do uczty wigilijnej, która odbyć się miała w plutonach, zajęły wszystkich gruntownie. Ten jechał po

wódkę, tamten po ryby, inny jeszcze po masło, jaja, mąkę, mięso i różności. Reszta doglądała koni, robiła porządki świąteczne i stroiła chaty. Tradycja domowego Bożego Narodzenia grała we wspomnieniach. Tęsknota biegła niekiedy w rodzinne pielesze, na kochany próg własnego mieszkania, do matki. Coś ciężyło w sercu i drżało, jak łza, która nie śmiała dowędrować do oka. Trzymaj się! Marsowa otacza cię rodzina — najserdeczniejsze koleżeństwo żołnierskiej służby. Każdy jednak musi być wtenczas dziwnie samotny w myślach, niby zagubiony na obczyźnie człowiek. Tak opętać potrafi ułana najzwyczajniejsze cywilne wzruszenie.

Utworzyły się niejako cztery zwarte koła familijne: plutonu I-go z komendantem Dzikiem-Kleszczyńskim, II-go z podporucznikiem Jankiem Kawińskim, III-go z podpor. Antonim Jabłońskim i IV-go z komendantem Zygmuntem Dublańczykiem Piaseckim. Było przejść po kwaterach i wejrzeć skrupulatnie w drobiazgi całodziennego życia, we wzajemne stosunki, rozmowy i zajęcia: to więcej niż koleżeństwo. Ludzi obcych spokrewniła nie robota, której zyskiem krew i groby, lecz niemożliwy do wypowiedzenia entuzjazm, aczkolwiek zbyt górnolotne słowo „Polska" rzadko się słyszało. Patos u nas istniał żołnierski, to znaczy wstydzący się żebrać — podziwu i uznania. Zawsze tak samo, w robocie naszej i w zabawie.

Dla przykładu opowiem wam, jak świętował pluton IV-ty.

Dawno już ustał rozgardjasz w kuchni i główny mistrz ceremonji, malarz Walecki, odetchnął. Wszystko gotowe. Zestawione w podkowę stoły przykryto sianem, obleczono kapami i kocami i rozmieszczono na nich talerze i menażki. Wyświeżeni uroczyście, czekamy. Zstąpiła noc zupełna i niejedna już gwiazda rozbłysła, kiedy wszedł rotmistrz Orlicz-Dreszer, starym zwyczajem uczestnik wszelkich uczt, jako pierwszy ongi dowódca plutonu IV-go. Baczność! Raport i — precz sztywność służbowa żołniersko-oficerska. Koleżeńskie święto i basta! Z rumorem obsiadamy stół, a we wsi tymczasem kanonada rakiet, które zwiastują powszechną „dobrą datę". Wtem ryknął ktoś z ulicy: pożar!... Wypadamy przed dom, a tu grzywa płomieni kotłuje się na strzesze pobliskiej stodoły. To od rakiety. Śnieg nie zdążył jeszcze mokrym pyłem zasuć dostatecznie słomianej chyry. Ogień wyścibał się z pod białych płatów i syczał, jak woda w kotle. Wskok do drabin i nuż drzeć strzeszaki i ciskać na ziemię, gdzie wtłaczano je w śnieg, na pohybel. Biegały już

konwie z wodą poprzez zaimprowizowany błyskawicznie łańcuch rąk. Krzyk się czynił we wsi, baby podnosiły lament, akby się budził pomału śpiący dotąd ul. Na szczęście zdujszono pożar w zarodku, odblask zniknął, zmroczył się znów i jeno wałęsał się śród obejść swąd spalenizny i dokuczały niejednemu srodze poparzone dłonie. Z ognia i dymu z powrotem za stół, gdzie przełamano się prawie w milczeniu opłatkiem. Ani jednej teraz rakiety... Dobiegały zato głosy podochoconych, którzy, wcześniej ukończywszy wieczerzę, poczciwie hałasowali. Śpiew...

Narazie trudno było niemówić o pożarze i nie wchłaniać z apetytem specjałów, składając tem najwymowniejszy dank talentom kucharskim kolegów. No, bo w samej rzeczy, takie ryby smarzone i w galarecie, takie pieczyste, ciasta i kompoty, — godne były najwyższej pochwały. Odrazu też z należytą atencją wprowadzono wódkę, którą rozlewali do kieliszków dwaj podczaszowie.

Wogóle należy odróżniać trzy fazy uczty. Pierwsza — w formie zwykłego zebrania koleżeńskiego, trochę studencka, omawia się to i owo, przeważnie natłok spraw bieżących. Druga, — kiedy wychodzi najaw starannie tajony entuzjazm, historja zaziera nam do oczu, a patos czynu legjonowego śpiewa legendę o rycerzu, aż włosy powstają na głowie, że to taka ze snów rzeczywistość... Trzecia wreszcie — to ostateczna „wstawa", jakby ze wstydu, iż pozwoliliśmy się tak dalece ogarnąć poezji. Nie możemy przecież być przed samymi sobą aktorami, czy osobami dramatu.

Drugą fazę rozpoczął toast rotmistrza. Pił za zdrowie tych, którzy nie na ławie szkolnej, lecz w polu składają największą ofiarę ojczyźnie. Zdawało się wtenczas mimowoli, że wtłoczyli się do izby wszyscy zostawieni na pobojowiskach i w samotnych rozrzuconych grobach koledzy. Uczyniło się na moment straszno, jakby powiało czemś takim, co poza nami, to znaczy poza losem człowieka, tworzy dzieje narodu.

Wnet jednak przyszły toasty inne, cielistsze, w które nie lazł entuzjazm, niby płomień i dusza. Nawet umyślnie poniekąd przerzucano się gwałtownie w fazę trzecią, zdecydowanego pijaństwa. Powaliło najpierw, naturalnie, podczaszych, jako-że musieli pokryjomu nadużyć trunku. Wyniesiono ich za łby i nogi do innej chaty na urządzone przezornie legowiska ze słomy. Pozostały tęższe głowy. Teraz dopiero wynicowano całą kampanję minioną, obmówiono nie-

boszczyków, wyśpiewano wszystkie pieśni. I kiedy większość legła już na ławy w nieprzemożonym śnie, mała jeszcze grupka długo ciągnęła rozhowory przy butli, kołując mocno językiem. Najwytrzymalsi pogasili światła i spóźniona cisza zimowej nocy objęła wieś tak, że milczały nawet psy, upojone chyba wigilijnem weselem... Zrzadka i sennie postukiwał krok rontów szwadronowych, wybijając marznącemi stopami takt obowiązkowego czuwania.

Dnia 27/XII rano I-szy szwadron, poprzedzony kwatermistrzami, przeniósł się na stałe do Majdanu, małej, zaszytej w boru polskiej wsi. Nie jechaliśmy drogą krótszą, gdzie w mokradłach mogły potonąć konie, ale dłuższą, okólną, zato pewną. Las i las. Wąziuchny trakcik pomykał śród drzew, myląc kierunek i jakby szukając pewniejszego podłoża na mocno rozwidlonych korzeniach sosen. Gdzieindziej bowiem zapadał w bagienko czarno-rude, na którem dziwnie nie trzymał się śnieg. Ponura cisza i mrok, mimo wczesnego dnia, usposabiały do marzeń o 63 r., kiedy to ojcowie nasi... Taki sam przenikliwy chłód darł ich zbiedzone ciała na zlodowaciałych błotach.

Mieszkańcy Majdanu, dawni czynszownicy, z góry patrzą na Rusinów. Nie krewnią się z nimi nigdy, stanowią dla siebie swój odrębny świat. Nam byli radzi bardziej może niż chłopi w Królestwie. A cóż dopiero, gdy przejrzeli zbliska polskość naszą i ideę, bo ta, czy tak czy owak, musiała się objawiać w ciągu pięciu miesięcy postoju... My również nie potrzebowaliśmy się skarżyć na kwatery. I ludzie uprzejmi i wieś nadzwyczajna, niczem obmurowana lasem samotna twierdza, gdzie zamknięto szwadron na dłuższy spoczynek. Wrażenie zamurowania było tem większe, dopóki nie postawiono mostków na bajorach, rozcinających proste połączenie z pułkiem w Werchach.

Z początku bawiliśmy się trochę, np. w noc Sylwestra, kiedy pluton II-gi tańczył z dziewuchami miejscowemi do rana. Później jednak dawać się zaczęła mocno we znaki monotonność życia i nuda. Zdarzały się wówczas coraz częściej już nie zabawy, lecz rzetelne pijatyki, jak w garnizonie. Coprawda, mieliśmy w tem wszystkim zawsze swój gest i ton, nic z sołdactwa, raczej pewną gorycz. Pomyślcie: ojczyzna, zdawało się, że czeka, a my tu załogą, w białoruskich błotach... Kapitalnie wyraził się kapral Mastalerz, kiedy alkohol poplątał mu nieco nogi: „Jestem mocny teraz, jak Polska".

W powiedzeniu tem ukrywa się sens przeżyć naszych onego czasu.

Cobyście zresztą powiedzieli na samą pogodę, która niebardzo dopisywała. Pycha słońca rzadko świeciła w oczy. Częściej wył wiatr i deszcz spływał. Szary zmierzch zapadał od rana do nocy, tłukł się po wsi, właził do izb przez szyby. Każdy ciemny kąt ziewał, rozdzierając paszczękę, a nuda wylegiwała się po ławach jak senny chłop. Niemożliwe, żeby ten zmierzch był tylko tutaj. Obejmował on z pewnością całą ziemię, owładał życiem. Gdzieś — gdzieś czaiła się tęsknota do światła i dnia, — zaledwie gdzieś... A tymczasem z lasu wypełzała noc długa i posępna.

O takiej porze przychodziła zwykle poczta. Nie wyobraża sobie normalny człek, mający dużo rozrywek, co znaczy garść listów i gazet dla zapadłej ostrowi wojskowej. Przerwany mur, oddzielający nas od świata. Świat mówi. Dalekiego krzyku czy dalekiego kochania marne echo — czarne literki pisanych słów... Poza nudą, w ojczyźnie, — gwar, poza nocą, w ojczyźnie, — dzień i słońce... Czytamy i marzymy...

3.

Od 5 stycznia (1916 r.), kiedy grunt stężał od mrozów, wprowadzono maneże, ustalając jednocześnie terminologję komend i regulamin. Stopniowo poddawaliśmy się garnizonowemu porządkowi zajęć. Na kwaterze i w stajni musieli być dyżurni, pilnujący ładu, przestrzegano bardzo surowo czystości rynsztunków, częste inspekcje i przeglądy nawiedzały szwadron. Ćwiczenia przerwały nudę i bezczynność. Zwykle o godz. 9-ej — dla podoficerów, a o 2-ej po poł. ćwiczenia piesze, podczas których plutony prowadzili nieraz dla wprawy podoficerowie. Nie było czasu na ziewanie. Twardy tryb trzymał nas w ustawicznej pracy, tembardziej, że oprócz ćwiczeń w Majdanie chodziliśmy do Werchów na strzelanie, gdzie prowadzono również musztrę całym pułkiem.

Pierwsze ćwiczenia konne pułku wypadły wspaniale. Był mroźny cichy dzień, ozłocony zlekka słońcem. Na ogromnej równinie między lasem a Werchami leżał śnieg cienką, miejscami rozdartą płachtą. Z rozdarć tych patrzały czarne pofałdowane zagony, dzwoniące twardo pod kopytami koni, jak granit. Teren na lewo od wsi dziwnie wybiegał w górę, jakby podpierając na widnokręgu blade sklepienie niebios. Pysznie wyglądały szwadrony na tle pól, śniegu i nieba, w zimowem słońcu. W chrzęst marszu wpadał jednakowy szczęk szabel i słów komendy, wołanej gdzieś na czele przez rotm. Orlicza. Linje łamały się składnie, jak z nut, zajeżdżano szwadronem, obracano na lewo w tył plutony, rozwijano dwurząd w jedną i w drugą stronę. Parskały konie na zdrowie i pomyślność, na piękno i szczęście. Bór stał nieruchomy i senny, niby patrzący i zasłuchany. Zdawało się bowiem aż do złudzenia,

że to nie my, nie wojsko, ale barwne strofy układają się rytmicznie w żywą pieśń o pułku.

W pierwszych dniach lutego otrzymaliśmy rozkaz z Brygady patrolować szeroko pas pozafrontowy, gdzie ukazały się jakoby niewielkie oddziałki rosyjskie, które szpiegowały ruchy wojsk i niszczyły linje komunikacyjne. Jeździliśmy na wyprawy takie nielicznemi grupami po 8—12, swobodnie i lekko, jak na przejażdżkę. Wnikaliśmy w nieznaną dotąd głębinę lasów, na zaszyte w komyszach futory i t. zw. „zachody". Ludność, widząca nas tutaj po raz pierwszy, uciekała z dobytkiem w mokradła, kryjąc się w gąszczu krzaków. Rzadko kiedy witał nas czołobitnie pozostawiony starowina, mlamląc lękliwie drżącemi wargami, że nic i nikogo niema. Nie tak było po wsiach ludnych przy traktach. Gościliśmy w nich często, a przecież nigdy nam nie zbywało na niczem. Sute obiady dla ludzi, koniom dobre obroki. Wyjazdy te nie były bezowocne: II pluton pojmał dwuch Moskali, piechotę, a ilu ich przepłoszyliśmy, zanurzając się tem, dokąd nie sięgał przemarsz normalny...

Zwykle, czy po ćwiczeniach, czy po powrocie z wywiadu, podjadłszy, zasiadaliśmy wieczorem znużeni w izbie, którą oświetlał ogień z komina i łuczywo. Tajało w człowieku zmęczenie, tajało od ciepła i ciszy. Jakiś czas panowało milczenie, wprędce jednak odbiegała myśl od trosk dnia bieżącego. Zaczynały się zaraz opowiadania. Przeżycia osobiste z wojny, z cywila, z podróży, spostrzeżenia i poglądy, spory abstrakcyjne, studenckie, a najczęściej omawiany świat, do którego leciała tęsknota. Nie wiem ściśle: Warszawa, Polska, armja narodowa, naród, który śpi, i komendant, który czuwa?... Nie wiem, czy jedno, czy wszystko, dość, że osią była sprawa, wtopiona w nas i wkorzeniona do rdzenia idei. Kończyło się na tem, że nie starczało słów, marzenie rozrywało zdania. Przechodziliśmy do śpiewu, do melodji. Drżały przytem serca tajemnie i mieniły się oczy niewidoczne dla kolegów w mroku. Rozumieliśmy dobrze, że pracujemy wciąż nad armją, która ma swój sen o Ojczyźnie, ale snu tego nie może urzeczywistnić. Armja beznadziejna...

Okres walk pieszych nad Wiesiołuchą („Stanica Piłsudskiego") rozdzielił szwadron. Część większa poszła na robotę, mniejszą zatrzymano przy koniach. W ten sposób marcowe dni zbiegły szybciej, nastał kwiecień i wiosna. Kiedy wracaliśmy z linji, śmiał się stary świat od słońca i pogody.

Śniegi zczezły, na bagnach powschodziły bujne trawiska. Las oddychał już ciepłem i gwarzył.

Po powrocie tryb życia garnizonowego odczuliśmy bardziej niż przedtem. Zaprowadzono bowiem t. zw. inspekcje pułkowe, to zn., że plutony wystawiały kolejno kordegardę i pełniły związaną z tem służbę łącznikową i wartowniczą. Porządek dnia ujęto ostatecznie w formę następującą:

godz. 5 rano — wstawać;
do g. 7 „ — oczyścić i naobroczyć konie, oporządzić stajnie;
do g. 8 „ — śniadanie;
„ „ 10 „ — maneż, gimnastyka, ćwiczenia;
„ „ 12 w poł. — zajęcia w plutonach;
„ „ 2 po poł. — obiad;
„ „ 4 „ — ćwiczenia;
„ „ 9 wiecz. — czas do dowolnego użycia.

Z konieczności ednak wszystko to uległo pewnemu zastojowi z dwu przyczyn: blisko połowa zbiedzonych i źle odżywianych przez zimę koni zachorowała na świerzb, resztę zaś wypożyczono gospodarzom do pracy w polu za zwiększoną porcję obroków. Musiała przeto ustać częściowo służba ułańska i oddziały znalazły się niejako na wolnej, wakacyjnej stopie. Wczasom naszym towarzyszył nawrotny z początku chłód, później zato wróciło wiosny we dwójnasób. Liście odwijały się już prędko z pąków, ruń okryła pola, a na łąkach i przy drogach kołysały się wysokie źdźbła ziół i wczesnego kwiecia. Wieczorami, kiedy słońce zapadało za las, niby w pożarach, żaby dawały głośny koncert, który uciszało dopiero majestatyczne nadejście nocy.

Urok cudnej wiosny podniesiony był niepomiernie przez to, że dostawaliśmy po raz pierwszy urlopy. Zaczęła się ta błogosławiona kolejka od posępnych i dżdżystych dni jesieni 1915 r. Czy zrozumiecie, jak można szaleć, gdy się ma urlop w kieszeni i pociąg mknie z moją radością do rodzinnego miasta?... Zima i rozpaczliwie nudny garnizon białoruski nie wydawały się takie straszne. Liczyło się dni, brakujące do urlopu, albo też trawiło się w ciszy czar i szczęście krótkiej chwili na „hinterlandzie". A zwłaszcza, jeżeli wypadła jazda w czas wiosennego święta... Ułan miał słońce nad sobą i w duszy... Niezgojona rana — sprawa, którą nosił, zabliźnia-

ła się, a dolegała wtedy chyba, kiedy obce ręce zmacały bliznę, czyli zacięło ją rozsądne, niewolne słowo.

Kończył się urlop. Wracałeś, żołnierzu, ze snami o domu i długo w nocy chodzić musiałeś po drodze, aby pogwarzyć sam na sam ze sobą. Tymczasem śród niskopiennych drzew przydrożnych i w gęstem podszyciu leśnem słowiki tworzyły pieśń za pieśnią. Przedziwna symfonja melodji wewnętrznej człowieka: oto słowicza pieśń wyśpiewywała twoje własne szczęście...

Lato było w pełni, kiedy opuszczaliśmy Majdan nazawsze. Kobiety płakały, dziewczęta, ubrane odświętnie, rzucały pęki kwiatów polnych pod kopyta maszerującego szwadronu. Przechodziliśmy z całym pułkiem za Stochód, bliżej linji bojowej, do Hradysk. Miało dojść niebawem do walki do słynnego odwrotu z pod Optowej.

4.

Osobny rozdział muszę poświęcić wam, przyjaciele-konie, których wysiłek towarzyszy wiernie ułanowi przez wszystek czas kampanji i postojów. Jeżeli jest w jakim czynie naszym coś z wizji rycerskiej i niepokonanego męstwa, to niemała zasługa przypada za to bezwarunkowo koniowi. Jego przeżycia traktowaćby należało łącznie z naszemi, i to byłaby dopiero prawdziwa epopeja jazdy. Tysiące sytuacji, a niemniej przytem uczuć, odcieni i stanów duszy końskiej, — tysiąc bogatych strof. To nie żarty.

Macie atak na ostre. Szarża rusza zpoczątku ciężko, kłusem. Nagle zgrzytnęła broń wyrwana z pochew, aż rozbłysło. Konie przysiadły na zadach i poszły półgalopem, rwanego, łby w ganaszach, uszy postawione na czuj. Jednocześnie manewr w pysku nieustanny — wyciąganie munsztuka. Czujesz w dłoni lewej ten napór, koń do ciebie mówi, chce pędu. Ostry krzyk komendy — puszczasz cugle. Koń momentalnie zmalał, szyja wyciągnęła się, uszy padły wtył stulone. Wiatr świszcze. W chrapach gra. Szwadron, niby apokaliptyczna bestja, kotłuje po błoniu naprzód z jazgotem i wrzaskiem, miga, — poleciał...

Wywiad w dzień... Koń idzie zlekka na zadzie, uszy wysunięte nieco wprzód, wsłuchane. Stąpa miękko. Czasami cicho parsknie i poruszy łbem. Oczy śledzą bystro przestrzeń.

Wywiad w nocy... Stęp ostrożny, jakby czający się. Łeb co chwila wysuwa się w ciemność. Uszy postawione prosto, drgają raz po razu. Oddechu nie słychać. Chałas cichy, jaki może powstać, wywołany bywa skrzypieniem i po-

brzękiem rynsztunku. Co pewien czas koń przystaje i tajemniczo wciąga nozdrzami powietrze. Zdaje się, że węszy i słucha.

Ostrzelali cię. Koń zawinął na miejscu i w skok.

Powracasz z oddziałem. Jedziecie ławą na posterunek nieprzyjacielski. Kule brzęczą, gwiżdżą i śpiewają, jak owady. Stęp powolny, ale niby na paradzie. Koń mocno zebrany, szyja w pion, rozdęte nozdrza posapują ostro, odważnie. Łeb drga równo z mgnieniem oka.

Czyż te efekty zewnętrzne nie kryją całych scen, przeżywanych samoistnie przez konia? A dochodzi do tego jeszcze to, co koń odczuwa wspólnie z jeźdźcem. Niepojęty bowiem kontakt łączy ich obu zawsze i stale.

Wczoraj np. oblatywał cię tchórz. Koń szedł niespokojnie i niepewnie. Bojaźń myliła jego krok, łeb rzucał to wlewo, to wprawo, po skórze przebiegało drżenie. Dzisiaj jesteś mężny, jak Zawisza, pragniesz spotkania. Koń idzie, podobny do stalowej sprężyny, zaopatrzonej w słuch i baczne oczy.

Powiecie może, że to wszystko złudzenie i naciąganie. Jak to się jednak dzieje, że koń odróżnia marsz bojowy od zwykłego przemarszu z kwatery na kwaterę? Dlaczego na przejażdżce i na patrolu nie zachowuje się jednakowo? Kto mu podszepnął, że teraz ścigamy wroga i następujemy, a teraz cofamy się i bronimy? Bo czemu raz jest pewny siebie i wesół, a kiedyindziej smutny, choć mu równie, jak przedtem, niczego nie brakuje. Stanowczo, koń ułański ma swoje myśli i spostrzeżenia, któremi się posługuje w wielce urozmaiconem acz niepewnem życiu, miłuje jeźdźca i pomaga mu z własnej a nieprzymuszonej woli. Słowem, poważny spółudział konia w czynach naszych jest niezaprzeczalny.

Nie mówię, naturalnie, o gatunku, który trafia się w wojsku rzadko i który zasługuje ze wszechmiar na obelżywą nazwę bydlęcia. Głupi, knąbrny i zły, stacza on bezustannie walki ze swym opiekunem. W stajni kiedy ten najpoczciwiej w świecie wlecze buchniętą gdzieś wiązkę siana, niewdzięcznik, uprzedzając łaskę, grzebnie go kopytem. Czyszczony starannie zgrzebłem, osobliwie w najdrażliwszym miejscu pod brzuchem, nie omieszka schwytać zębami za czapkę, mało zważając, że wyrywa z nią garść włosów. Najdotkliwiej zaś daje się we znaki w szeregu na musztrze. Kiedy skomende-

rują baczność, on właśnie zaczyna się kręcić. Wściekły, że psujesz spokojny szyk, oraz klnąc w duszy najordynarniej, dojedziesz go chyłkiem w bok ostrogą. Ale skarcony zamiast się uspokoić, wpada w gniew, miota się, wywołuje zamieszanie, syki sąsiadów, poczem tryumfalnie, mimo twego przeciwdziałania, wycofuje się tyłem z pierwszego rzędu na drugi, rozbijając pluton ostatecznie.

Takich koni jest zresztą zbyt mało, aby się dłużej nad nimi zastanawiać. Ogół, mający niesłychane zalety, stanowi przewagę i cierpliwością a dobrocią okupuje stokrotnie przewiny nielicznych wyjątków.

Stosunek, jaki łączy ułana z koniem, zasługuje na miano rzeczywiście wyjątkowego. Nie wiem, w której kategorji ukochań możnaby go umieścić. Kocham przecież dziewczynę, kocham przyjaciela i — kocham konia. Kocham naprawdę. Widziałem żołnierzy bardzo wytrzymałych i poważnych, których zasępiała niejednokrotnie śmierć kolegów: płakali serdecznie nad zabitym czworonożnym towarzyszem broni. Znam osiwiałego oficera, który chorował z żalu po stracie konia. Rzecz zupełnie zrozumiała, gdyż sentyment koński w ułanach jest uczuciem głębokiem i szczerem, godnem porównania z miłością. Twierdzę nawet, że nie co innego, jeno ów sentyment właśnie — miłość do konia — odgrywa rolę zalotnicy, przyciągającej ludzi do służby w kawalerji, gdzie wytrzymują zmęczenie, trud i ciężką pracę w stajni. Wytrzymują dzielnie na chwałę sobie i ojczyźnie.

Szczególniej na kwaterze występuje na jaw owa utajona więź sympatji między ułanem a koniem. W długim codziennym spółżyciu obie strony niepostrzeżenie oddziaływują na siebie tak, że stanowią jedną całość co do charakteru i nawet wyglądu. Pewne ruchy i gesty człowieka przejmuje koń i odwrotnie — człowiek nabiera manier końskich. Jest coś naprawdę komicznego w tem rzucającem się na pierwszy rzut oka podobieństwie, nie we wszystkiem, ma się rozumieć, ale w pewnych tylko rzeczach, w linji i w jakimś trudnym do określenia czynie. Np. malarz Olechnowicz i jego „Pomidor", Iżykiewicz i „Milek", Jakubski i „Świt", Jurek Zalewsk. i „Mańka".

Nie można już tego powiedzieć o koniach oficerskich. Są one zazwyczaj i piękniejsze i lepsze, nigdy jednak nie posiadają tego, co tamte, „człowieczeństwa", tych podobieństw

ułańskich i odruchów, które niewątpliwie wytwarza stałe obcowanie. Spędzamy razem czas w stajni i na pastwisku, męczymy się, narzekamy na słotę, upaja nas piękny dzień, zwyciężamy, uciekamy—zawsze z nim, nierozłączeni aż do śmierci. Co więcej: rozmawiamy, t. zn. zapytujemy konia i sami sobie za niego odpowiadamy, a nie zdziwilibyśmy się bynajmniej, gdyby koń zechciał wypowiedzieć się słowami.

Czasy kampanji nad Styrem i Stochodem były dla końskiej części szwadronu najgorsze. Dużo roboty—mało strawy. Jeszcze w linji mogliśmy temu zaradzić, rekwirując ziarno i siano, gdzie się jeno dało. Ile to było pociechy, gdy taki poważny doktor praw wnikał do zamkniętej stodoły chłopskiej przez podstrzesze i wyciągał stamtąd wiązki koniczyny i siana dla swego ulubieńca. Bardzo subtelna w innych rzeczach etyka nasza, tutaj głuchła i ślepła zupełnie, albowiem prawdą jest najsmutniejszą, że łatwiej znieść głód samemu, niż mieć głodnego konia. Zresztą nie wolno mieć głodnego konia pod grozą grzechu.

Możecie sobie zatem wyobrazić rozpacz naszą w Majdanie, gdzie obroki były bardzo liche, a czasami nie było ich wcale. Mówiło się, że, zamiast jeść, konie „czytają gazety". Dokarmialiśmy je wtedy chlebem żołnierskim i ziemniakami, zapewnialiśmy w zamian sto innych przyjemności, jak wzorowo urządzone stajnie, powietrze, słońce, dwukrotne w ciągu dnia czyszczenie i t. p. Taka z tego, mówiąc nawiasem, była korzyść, jakbyś, mając apetyt na dobry obind, dobrze się umył. Okoliczne wsie objadła szarańcza wojsk, nie mieliśmy więc skąd czerpać. Dopiero wczesne trawy wiosenne uratowały sytuację i przynajmnjej oszukały pierwszy głód. Później, już w Hradyskach, trzymaliśmy konie prawie całemi dniami na łąkach, a na noc zadawaliśmy im nowe porcje nakoszonego uprzednio siana.

Naogół osią życia ułańskiego na kwaterach są konie, i zawsze starania przy nich były większe niż przy ludziach. Lepsze stodoły wybieraliśmy na stajnie, gorsze na mieszkania. Nieraz podczas mrozu, gdy wypadł zły nocleg, ułan grubszą derką okrywał konia, a cieńszą siebie. Troskliwość posuwali niektórzy do rozrzewniającej przesady. Ułan I-go plutonu, Onio Baliński, zabraniał hałasować przy stajni. „Nie krzyczcie tam,—wołał—bo moja „Dumka" śpi". I nawet ten komizm ma swoje źródło w szczerym sentymencie duszy żoł-

nierskiej, znajdującej wyraźny oddźwięk w zwierzęciu. Zauważcie, jaką złośliwą i jednocześnie trochę zawstydzoną minę ma koń, kiedy ułan najzwyczajniej spadnie. Ale gdy go zmiecie śmierć z siodła, spojrzyjcie: rozwiana grzywa, w oszalałych oczach strach... Tętent rozpaczliwego galopu budzi chyba echo w czyjemś dalekiem, niewiedzącem sercu...

Jakżeż cię nie kochać, koniu wierny!...

ODWRÓT Z POD OPTOWEJ.

Dnia 4-go lipca w południe otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do odmarszu. Na pozycji od paru dni jęczały armaty, ale przecież w czerwcu budził nas tylekroć ich huk, podobny do przeraźliwych uderzeń ofensywnej fali rosyjskiej, a zawsze pęd ataków łamał się na polskich okopach i postój nasz w cichych, napół opuszczonych Hradyskach trwał dalej. Może więc i teraz próżny alarm... Jednak po godzinie drugiej kazano nam już siodłać konie i wyjeżdżać. Zatem to prawda, że się linja kruszy... Ogarnęła nas gorączka roboty i pośpiechu z lekką domieszką żalu, że zwijamy całe mozolnie z niczego budowane gospodarstwo kwater ułańskich i stajni. Szumiała w powietrzu wojenna chwila... Jeszcze ostatni rzut oka na stodoły zamienione w domy z werandą, na zaciszną murawę podwórz — nieokreślone nigdy bogactwo wspomnień, — poczem przypasujemy szable, karabiny przez plecy i — na koń! Zbiórka przed dowódcą szwadronu. Porucznik Skotnicki lustruje migotliwy dwurząd. Jakbyś wyciągnął pod sznur gromadę zawadjackich robotników, którym się uśmiecha krwawe żniwo — a przeciw nim stanęła cała troska i myśl... Zsunięte marsem brwi, w oczach duma i pieszczota, jaką zwykle budzi okres przedbitewny, groza ognia... Wachmistrz — szef Kunigas, rozdaje naboje. Drogie paczki, w których zamknięto dziesięć pocałunków śmierci. Moment ten zawiera niewypowiedziany srogi urok. Złoci się w słońcu oślepiająco biały piasek, pachnie sośnina, a lotny srebrzysty pył z pod niecierpliwie bijących kopyt końskich osiada w nozdrzach i na twarzy. Ciszę przerywa lekki brzęk szabel o strzemiona, parskanie koni oraz twardy miarowy głos wachmistrza liczącego

naboje. Niby krople padające głośno z klepsydry, mierzące czas i ludzkie życie...

Spory plac przed wartą główną wypełnił nasz pułk w kolumnie szwadronowej aż do ścisku. Raport komendantowi Belinie zdawał rotmistrz Orlicz. Szwadron I-szy stanął w 80 koni. 24 ułanów spieszonych (w ogólnej liczbie 200 z pułku) trwało od pierwszych dni czerwca w okopach pod Optową narówni z piechotą. Rozgwarzyła się wieś grzechotliwym szmerem i tupotem. Słowa komendy padały w gwar, jak szczęk żelaza. Po chwili wysunęliśmy się trójkami za wieś, poza młyn i rzekę i otoczył nas wilgotny chłód lasu. Tyle razy jeździliśmy tędy dniem i nocą na Gorodok! Droga biegła malowniczo między smukłymi, jak cyprysy świerkami, dopadała strumyków i kluczyła pod wodą, którą rozbijały nogi końskie na bryzgi i pył, sięgający jeźdźców. Padał stąd na uda zimny bury deszcz. Od Maniewicz zaczął się znów piach. Kurz pierzchał z pod maszerujących szeregów i rzadkim obłokiem leciał między drzewa. Przeszła złocista, szumiąca zbożem polana pod Kunskoje, poczem zamknął nas znów bór, ciągnący się nieprzerwanie do Legjonowa i postoju I-szej brygady w Nowej Rarańczy. Zachodzące słońce rumieniło wierzchołki sosen tak, że ze szczytów nieomal spływała pozłota i rdza. Przebyliśmy tę drogę kłusem i o godz. 9-ej wieczorem meldował się już nasz dowódca pułku w sztabie. Grzmot dział przycichł, jakby się oddalał, tylko pojedyńcze detonacje rwały ciszę zmierzchu.

Szwadron I-szy stanął za barakami sztabu przy płocie, okalającym torfiasty leśny staw, i rozluźnił koniom popręgi. Odpoczynek jednak był niemożliwy. Potargana linja bitwy chwiała się, szarpana szczególniej z prawa, gdzie trwał V-ty pułk piechoty Berbeckiego, wreszcie ku nocy przez rozproszenie Austrjaków i obejście skrzydła zepchnięta krwawo wtył i w bok. Pluton IV-ty pod Dublańczykiem-Piaseckim otrzymał natychmiast rozkaz nawiązać łączność ze sprzymierzeńcami. Na kawalerję zatem spadało poważne w tej wielkiej bitwie zadanie: łączenia rozrywanej narazie linji, patrolowania zagrożonych flanków, wypełniania luk i wyłomów, później zaś osłanianie odwrotu. Było nas mało, a musieliśmy być wszędzie... Mimo zmęczenia, pluton ruszył odrazu zkopyta na Wołczeck. Ogromną polanę zalał już mrok nocy. Wieś stała martwa, bez żadnego światła. Domy i obejścia majaczyły ponuremi, czarnemi plamami. Jaśniejszą wstęgą wyłaniał

się z ciemności trakt, biegnący w stronę linji. Znaczyły ją gwałtowne wypryski rakiet i błysk pękających szrapneli. Gdzieś z lewa bulgotała palba karabinów, niepewna, jakby z trudem przesiewająca się przez noc. Tuż przed nami w lasku, gdzie były dawniej rezerwy piechoty, wybuchły nagle armaty i — zamilkły. Miało się wrażenie, że to nie baterja, lecz śmierć z dzikim skowytem wysunęła przeraźliwe macki i bada pozycje wroga... Zato na prawym skrzydle było najzupełniej cicho. Szedł stamtąd ni to leśny szum, ni to pomruk...

W głębi lasku, na skrzyżowaniu dróg, uwydatniał się najlepiej gwałtowny rytm pozycyjnej pracy. Treny i kuchnie cofały się spiesznie na Legjonowo. Jacyś niespokojnie biegający żołnierze zwijali płachty namiotów i ładowali wozy. Ciągnął bataljon VI-go pp. w kierunku zagrożonego prawego skrzydła. Długi szept maszerujących oddziałów, rżenie koni, szarpany niepokojem ludzki gwar i rzadki, prawie miarowy huk dział — wszystko to było niezwykłym obrazem muzycznym bitwy na tle przesłodkiej nocnej ciszy. Niewiadomo skąd i z jakiej strony, wlokły się procesje powózek przeciążonych rannymi. Żniwo wieziono z pola do gumien późną porą... Okropny musiał być ciężar ran i bólu... Jakiż stos ciał dźwigały podwody, idące wciąż, dopóki grała straszna melodja boju!... Tutaj w chaosie ruchu, gdzie bił najżywiej puls dnia, obok ziemianek, w których jęczeli ranni i pracowały bez przerwy aparaty telefoniczne — stał Józef Piłsudski. Bluzę miał rozpiętą, jakby gorączka roboty i cały żołnierski trud przepływały przez jego pierś. Zwykle w podobnych chwilach przebywa I-sza Brygada bolesną drogę między jego sercem a myślą... Tu skupiły się nici całej akcji, tu była bitwy świadomość. Spokojnym, jasnym, jak słońce, głosem dał nam zadanie do wypełnienia: zbadać prawe skrzydło, dotrzeć do Studzienicy i Polskiej Góry, kto tam jest — nieprzyjaciel czy Austrjacy...

Jedziemy naprzełaj przez pola wzdłuż rezerwowych okopów, gdzie, niby wielkie czarne psy, przywarowały armaty. Z mroku raz po raz wyrastają gromadki piechurów z V-go pułku, błądzących w poszukiwaniu oddziałów. Dokoła jest taka nieskończoność nocy i zachłanność przestrzeni, że nawet chwilowa cisza nabiera specjalnego kamertonowego dźwięku. To echo niepojętego dzwonu, którego sercem czyn, a rozkołysaną powietrzną falą ludzkie życie... Wreszcie omackiem znajdujemy Austrjaków (III pp. landszturmu) i stwierdzamy tymczasowe bezpieczeństwo prawej flanki.

O godz. 12^{30} w nocy wysłano znów na Polską Górę III-ci pluton pod ppor. Jabłońskim. Oto prawe skrzydło rzeczywiście trzeba było drzeć... Nie mogąc z powodu gęstego karabinowego ognia dojechać do pierwszych okopów, pluton zostawił konie i ruszył pieszo na przeciwległy ostrzeliwany stok. Trwały tu jeszcze resztki kompanji piechoty austrjackiej, zatraciwszy już jednak z obu stron kontakt z linją i zdecydowawszy się poddać.

Tymczasem o godz. 2-ej po północy przywlokła się kuchnia i szwadronowi rozdano kawę. Naobroczyliśmy później konie i zdrzemnęliśmy się aż do świtu, kiedy w las sączyć się zaczęły poprzez konary drzew promienie wschodzącego słońca. Było nam na igliwiu mroczno i chłodno, a już góry szumiał dzień i płynęła ciepła słoneczna poświata.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia 5/VII o godz. 5-ej rano zmieniliśmy II-gi szwadron w okopie na skraju lasu. Stanowiliśmy osłonę sztabu brygady. Przed nami rozpościerała się równina, podniesiona cokolwiek ku północo-wschodowi, i leżała w kurzawie i słońcu wieś Wołczeck. Rozpoczynał się znów pojedynek artylerji. Po całym widnokręgu łomotała już burza dział, a krawędź nieba cięły błyskawice pocisków. Przede wsią zaś spał zacisznie ocieniony listowiem cmentarz i wyglądały z poza drzew brzozowe żołnierskie krzyżyki. Miały one w sobie tragiczną wesołość, jakiś przeraźliwie ironiczny uśmiech losu. Teraz dopiero należycie pojąłem, czem są takie groby. Dawniej, bardzo dawno, marząc nad mogiłą powstańca, myślałem: tu leży ten, co mógł za Polskę umrzeć. I było w moich słowach, jak w całej ojczyźnie, próchno. Bo przecież tylko na cmentarzu panuje niewola i niemoc. W każdym grobie uwięziona dusza, spragniona lotu i wolności, młode skrzydła przywalone piachem i darnią... Zato w tamtym na widnokręgu huku, w pyle i zaciętości bojowej, gdy pierś szeroko oddycha i prężą się mięśnie aż do ostatecznego trudu i wyczerpania — tam — życie i niezdławiony przemocą rytm. Czyn jest najpiękniejszą odą do wolności. Niech żyje życie i walka!...

Lipcowa opieka przygniotła las i pole. Na drodze podrywał się i kłębił ciężki kurz z pod stóp maszerujących jeńców rosyjskich. Prowadzono ich do sztabu. W czarnej od pyłu i potu masce twarzy płonęły życiem oczy, a suche popękane wargi błagały o wodę. Obok, torem kolejki sunęły wagoniki

białe od bandaży i rannych. Tyle tego było w oślepiającym słońcu, że już nie widziało się nic, jeno przeraźliwie krzyczała świadomość: krew i krew... Jakby wieziono gołe rany, poszarpane ohydnie w walce ze śmiercią ludzkie ciała i bezlitośnie wystawione na żer oczu i myśli...

Po południu oba szwadrony (I-szy dywizjon) razem z pułkiem II-gim ułanów przerzucono szybkim marszem w lewo na zmianę I pp. Wściekłość ataku dosięgła chyba najwyższego punktu. Wjechaliśmy odrazu niby w sam środek burzy, owionęło nas potężne tchnienie wybuchów. Spieszamy się niedaleko ziemianek komendy i dalej w las, który drżał od ryku armat i wycia pocisków. Nie słychać było ani wiatru, ani poszumu. Wstrząsane powietrze wielkiemi falami uderzało w twarz i aż do bólu tłukło w uszy. Zdawało się, że rozszalałej bitwie niedość przedpola okopów, że rozbiegła się na las, łamie drzewa, wali piorunami i drze ziemię... Na każdej polanie rozluźniał się łańcuch naszej tyraljerki, by się znów zacieśnić tam, gdzie nas dostatecznie kryły sosny przed nieprzyjacielskim obserwatorem. Białe puchy szrapneli wykwitały zawzięcie nad nami u szczytów, a kule szarpały i siekły gałęzie. Wszystkie przenosiły. Padnij! Przycupnęliśmy wzdłuż jakiegoś wzniesienia. Powyżej, jak huragan, pędził żelazny potok śmierci, dołem drżał lekko kobierzec traw i zeschłych liści, kręciły się spokojnie pracowite mrówki, jakby nic nie słysząc. Wzrok leżących żołnierzy musiał zestawiać dwa światy: ludzki i owadzi, burzy i ciszy... Równocześnie z pod czapki spływały strugi potu, brudnemi kroplami kapały na ziemię i od uszu ciekły za lepki kołnierz munduru... Następnym skokiem dobiegamy rowu dobiegowego. Zawrócił nas stąd major Burhardt-Bukacki. Pułk I pp. opuszczał linję, przechodząc do okopów rezerwowych. Skręciliśmy zatym w lewo i wciąż pod ogniem zaczęliśmy się cofać pośpiesznie do koni. A gęstniał już mrok leśny, zapadała druga noc zmagań się z wrogiem...

Dojeżdżając do Rarańczy, mieliśmy nowe zadanie. Wobec tego, że V pp. Berbeckiego pod flankowym atakiem z prawa cofnął się i rozproszył zpowodu ogromnych strat — powstała za Wołczeckiem luka. W lukę tę następował nieprzyjaciel. Musieliśmy ją wypełnić natychmiast. Zsiadamy z koni koło osłony sztabu na skraju lasu i pieszo zajmujemy Wołczeck. Linja tyraljerska I-go szwadronu rozwija się od wsi po cmentarz.

Zadudniała gdzieś artylerja, przeprowadzana na inną pozycję, przybiegło po nocnej rosie parskanie koni, daleki gwar i szczęk. Cisza. Szedł po polu jakiś szept i oddech wiatru. Czarność nieba zlewała się najzupełniej z ziemią, bielał tylko wąski porosły zbożem pas wzgórza. Na kilkanaście kroków było jeszcze coś nie coś widać, dalej panowała nieprzenikniona noc. Nagle wpadł w ucho szelest końskiego stępa. Posuwał się ostrożnie od prawego na nas. Wreszcie zamajaczyła ciemna postać jeźdźca na widocznym tle pola i — znieruchomiała. Dostrzegł przyziemne plamki naszych leżących tyraljerów. Rozległo się z obu stron równocześnie: halt! wer da? Podchodzi ubezpieczenie prawe z karabinem w garści, palec na cynglu, aż oczy rozeznały w mroku figurę i czapkę. Krótka urywana rozmowa. Patrol austrjackich haubic, szukający łączności... Po długiej chwili zaszemrało na prawo całe pole, poczym wyodrębnił się ciężki posuwisty krok piechoty, niby rząd siekących kosiarzy. Szedł kompanjami w tyraljerach bataljon Bawarów. Wkońcu nadchodzi pod rotm. Orliczem oddział kombinowany z saperów austrjackich, saperów I-ej brygady i „fussreiterów" II p. ułanów. Wszystko ściąga do wsi. Wchłaniają nas na moment chałupy, w których pełga nad mapą płomień skromnej świeczki, a okna osłonięte starannie, by snadź przez szpary nie wyśliznął się promyk i nie zdradził. Ludzie walą się na piach i murawę, zasypiają. Daremnie. Budzi zbiórka. Zdaleka, jak we śnie, padają słowa komendy, zciszone, roztajałe w mroku. Nietyle oczyma, ile instynktem odnajdują się czarne milczące sylwety swoich. Błądzą w ciemnościach jakieś zwiastuny klęski V pp., jakby wypełzały z dna nieszczęść, z krwawej piany grzmiącego jeszcze wieczorem wiru walki... Dzwięczą nielitościwie nazwiska — stos nazwisk — tych najznamienitszych, których głowy i myśl wdeptała bitwa w poleskie bagno. Słuchacza ogarnie wrażenie bezdennej przepaści, którą kopie los, dławiąc serca żyjących świadków cęgami śmierci, rzucając na pierś, niby na trumnę, cmentarny piach... W czaszce przesypuje się żmudnie jedno jedyne pytanie, tragedja naszej porozbiorowej historji: dokąd tej krwi? Wyrasta ono ze sprawy — Polska tak naturalnie, jak z zasianej niwy zboże, albo z dziecka mąż. Polska i krew to dwa koła, które się zazębiają z sobą boleśnie i trwale; dwa światy, na pograniczu których wykwitają i gasną ludzkie tragedje: naród i ja... W trzeźwym popularnym rachunku słabych krew staje się

wtenczas siewem i dumą, gdy w podsumowaniu daje upragniony wynik. A przecież poprzedzało nas tyle prób... Cała rzecz w tym, że niefortunny rezultat dawnej niepodległościowej szkoły nie unicestwiał jej samej, owszem karmił wytrwałością i mocą. Stąd my...

Około północy długą linją tyraljerską obsadzamy wzgórze na północ od Wołczecka. Z prawa ma być piechota pruska, z lewa rozpościera się w dole bagno i niskopienny las. Jesteśmy na gładkim wygonie bez najmniejszej naturalnej osłony. Pluton I pod Romualdem Niemętowskim rusza nawprost na spatrolowanie lasu. Ludzie zapadli w noc, jak w przepaść, było bowiem tak ciemno, że las można odróżnić chyba tylko słuchem. Oko napotyka wszędzie nieprzeniknioną tarczę mroku, zato ucho jest jak wyciągnięta daleko subtelna dłoń ślepca. Ześrodkowują się w jednym prawie wszystkie zmysły, a podniecona uwaga nie chwyta już charakterystycznego dzwonienia krwi, lecz rozgarnia czarność i niepewność terenu. Wtym... jakieś szepty!... Tak... to nie górny szum drzew, ani przyziemny szelest krzaków. Ledwie wyczuwalne sylabowe dźwięki, raczej niewyraźna zapowiedź rozmowy... W porównaniu z nią szelest ostrożnego ludzkiego kroku jest krzykiem. Teraz z obu stron moment głębszego niż noc milczenia. Nagle — rypnął, jak strach, ogień karabinów rosyjskich i kule trzepnęły w powietrzu, niby ostre skrzydła natrętnego ptactwa.-. Na leżący szwadron spadło jakby sto złych dziobów i z sykiem poczęło tłuc po zagonach tuż u żołnierskich głów. Patrol nasz odpowiadał krótko, poczym się wycofał. Nastała znów cisza, ale złowieszcza, bo przecież wiadome było, żeśmy stanęli w obliczu czołowego oddziału wroga, który parł w wołczecką lukę. Chcąc go powstrzymać, musieliśmy stworzyć bodaj sztuczną osłonę leżącej linji. Trzeba było wtenczas widzieć ułanów, jak scyzorykami i kolbami mannlicherów darli powierzchnię ziemi, byle się doskrobać do miękkiego podłoża i czerpać go ręką. Łopaty przyszły od saperów później dopiero, kiedy zrobiliśmy już najtrudniejsze i każdy mógł w swym dołku strzeleckim klęknąć za małym przedpiersiem z piasku i darni. Zgrzytały wzdłuż tyraljerki łopaty, a górą we wstającym brzasku świegotały aż do upojenia skowronki. Nie wiadomo zaiste, co rozkoszniejsze: czy pieśń wstającego dnia, grana na harfie ptaszęcych głosów, czy też przedziwne opalowe światło, co jakby się wysącza z baśniowych kryształów ciszy i szczęścia przedświtu...

W każdym razie nie przypuszczam, by inna, nie żołnierska myśl przeżywała równie bogatą, jak my, skalę wrażeń: rozkoszną świadomość piękna na tle zmęczenia i śmiertelnej pracy... Marzenie pełnego życia, marzenie, które się staje i trwa...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Dzień 6/VII. Mroczny fiolet poranny znikł prawie zupełnie i zarumieniła się już krawędź nieba nad lasem, gdyśmy przechodzili na prawo do bylejak usypanego okopu. Moskale strzelali zrzadka tylko do wystających z za nasypów głów. Milczeliśmy, trzymając przez to nieprzyjaciela w niepewności co do naszych zamiarów, tymbardziej, iż widzieć on nie mógł wycofujących się pojedyńczo ale stale tyraljerów. Chodziło o to, by napór rosyjski zatrzymać możliwie najdłużej a równocześnie przerzucić się na pozycję dalszą bez zwrócenia uwagi. Okop był na szczycie wzgórza, którego przeciwny, t. zn. osłonięty stok prowadził do samej wsi i cmentarza. Tam, w kierunku wschodnim i zachodnim kopali saperzy następną linję — długi rów strzelecki. Pierwszy szwadron, cofając się, podpalił Wołczeck. W kilkanaście minut płomień buchnął powyżej dachów i wszystkie obejścia zatonęły w purpurze i złocie szalejącego ognia. Dźwignął się z pożaru czarny ciężki dym. Wiatr rzucał wysoko gorejące strzeszaki, niby race które po chwili gasły i zamieniały się w wielkie płaty sadzy. A dołem wibrowała wciąż ognista złota lawa...

Południe. Morzyła nas z bezczynności i spieki duszna drzemka. Powieki same opadały, były ciężkie jak ołów. Upalny ciężar rozchodził się po całym ciele. Szukało się cienia pod pionową ścianą rowu, gdzie pachniało świeżo wykopanym grobem i było tak cicho, jak we śnie. Dla rozrywki maskowaliśmy trawą i zielskiem przedpiersie okopu. Wreszcie o pierwszej przyszedł nas zmienić jakiś oddział piechoty węgierskiej. Leniwie ruszyliśmy do Nowej Rarańczy, niewielką nawet zwracając uwagę na aeroplan rosyjski, który wciąż warczał nad nami i rzucał bomby. Padały dość daleko pod lasem. Dopiero na koniach, w szybkim marszu odzyskaliśmy zwykłą żywość i obserwację. Znów nas przerzucano na lewe skrzydło jako rezerwę I p. p. Za Jastrowem na krótko ulżyliśmy koniom, zdejmując siodła. Biedne zgonione bydlęta żarły chciwie wilgotny leśny mech i korę. Myśmy nawet tego nie mieli. Wola zastępowała nam pożywienie i sen.

Poderwano nas do linji. VI bataljon I Brygady odbijał właśnie masową szarżę kawalerji, a z lewa chwiało się wojsko austrjackie pod łamiącym naporem rosyjskiej piechoty. Warczał wzdłuż okopów pytel karabinów, jakby rozwścieklo się nagle moc młynów i mełło turkotliwie żelazo. Kule gęsto szyły w las, łupiąc korę, pukając i gwiżdżąc. Huk armatni prawie ustał, pracowała tylko zawzięcie broń drobna. Przedarło się przez grzechot i palbę sforne, jękliwe „hurra" atakujących i niemal wypełniło las. Za chwilę cała linja była w odwrocie. Ukazała się naprzód, spieszona i rozproszona bezładnie kawalerja austrjacka, zaczym w równych, spokojnych kolumnach polska piechota. Gwarna żołnierska fala minęła, jak świeżo objawiony potok życia. My przechodziliśmy do arjergardy. Na I dywizjon w 150 koni spadło najcięższe i najzaszczytniejsze (oba te przymiotniki zawsze się w polu kojarzą) zadanie: osłona cofającej się na Kunskoje brygady. Drogę odwrotu obierał z rozkazu komendanta Piłsudskiego — sam Belina.

Zaraz od Jastkowa IV pluton I szw. kopnął się z powrotem do Legjonowa na patrol. Przy wjeździe siłę główną ostrzelano z lasu, co znaczyło, że nieprzyjaciel już się posuwał w trop. Padły blisko pojedyńcze granaty: albo Moskale ogniem artylerji macali las, albo nasi próbowali zahamować pęd rosyjski...

Na wschód od Pierekrestja stajemy. Czekają na wroga daleko wysunięte pikiety. Swoją drogą do Legjonowa znów dojeżdża III pluton i napotyka tym razem piechotę rosyjską, rozłożoną wzdłuż toru kolejki. Tymczasem poczyna mżyć deszcz i zgęszcza jeszcze bardziej mrok, który osnuwa las zadymką cieni. Nieprzenikniony welon szarej godziny powleka krajobraz. Spadły grube rzęsiste krople i — wyczerpał się cały zapas dżdżu. Tylko chmurno było, jak przedtym. Pod wieczór nadciągnęła przednia straż moskiewska. Spieszona część szwadronu zatrzymała ją po krótkiej wymianie strzałów. Resztę osłony dopełniła noc, kładąc między nich i nas mur ciemności. Wykorzystawszy to, zapadliśmy w czarną, jak otchłań leśną, drogę. I tutaj dopiero, kiedy oczy zwarły się bezsilnie z morzem mroku, wystąpiła na jaw groza sytuacji. Rozpacz osaczyła zmęczoną myśl żołnierza. Podszepty beznadziei uczyniły napaść na otuchę i serce. — Oba skrzydła złamane. Potężne kleszcze usiłują zamknąć nas z dwu stron i zgnieść. Za nami Moskale, przed sobą zaś mamy bagnistą rzekę Stochód i do przebycia most. Czy zdążymy? A może jesteśmy w przededniu końca naszej epopei i lada godzi-

na nastąpi pogrom? Będzie to jedna z wielu osłon przy odwrocie, taka typowa polska arjergarda, która kosztem ostatniej krwi zdobi historję... Jednak perspektywa dziejowa budzi zorzę uświadomień. Dzień dzisiejszy jest mistrzem jutra. Najdrobniejszy rzemieślnik dnia dzisiejszego zdziała i zaważy więcej niż wielki, lecz bezpłodny marzyciel o jutrze. W zakresie woli ludzkiej leży tylko: wypełnienie zadania. Przeciwności niechaj będą młotem, którym jej grot wykuje...

Zatrzymujemy się przy jakimś mostku, gdzie mamy nadzieję ugasić pragnienie. Bajoro, czy strumyk — nic nie widać. Łudzi nas wilgny świeży zapach. Torfowisko. Nogi przy brzegu więzną do kolan. Nabieramy gęstej, nieprzejrzystej cieczy w płótnie i manierki i poimy konie, lejąc im do pyska zgóry, lub dając żłopać ten płynny muł prosto z kubła. Nam też pierwsza smakuje manierka, choć właściwiej należałoby to jeść niż pić. Przesuwają się przez gardło niby grążele, niby małe kijanki, aż do obrzydliwości i wstrętnego skurczu krtani. Poprzez straszne zmęczenie i mdłości czuje się głód najordynarniejszy, taki, co pragnie już nie zaspokojenia, lecz żarcia. Czczość skręca wnętrzności do bólu. W dodatku dobija wszystkich morderczy sen. Śpią, stojąc, z ręką u opuszczonego w dół końskiego łba, albo na ziemi, z omotaną cuglem dłonią, leżąc bez czucia, jak kłoda. Na rozkaz „do wsiadania" niewielu się rusza: trzeba kopać leżących, trząść stojącemi. Tak wyglądała nasza walka ze snem i głodem po trzech przepracowanych ciężko dniach. O 11-ej w nocy w Pierekrestju dostajemy konserwę, kawał chleba i kubek kawy. Był to pierwszy i ostatni solidniejszy posiłek na te cztery doby. Stąd marszem całonocnym zdążamy w osłonie I-go p. p. na Smołodowicę. Daleko na lewo w tył, gdzie stacja Maniewicze, rozgorzał ogromny krąg pożaru. Płomień wypełzał ponad las, a odblask, niby zorza, zasnuł krawędź nieba. Na czarnym, przepaścistym tle nocy drżała złota lama ognia... Drogą podobną do głębokiego i wąskiego żlebu śród drzew płynął nasz oddział ze szmerem stępa tak lekkim, że tuż za nami kładła się na trakt i las, jakby goniąc, cisza. Ciął ją tylko raz po raz odległy przytłumiony świst, rozperlone parskanie i szczęk ostrożny rosyjskich patroli, idących blisko śladem. Potok sił moskiewskich był prawie przy nas, na karkach. Obca przemoc ogarniała bór, odbywała się tajemnica przejścia dwu fal: jedna ustępowała, druga szła...

Dobrze po północy pchnięto I pluton w stronę Maniewicz, aby zawrócił V p. p. i bataljon Niemców, którzy obrali mylną dyrekcję i zbłądzili. Gros brygady maszerowało na Siemieniuchę i Trojanówkę, pułk zaś Berbeckiego wziął na rozstaju zamiast w prawo — w lewo, gdzie widniała pożoga. Pluton ostrym kłusem rzucił się w noc drogą do Maniewicz. Było tak ciemno, że oczy nie odróżniały końskiego łba. Siedziało się na siodle w jakimś bezdennym mroku i miało się wrażenie, że to nie my, lecz mrok sunie koło nas kłębami. Ruchome, pochłaniające morze nocy... Osłony literalnie wpadały w gąszcz krzaków a konie więzły całą piersią w gałęziach. Niespodzianie wjechaliśmy na leżącą, zmęczoną śmiertelnie piechotę. Kto? co? V pułk. Podniesiono kolumnę i, nie odwracając szyku, zmieniono kierunek marszu. Idące przedtym z tyłu karabiny maszynowe, teraz ruszyły przodem. Na czele szedł pieszo podpułkownik Berbecki, jechał konno major Wyrwa i nasz łącznik, zostawiony po to, by doprowadzić do wiadomego skrzyżowania dróg. Powoli, omackiem... Pluton odjechał, zamiast jednak do Trojanówki, trafił do Gorodka i tam był użyty przez por. Kownackiego na ubezpieczenia cofającej się artylerji: Moskale następowali na wieś. Dopiero koło godz. 6-ej rano dołączył do szwadronu pod Siemieniuchą.

Że pierwszy długo nie wracał, wysłano na poszukiwanie V-go pułku piechoty pluton II pod wachmistrzem Stefanem Crłowskim. Spotkał on powracający I, ale nie dotarł do Berbeckiego, gdyż za chwilę wpadł na nieprzyjaciela i uszedł po krótkiej potyczce do sił głównych, straciwszy jednego konia. Trakt, którym wracał pułk V, łączył z drożynami od Maniewicz. Ogarnął już je nieprzyjaciel. Przez wszystkie zatym ścieżki, niby przez szpary, wnikały patrole rosyjskie i kluczyły wzdłuż drogi, wychylając się z lasu nagle tu i tam. Było to obcesowe potykanie się na odległość rewolwerowego strzału i białej broni. Noc zawierała wiele niespodzianek i grozy. Szczęście, że miała się już ku końcowi.

Brzask nadchodził. Szarość poranna była gorsza od mroku, roztapiała bowiem widok otoczenia, jakby mżył gęsty strużysty deszcz. Ciemność tajała sennie, zalewając drogę coraz niewyraźniejszemi brudnemi plamami. Piechota szła w tym rozświcie jak procesja widm. Wtym na kilka kroków przed Berbeckim zamajaczył jeździec. „Stój! Kto idzie?“ Nieruchomość i milczenie. „Stój! Kto idzie?“ Szczęknęły obce słowa: „My ruskije“ i — buchnął wystrzał z rewolweru pro-

sto w pierś podpułkownika. Padł. Trzepnął bezładnie krótki ogień. Major Wyrwa, rozkrzyżowawszy ramiona, zwalił się na konia naszego łącznika. Wszczął się zamęt nie do opisania. Nadludzkie wyczerpanie pozrywało żołnierzom nerwy. Nagłość sytuacji rzuciła narazie niepokój i popłoch. Sypnęła strzelanina dość gęsta i część kolumny rozpadła się, niecąc pracę karabinów. Trzy konie rosyjskie wparły wystraszone na łącznika, zaraz jednak znikły w ucieczce ścigane ogniem. Wprędce jeden z oficerów opanował odruch bezradności, twardo poprowadził swoją kompanję i niepokój zczezł. Przybyło tylko trochę strat i dwa ciała: raniony Berbecki i zabity Wyrwa. Noc się skończyła. Finał miała niezwykły i straszny.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dzień 7/VII. Siemieniucha i most na Czeremasze dały chwilowe wytchnienie zgonionym do niemożebności koniom i u'anom. Czynił się już świt zupełny. Szumiał dokoła na wzgórzach i drżał życiem dziennym las, pnący się po łagodnie stoczystych ścianach wąwozu. Staliśmy na dnie przed młynem wodnym, gdzie było siano, a płytka studzienka dostarczała zmąconej brudnej wody. Na krótko wyjęliśmy koniom trenzle z pysków, żeby cokolwiek wzięły na ząb i wypełniły zapadłe boki, na których było znać ciężką pracę jeździeckich ostróg. Dziw, że nie padły, że jeszcze miały jakie takie chody... Gdzież jest granica wyczerpania?... Ludzi trzymała wola, położywszy dłoń na węzeł nerwów. Świadomość nie gasła, owszem wysubtelniała tak, że rozumiała i odczuwała więcej niż normalnie. Była cudownym ostrzem rozcinającym wrażenia i fakty... Jeśli nie mieliśmy już sił ani entuzjazmu — przeorał nas straszny pług zmęczenia — to jednak zastąpiła je przedziwna trzeźwość myśli. Stary żołnierz w takich chwilach, gdy wszystko się nań wali, najdokładniej wypełnia robotę, cyzelując właśnie szczegóły z wprawą i spokojem kształconego w ogniu rzemieślnika. Przytym — myśli... Przechodzą przed oczami duszy jakieś szczęśliwe wspomnienia kontrastowej ciszy...

Zdarzenia następowały tymczasem niby błyskawice. Nie wiem jak, dopadła wieść, że Wyrwa zabity a Berbecki ranny i że oddział osaczają Moskale. Ratować piechotę!... Belina porwał III-ci pluton i z dawnym rozmachem partyzantki 14-go roku skoczył na pomoc. Blisko skrzyżowania dróg trafiono

na szarą gromadę żołnierzy, dźwigających podpułkownika na płaszczu. Bryczka naszego komendanta zabiera rannego. Lecz gdzie ciało Wyrwy? Rzuciliśmy się naprzełaj do przypuszczalnego miejsca starcia. Pikiety stanęły wkrąg daleko. Ale nie tu było miejsce nocnego epizodu. A już poza drzewami migali kozacy, objeżdżając nas z prawa... Belina wycofaniem salwuje pluton i na własnym siodle unosi jeszcze z niebezpieczeństwa zmęczonego piechura. Ułański „przyczółek mostowy" pod Siemieniuchą nawiązywał kontakt z wrogiem, zaczynał nową gorącą robotę...

Czwarty pluton odjechał do Trojarnówki jako osłona sztabu brygady. Tam otrzymał samodzielne zadanie spatrolowania drogi za torem kolejowym Maniewicze — Powursk. Piaszczysty trakt zawalony był trenami austrjackiemi i maruderami, wszędzie wozy i wozy, wszędzie tumult. Kawalerja rosyjska mogła lada moment wpaść na ten potok ludzki i zagarnąć. Jeden wystrzał z karabinu rozbiłby to zbiorowisko taborytów i poddał. Trojanówka wyglądała jak zaalarmowane mrowisko. Wszystko czekało na przeprawę przez jedyny na Stochodzie most w Czersku.

O godz. 12½ w południe sytuacja przedstawiała się następująco: z jednej strony od Gradysk szedł na Trojanowkę II-gi dywizjon (III-ci i IV-ty szwadron) pod porucznikiem Januszem Głuchowskim; z drugiej od Siemieniuchy I pp. osłaniany przez I-szy dywizjon pod rotm. Orliczem - Dreszerem. Przerwę między obiema grupami miał wypełnić pluton IV-ty. W tym celu wystawił pikiety na wzgórzach pod lasem i czekał. Nie upłynęło nawet godziny, gdy cała akcja przetoczyła się z Czerewachy tutaj w szalonym kawaleryjskim tempie. Właściwie praca arjergardy była najważniejszym faktem dnia. Wszystko, co się działo gdzieindziej, posiadało znaczenie drugorzędne, bardziej jako sytuacyjne tło wypadków.

Łączność z nieprzyjacielem, zaczęta rano wywiadem Beliny, trwała nieprzerwanie dalej. Rosjanie pojmowali znaczenie drogi wiodącej ku przeprawie, parli więc jazdą żywo i śmiało. Przeciwko nim myśmy stawali — pożal się Boże! — w kilkadziesiąt przepracowanych koni... Osłonić odwrót! Jeśli się zważy, co wówczas było w Trojanówce i jak była wyczerpana nieprzerwanym dwudniowym bojem podstawowa siła wojska — piechota, to łatwo zrozumieć ciężar naszego zadania. Defensywna taktyka kawalerji mogła być jeno tego rodzaju, co obrona napastowanego przez psy odyńca: rejtero-

wać, odcinając się raz po raz kłami. Dla nas to znaczyło: marsz odwrotowy połączony z szeregiem piorunujących kontrataków. Belina w lot rzucił taki plan, dopadłszy do komendanta I-go szwadronu: „Stasiek! przypomnij sobie dawne czasy — z koni — jak dawniej..." Jakby się zwarły dwie skrzyżowane w stanowczym zderzeniu polskie szable, szczęknęły tak rozkazy por. Skotnickiego. Rozwinięty — front do nieprzyjaciela — w rękę broń — szwadron kłusem marsz — galop — salwa — cel — pal... Wtył zwrot — kłusem — galopem marsz... Znów wtył zwrot i znów salwa... Tak po kilkakroć. Nieprzyjaciel pierzchnął, ale za chwilę parł ponownie łańcuchem czołowych osłon. Utworzyliśmy tedy wspaniały defensywny szyk marszu. Gdy jeden spieszony pluton strzelał, drugi za nim rozwijał ławę konną, a jeszcze dalej stały konie ułanów spieszonych. Po krótkiej wymianie ognia spieszeni biegli do koni, ława zaś cofała się poza spieszony nowy pluton, za który znów zajeżdżał konny i t. d. Wypadało tak, że zawsze witaliśmy ciągnącego wroga ogniem stałej linji pieszej, sunąc mimo wszystko wtył. Rosła jednak obawa, że Moskal, odrzucony wprost, pocznie flankować nasze szczupłe siły z prawa. Z tej strony jako ubezpieczenie stanął pluton III-ci. Wysłany odeń daleko patrol pod kapralem Albrechtem nie zauważył nic szczególnego. Ale falisty i zalesiony teren był tak trudny do wywiadu, że zawsze za każdym załomem mógł kryć niespodziankę ataku. W marszu już, kiedy dywizjon znalazł się na szerokiej piaszczystej drodze a dookoła szemrał sosnowy las, ubezpieczenie prawe zostało zasilone plutonem I-ym. Wkrótce trakt się rozwidlił i biegł jakby dwiema mocno oddalonemi od siebie kolejami. Łącznicy utrzymywali nieprzerwany kontakt dwu plutonów osłony z siłą główną arjergardy, która nie miała więcej nad 30 koni.

Był gorący dzień. Ciężki kurz oblepiał spocone twarze, gryzł w oczy, skrzypiał w zębach. Konie ledwo szły. Południowy upał wypełniał las tak szczelnie, że nawet w podcieniach drzew powietrze było rozgrzane i duszne. Sechł język. Zdawało się, że głowę tłoczy boleśnie ciężka rozpalona płyta, a w marzeniu snuły się ustawicznie miraże chłodnej źródlanej wody. Wysłano z prawej osłony wstecz powtórnie kapr. Albrechta z 8 ułanami, aby wystawił pikiety i zawiadomił o zbliżaniu się wroga. Nim ostatnia pikieta stanęła, już byli kozacy na wzgórzu i w szyku bojowym natarli na patrol. Poza nimi — kolumna druga... Będąc w przeważa-

jącej sile, Moskale poczynali sobie śmiało, odrazu na białą broń. Atak pędził na osłonę prawą wzdłuż drogi, która w tym miejscu znów skręcała w lewo do głównego traktu. Zajechali nam przeto nieco od prawego. Dzikie „hurra" załomotało po lesie... Trzask, pęd i wycie... Konie nam poszalały. Tylko co zdążył pójść meldunek do siły głównej i tylko co plunęliśmy kozakom ogniem w twarz, gdy wszystkich porwał i zmieszał wściekły wir starcia. Wziął nas w swe ramiona huragan prawdziwie kawaleryjskiej potrzeby, aż się trząsł las i jęczał... Oba plutony zepchnęły te wypady na trakt u wylotu na polanę, kiedy rwał po niej dywizjon a Moskale siekli ogniem karabinowym wzołuż grobli. Który koń padł, pociągał inne. Utworzył się żywy kłębiący wał koni i ludzi, reszta zaś brała tę straszną przeszkodę okropnym rozpędem. Już byli ranni i zabici. Biegały nasze i rosyjskie luzaki, chrapiąc, bez jeźdźców... Nie mogło być mowy o jakimkolwiek sformowaniu toczącej się lawiny na wąskiej drewnianej grobli, ujęciu w karb, ani nawet o wstrzymaniu biegu rozwścieczonych koni. Minęliśmy tyraljery piechoty I-go pułku i dopadli do Trojanówki w sile mniej więcej jednej trzeciej dywizjonu. Spieszywszy się, rozwijamy natychmiast linję na skraju lasu w pobliżu natarcia. Prowadzi rotm. Orlicz. Por. Skotnicki z drugą mniejszą częścią niedobitków dołącza do piechoty. Uciekającą artylerję austrjacką zmuszamy siłą do zatrzymania się i do poparcia ogniem z dział naszego kontrataku.

Spieka przelała w nas swe pragnienie. Przykładaliśmy język do mchu i wilgotnych sosnowych korzeni. Wargi popękały. W oczach kołowała ciemność. Pot przesiąkł przez mundur, namoczył sukno jak szmatę i wystąpił ciemnemi płatami koło pasa na biodrach. Twarze okryła mokra maska pyłu i schła w twardą czarną skorupę. Tam, gdzie droga wnikała do wsi, ustawiono armatę. Zawyły nad nami pociski i padły na las. Ukazało się czoło kozackiego oddziału i znikło. Pierwszy patrol pod ppor. Jabłońskim przejrzał brzeg zarośli, drugi pod ppor. Świerszczem-Pytlewskim zbadał miejsce ataku. Nic prócz zalewających się krwią, zdychających koni. Pozabierali Moskale nietylko rannych, lecz i zabitych.

Zgasł krótki urywany trzask karabinów i cisza zaległa dokoła tym głębsza im donioślejsza była ongi wrzawa i krzyk. Senność chyliła głowy żołnierskie na trawę i mech, przeto zasypiali, mimo całą siłę woli, bez czucia i myśli. Zmęczenie dosięgło kresu. Sen nie pokrzepiał, nużył tylko i drażnił,

a płoszony piekł powieki i ciężył oczom jak łzy. W oddziele naszym nie było już chyba ludzi, ale raczej masa bezsilnych mięśni, spragniona spoczynku i leżenia, niby szczute długo i śmiertelnie znużone zwierzę. W Trojanówce dopiero nastąpiła zbiórka i obliczenie strat. I-szy szwadron miał 4 ranionych oraz 2 zaginionych ułanów i 10 koni. Wiadomość ta była jako coś niezmiernie odległego, co mija nieznacznie na tle potężnego barwnego faktu. W spokojnej drodze na Czersk i Snedary drżało w utrudzonej głowie echo przeżyć. Krzyk, tętent, błysk szabel, kurz i pęd, a obok tego — najzupełniejszy brak uniesienia, tylko dziwnie drobiazgowa pamięć wrażeń i spokój w głębi, jakaś nieogarniona, niezmierzona cisza. Istotne piękno jest w tem rozgraniczeniu świadomości na dwa światy: wewnętrznego spokoju i zewnętrznej pracy w największym rytmie. Życie prawdziwe i rozkoszne zależy od owego tętna, niema nic spólnego z zewnętrzną ciszą i martwotą. Jedna wizja kawaleryjskiego czynu warta więcej niż rok żmudnej walki. Cóż się da porównać z tym patosem gestu i wrażeń?...

Jednak musimy patrzeć na Trojanówkę nietylko jako na piękny epizod kawaleryjskich walk, lecz jak na szkołę. Zdaliśmy tam bowiem egzamin wytrzymałości, dochodząc do kulminacyjnego punktu w szafowaniu energją i wolą. Trzeba umieć spojrzeć na nasz czyn poprzez perspektywę czterech głodnych i przepracowanych dni. A niemasz takiego wojska, najbardziej ideowego, któreby nie znało końca hartu i wytrwania. Najwyższą nagrodą była dla nas noc przespana w Cerkówce. Marzyliśmy już o tym po drodze, drzemiąc w kulbakach, gdy jednocześnie rzeźwił nas wieczorny wiatr i rumieniło zachodzące słońce. Wynosiliśmy głowy z krwawego pola na nowe wojenne rozłogi... Towarzyszył nam stale odblask krwi, jak rozwarte ułańskie rabaty... Wreszcie zorza konającego dnia stopniała w fioletach nocy.

WIELICK.

Od Czeremoszna, t. zn. od połowy lipca 1916 r., często zmienialiśmy przydział taktyczny, a więc i miejsce postoju. Rzucano nas bliżej lub dalej od linji, zawsze w półokręgu Kowla. Piasoczno, Łomaczanka, Byteń, Lubitów (26/VII). Jakoś w tym czasie złączono I-szy i II-gi pułki ułanów w brygadę pod dowództwem Beliny. Stanowiliśmy imponujący oddział jazdy.

Dnia 29/VII o godz. 6-ej rano alarm. Galopem zajeżdżały szwadrony na plac zbiórki za wsią. Gwarno i buńczucznie... Dwa pułki, jak wryte, — znieruchomiała, krzepnąca lawa... Niby dygot wstrzymywanego impetu, biegł po kolumnach tłumiony szczęk i parskanie koni. Sygnały trąbką, cisza, błysk szabel oficerskich, — raport. Później ogromny szary wąż, trzepocący tysiącem nóg w kurzawie drogi. Za Nużlem i Bruchowicami postój w cieniu drzew, ni to w gaiku, ni to w sadach; konie rozkulbaczyć. Dzień był gorący, złoty. Upalny czas żniw: zboże zżęte na polach. Miejscami stał jeszcze żywy srebrny mur żyta. Odległe kawały lasu, ciemniejsze niż zwykle, patrzyły z wyniosłości posępną, prawie czarną ścianą. Tu i tam, jeden za drugim wzdłuż linji zawisły nieruchome balony na uwięzi (captif), tłuste ciężkie ptaki obzierające widnokrąg. Poza nimi, jakby pod ziemią, jęczała burza dział. Rozkwitały raz po raz na najniższym skrawku nieba białe szrapnelowe obłoczki, a zygzaki armatnich wybuchów, jak błyskawice, krzyżowały się i gasły. Po długiem kluczeniu przez niewiedzieć jakie trakty i ścieżyny dobrnęliśmy wieczorem do lasu. Pomykaliśmy teraz skrajem, wciąż skrajem w bliskim już rozjęku armat, w przyduszonej odległością wrzawie. Kończono

tu pośpiesznie nową linję okopów. Ściemniało się. Przed nami, gdzie zdążyła wystąpić noc z za krawędzi horyzontu, tryskały złote i czerwone ognie rac. Wielick mrowił się od wojsk różnej broni. Przejechaliśmy przez wieś, w mroku niewidoczni, na drogę ku Kaszówce. Zawróciliśmy jednak, by zniknąć w czarnych czeluściach podwórek i sadów. Obroczyć konie! Popuściliśmy im tylko popręgi, gotowi każdej chwili do odmarszu. Noc była cicha, ciepła. Huk ustał. Polatywały szepty i dźwięki, lekkie gasnące rżenie, skrzyp przeciągających wozów. To znów, jakby sepleniąc, pełzał jakiś wąż po drodze — szła piechota...

Miało się dokonać przesunięcie z linji Kaszówka — Janówka — Kucharyna Podryże — Wielick — Bolszoj Porsk. Na lewym skrzydle byli Prusacy, z prawa Austrjacy, w środku II-ga brygada Leg. Pol. Kawalerja musiała wypełnić lukę, trzymać placówki przez całą noc i cofać się o świcie w kontakcie z nieprzyjacielem. Opuściliśmy Wielick po północy. Ciemno przeraźliwie. Ani drogi, ani pola. Przepłynęliśmy przez jakąś szumiącą cicho czarną masę — las i znów płaski mrok, jak tarcza. Wnikaliśmy właśnie w zagięcie, które tu tworzy Stochód, w kolano mające z trzech stron wroga i front. Znaczyły go rzucane raz po raz krwawe i złote gwiazdy rakiet. Podrywało się czujne światełko w górę, niby fosforyzujące oko, wisiało chwilę, patrząc, poczym sunęło w dół i nikło. Cisza zupełna. Daleki, wiotki pogłos ni to nocy, ni to ludzkiego gwaru, utajony oddech przestrzeni, echo zamarłych dziennych tonów. Milczenie ma w sobie taką dziwną mowę, więdnący szept...

II-gi pułk ułanów rozwinął się na Sielce. Skrajną prawą placówkę umieścił w przydrożnej cegielni razem z piechotą niemiecką i oparł się tą flanką o II-gi i I-szy szwadron, które rozrzuciły się poza laskiem nawprost Libgoszczy i Janówki. Naprawo ku Kucharom szwadron III-ci. Objęliśmy Wielick półkolem. Mijać nas teraz zaczęła piechota, czarne przyziemne kolumny, od których płynął szelest kroków i głuchy odgłos sciszonej rozmowy. Bataljon kapitana Szczepana okopywał się za nami przed laskiem. Szczęk i zgrzyt gmerających w ziemi łopatek... Małe patrole nasze docierały co pewien czas do opuszczonych rowów, skąd wychodzili już i Austrjacy. Wkrótce opustoszała cała linja. Nieprzyjaciel się nie pokazywał. IV-ty pluton Dublańczyka-Piaseckiego posunął się pod Litogoszczy, I-szy — ku Janówce. Dniało. Od

Litogoszczy padły pierwsze strzały, rozpruły ciszę świtu. Zresztą — nic. Moskale przeprawili się jeszcze przez rzekę. Na lewo przemówiła artylerja niemiecka i zmilkła. Wtem zakotłowało się od strony Sielc. Buchnął czarny dym. Pod ciężkim burym płaszczem srzeżogi wytrysnął płomień tam i sam, zatryumfował, rozchybotał się i runął żajadle na domy, zalał je strugami złota i krwi. Olbrzymie jęzory pożaru splotły się w morze, w jeden żywioł. Olśniewające fale, rycząc, przewalały się po wsi z krańca do krańca, miotały w niebo, szalały. Wiatr się zerwał, poniósł rzekę ognia daleko w bok, na pola. Rozwichrzona płomienista grzywa werżnęła się w ziemię tysiącem pazurów szkarłatnych, ożyła, potoczyła się het, lawą po niezmiernych płatach mlecznej gryki. Piekielny obraz w szarej ramie dymu... Zajęły się wnet dwa odległe wiatraki, jak pochodnie. Ogień ogarnął lewą stronę widnokręgu. Biegł stamtąd jakiś okropny niepojęty krzyk zgrozy. Dym powlekał niebo. Poza mroczną oponą wychynęło wreszcie słońce, krwawa tarcza (30/VII).

Od III-go szwadronu ozwały się rzęsiste strzały karabinowe. Jednocześnie od Kuchar, na przełaj do drogi na Janówkę, t. zn. na I-szy pluton I-go szw., dochodziła tyraljera rosyjska chyłkiem, pojedyńczo, przez zboża. Trzepnęły kule ostro przy nas, tu i tam. Konie spięły się, zastrzygły uszami. Odpowiadaliśmy z siodeł, zwolna cofając się ku Wielickowi. Nagle i za nami podpalono wieś. Niebieskawe pasma dymu ciągnął wiatr w pole, jak mgłę. Zrobiło się zupełnie szaro. Jarzyły się tylko ze wszystkich stron ogniste zjawy pożarów. Półkole kawalerji zacieśniało się bardziej, im bliżej Wielicka. Na krótki czas wszystko stanęło. Niewypowiedzianie piękna chwila! Wspaniałe rzędy jazdy rozciągnięte na parę wiorst, nieruchome, groźne... Tam wróg następuje, a tu tło: ogień i dym, straszliwe pożary... Narodzony sen o wojnie...

Był w Wielicku dwór śliczny modrzewiowy, antyk z polskich czasów. Napatrzył się krwawych powstańczych dziejów, zawarł wspomnienie minionych lat, ofiarnych czynów i romantycznych przeżyć. I dziś musiał zginąć. Podpalono go jednak najpóźniej, z czcią należną drogim nieodżałowanym pamiątkom. Suchy bezdymny płomień ogarnął natychmiast stare drzewiane ściany i dach, ozłocił fronton, utrzymał ogniowe zarysy okien, kolumn i drzwi. Jak w bajce — złoty wizerunek szlacheckiego domu... Oczy nie mogą porzucić czaru rzeczywistości. W takim pożarze wspomnień wypełnić się po-

winien sen o Polsce... Odwieczny park leżał ścięty. Z rozłożystych ugałęzionych drzew wyczyniano zasieki przed nową linją obronną.

Nocleg wypadł nam w lesie za Piesocznem. Dnia 31/VII część szwadronu obsadziła okopy pod Sitowiczami, a reszta z końmi odmaszerowała do Koźlinica. Zaczynał się ostatni okres walk jesiennych. Czekały nas tragiczne, najgłębsze może kolizje legjonisty w ciągu całej wojny. Myśl nasza miała się jeszcze długo szarpać i męczyć, wiele przemierzyć prób. Trzeba było stworzyć hart i niezłomność ponad siebie, dla sprawy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Komenda II-ej brygady Leg. Pol. wydała w sierpniu rozkaz następujący:

(Op. № 228/6). Dnia 29 i 30 lipca r. b. (1916) przypadło brygadzie kawalerji Leg. Pol. koło Wielicka ważne zadanie. Miała ona współdziałać z II-gą brygadą piechoty L. P. w osłonie odwrotu przed napierającym wrogiem, kryć odwrót całego korpusu. Jak się na miejscu przekonać mogłem, zadanie to nasza kawalerja spełniła w sposób doskonały i zaszczytny. Dowodzi tego również przedłożony mi raport bojowy. Komendant brygady, rotmistrz Belina, zadysponował podwładnemi mu siłami bardzo celowo, oba pułki wypełniły dane im zlecenja w sposób wykazujący wielką sprawność i znajomość rzecy. Ostatnia akcja jeszcze raz utwierdziła nas w pewności, że przez współdziałanie możemy zawsze jako jednolite wojsko polskie zyskać sukces. Wyrażam komendantowi brygady kawalerji, rotmistrzowi Belinie, wszystkim oficerom i ułanom obu pułków moją podziękę i pochwalne uznanię.

J. Haller płk. Leg. Pol.
Komdt II br. m. p.

PRZEŁOM.

1.

W ostatnich dniach września padła wiadomość, że Piłsudski podał się do dymisji. Przyniesiono to nam w szare, posępne rano, w Piesocznie, w jakiś czas po Sitowickich bojach i stratach. Stare wiarusy, których nie łamała najrozpaczliwsza sytuacja wojenna, siedli bezradnie na tapczanach żołnierskich i opuścili ręce. Zwykły animusz ułański zamarł, uczyniła się po szwadronach cisza, jak cmentarz. W zrozpaczonej głowie stukała jedyna myśl: wszystko na nic. Nie wiem, czemu, pomyślało się zaraz o grobach kolegów i o straconym pięknie ich śmierci.

Wszystko szło napozór spokojnie, po dawnemu, ale bez duszy, martwo. Taksamo pędzono konie na pastwisko, taksamo spełniano normalne czynności. Przepadł jednak gdzieś z kretesem sens i cel. Rozumieliśmy bowiem, że treścią naszego życia nie była wojaczka jako rzemiosło, tylko urzeczywistnianie snu o Polsce przez niezależną legjonową armję. Niezależność armji legjonowej była w Piłsudskim, t. zn. w tym, kto ją stworzył, powołał pod broń i prowadził w interesie narodu. On dał nam ideę rycerską, on tej idei bronił od służalstwa i skażenia. To my wiemy, pamiętamy i nie zapominamy nigdy, my, jego żołnierze linjowi, chowani w ogniu i bitewnej robocie.

Piłsudski odchodzi.

Sposępniała jeszcze bardziej ostatnia legjonowa jesień. Czuliśmy się tak, jakby ujęto nas w niewolę i wróg łamał na kolanie zdobyty wraz z nami oręż. Dziwna rzecz, jak naj-

winien sen o Polsce... Odwieczny park leżał ścięty. Z rozłożystych ugałęzionych drzew wyczyniano zasieki przed nową linją obronną.

Nocleg wypadł nam w lesie za Piesocznem. Dnia 31/VII część szwadronu obsadziła okopy pod Sitowiczami, a reszta z końmi odmaszerowała do Koźlinica. Zaczynał się ostatni okres walk jesiennych. Czekały nas tragiczne, najgłębsze może kolizje legjonisty w ciągu całej wojny. Myśl nasza miała się jeszcze długo szarpać i męczyć, wiele przemierzyć prób. Trzeba było stworzyć hart i niezłomność ponad siebie, dla sprawy.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Komenda II-ej brygady Leg. Pol. wydała w sierpniu rozkaz następujący:

(Op. № 228/6). Dnia 29 i 30 lipca r. b. (1916) przypadło brygadzie kawalerji Leg. Pol. koło Wielicka ważne zadanie. Miała ona współdziałać z II-gą brygadą piechoty L. P. w osłonie odwrotu przed napierającym wrogiem, kryć odwrót całego korpusu. Jak się na miejscu przekonać mogłem, zadanie to nasza kawalerja spełniła w sposób doskonały i zaszczytny. Dowodzi tego również przedłożony mi raport bojowy. Komendant brygady, rotmistrz Belina, zadysponował podwładnemi mu siłami bardzo celowo, oba pułki wypełniły dane im zlecenja w sposób wykazujący wielką sprawność i znajomość rzecy. Ostatnia akcja jeszcze raz utwierdziła nas w pewności, że przez współdziałanie możemy zawsze jako jednolite wojsko polskie zyskać sukces. Wyrażam komendantowi brygady kawalerji, rotmistrzowi Belinie, wszystkim oficerom i ułanom obu pułków moją podziękę i pochwalne uznanie.

J. Haller płk. Leg. Pol.
Komdt II br. m. p.

PRZEŁOM.

1.

W ostatnich dniach września padła wiadomość, że Piłsudski podał się do dymisji. Przyniesiono to nam w szare, posępne rano, w Piesocznie, w jakiś czas po Sitowickich bojach i stratach. Stare wiarusy, których nie łamała najrozpaczliwsza sytuacja wojenna, siedli bezradnie na tapczanach żołnierskich i opuścili ręce. Zwykły animusz ułański zamarł, uczyniła się po szwadronach cisza, jak cmentarz. W zrozpaczonej głowie stukała jedyna myśl: wszystko na nic. Nie wiem, czemu, pomyślało się zaraz o grobach kolegów i o straconym pięknie ich śmierci.

Wszystko szło napozór spokojnie, po dawnemu, ale bez duszy, martwo. Taksamo pędzono konie na pastwisko, taksamo spełniano normalne czynności. Przepadł jednak gdzieś z kretesem sens i cel. Rozumieliśmy bowiem, że treścią naszego życia nie była wojaczka jako rzemiosło, tylko urzeczywistnianie snu o Polsce przez niezależną legjonową armję. Niezależność armji legjonowej była w Piłsudskim, t. zn. w tym, kto ją stworzył, powołał pod broń i prowadził w interesie narodu. On dał nam ideę rycerską, on tej idei bronił od służalstwa i skażenia. To my wiemy, pamiętamy i nie zapominamy nigdy, my, jego żołnierze linjowi, chowani w ogniu i bitewnej robocie.

Piłsudski odchodzi.

Sposępniała jeszcze bardziej ostatnia legjonowa jesień. Czuliśmy się tak, jakby ujęto nas w niewolę i wróg łamał na kolanie zdobyty wraz z nami oręż. Dziwna rzecz, jak naj-

drobniejszy sprzęt nabierał głębokiego znaczenia. Oto w każdej szabli i karabinie, w każdym koniu i rynsztunku była część idei, utajony sen i rycerskość. Chciało się i płakać i krzyczeć i zarazem lecieć i bić i ginąć w ataku, kurzawie i krwi. Byle się nie poddać i nie ulec, póki życia.

A tymczasem Austrjacy skupiali dookoła oddziały wojsk w miarę wzrostu naszego — jak oni mówili — zamętu. Patrole ich podchodziły do Piesoczna ostrożnie i cicho, niby do linji nieprzyjacielskiej, pragnąc wybadać, co robimy i na co się zanosi.

Okropne, beznadziejne były noce. Między nami a narodem nie było nic prócz tych nocy. Daleko za siedmią rzek, a niby w przeżywanej boleśnie bajce, śpi wielomiljonowe społeczeństwo polskie. W Warszawie rozsiedli się Niemcy, tu — Austrjacy, a my... Pozostawieni samym sobie dzisiaj, bez wiary w broń, śród nieprzyjacielskich wart, węszących zdradę pozornego sprzymierzeńca... Od sierpnia 1915 r. na przełomie, teraz ważyliśmy się ostatecznie. Powstawały projekty szalone, nad któremi zastanawiano się zupełnie poważnie i debatowano długo. Iść na Niesuchojże, zdobyć mosty i ruszyć z całą brygadą w drogę powrotną do Królestwa, zmiatając wszędzie opór i przeciwdziałanie, albo uderzyć na Stochód, przeprawić się na drugi brzeg i dołączyć do Moskali... Nie znaczy to, że straciliśmy głowę. Porywała się tak nieposkromiona żądza odwetu, nienawiść gruntowna do „dziadów" austrjackich i chęć zamanifestowania w ten sposób naszych istotnych i stałych uczuć. To były tylko odruchy najpierwsze.

Przeżyliśmy zato jedyną w swoim rodzaju scenę, kiedy na zbiórce I-go szwadronu por. Grzmot-Skotnicki żegnał wszystkich towarzyszy broni. Sam miał łzy w oczach, ściskając dłoń każdego; żołnierze płakali. Byłoby niewypowiedzianie straszne, gdyby zdzierano mundur z wysłużonego wiarusa. A tu nie mundur zdzierano, lecz ideę, sens istnienia i działania. Trzeźwa myśl rozkopywała groby na zmarnowanie, równała z ziemią ślad długiego bojowania, męki i poświęceń. Czyjeś łzy, złożone na ołtarzu ojczyzny, miały upaść w próżnię... Przejść kampanję od sierpnia 1914 r. śladami walk, nadziei i marzeń i dotrzeć do Polesia, do dzisiejszego dnia przełomu.

Pierwszego października o godz. 9-ej rano zbiórka pułku konno przed kwaterą rotm. Beliny. Na prawem skrzydle

orkiestra. Oficerowie w gali, ułani bez kożuszków. Obnaż broń i zwykły raport. W kolumnie szóstkowej wyjeżdżamy za wieś na miejsce ćwiczeń; częściowo ugory, a częściowo łąki zawilgłe i grząskie. Musztra według sygnałów trąbką i znaków szablą, z pobrzękiem i chrzęstem ruchliwych kolumn, z tupotem setek nóg. Ćwiczenia może ostatnie... Po tem wszystkiem pułk uformował czworobok z dowódcą pośrodku. Belina przemówił krótko i jędrnie, wypowiadając mniej więcej to:

— Przyszedł najsmutniejszy czas — zrzucenia w takiej chwili munduru. Żołnierzami mimo to nie przestajemy być. Brygadjer żąda posłuchu. Teraz właśnie trzeba wykazać hart i wolę, gdy stajemy jako jawna opozycja przeciw zakusom wrogów. Żegnajcie. Wierzę, że rozchodzimy się nie na długo. Kiedyś na zbiórce nie powinno nikogo zabraknąć.

Odpowiedział potężny trzykrotny okrzyk: „Niech żyje Piłsudski!" i błysk wzniesionych szabel. Orkiestra gra: „Jeszcze Polska nie zginęła!" Nagła cisza na baczność jest niby milcząca przysięga. Burza młodych serc schodziła do podziemi czynu. Gdy skomenderowano defiladę w prawo w kolumnie plutonowej półgalopem — pułk ruszył w takt paradnego marsza tak mocno, rytmicznie i pięknie, jak falanga centaurów ujęta w bitne stropy. Pluton za plutonem, niby fala za falą, najeżony klingami szabel. Żadudniły kopyta na podobieństwo grzmiącego werbla, słyszanego po raz ostatni.

Tak się jakoś stało, że wkrótce potem wypadł alarm i nocą powołano pułk na linję pod Rudkę Miryńską. Poszliśmy karnie. Nie było jednak nic.

Rozwój wydarzeń przekonał nas do reszty o konieczności ustąpienia. Jak przystało żołnierzom, załatwiliśmy to służbowo, stając do raportu i meldując prośbę o zwolnienie z szeregów. Galicjanie wnosili podania o przeniesienie do armji austrjackiej.

Schodziliśmy tedy znów do podziemnej rezerwy, na którą mógł naród zawsze liczyć. Przy tej okazji wszystkich prawie ułanów i podoficerów zaawansowano o stopień wyżej. Taka była nasza jedyna wysługa i zaszczytny dorobek za tworzenie snu o potędze i wojsku.

2.

Od jesieni 1916 r. sytuacja zaczęła się tak wikłać, że potrzebne tu jest pewne omówienie.

To, co nazywamy Legjonami, miało właściwie dwie strony: wewnętrzną i zewnętrzną. Pierwsza dotyczyła wojska i jego ściśle żołnierskiej roboty; nazwijmy ją „frontową". Druga była terenem starć politycznych w stosunkach zewnętrznych z t. zw. sprzymierzeńcami; nazwijmy ją „tyłową". „Frontową" przeżywaliśmy my, żołnierze, jako dwuletnią kampanję, rozpoczętą w sierpniu 1914 r., a zakończoną w październiku 1916 r. w Piesocznie. To była wojna, groźna rzecz, a zarazem porywająca ideą walki o wolność. „Tyłowej", niewidocznej dla nas w linji, nie mogliśmy obserwować stale. Wiedzieliśmy zato, że przeżywa ją łącznie z „frontową" i walczy o nią komendant, który nas po to przecież wyprowadził na wojnę, aby urzeczywistnić marzenie o niepodległości, zdobywanej samodzielnie, własnemi siłami. Były jednak chwile, kiedy cień niepowodzeń komendanta po tej drugiej stronie, politycznej, padał na nas. Np. dzień przysięgi „austrjackiej" 5-go września 1914 r., okres po zajęciu przez 1 p. ułanów Lublina, t. zn. sierpień 1915 r. i wreszcie październik 1916 r. w Piesocznie. Szczególniej Piesoczno — najboleśniejszy czas legjonowego eposu...

Z zachowaniem się naszem w Piesocznie i później — niesolidaryzowała się pewna część II-giej brygady. Oto dwa sprzeczne zasadniczo dokumenty.

1. „Do oficerów i żołnierzy wojska polskiego:

„W dwuletniej zmudnej i obfitej w krwawe ofiary walce zdobyliśmy wreszcie Pierwszy Polski Korpus. Ten pierwszy

polski korpus powstaje na żądanie naszych najstarszych oficerów łącznie z brygadjerem Józefem Piłsudskim. Jak on, będąc śród nas, tak i my dalej stać będziemy na straży honoru wojska polskiego, dlatego niezłomnie trwać bedziemy na raz obranej drodze. Nie kieruje nami uczucie, lecz obowiązek Polaka. W obszernych walkach o przyszłość Polski obowiązek Polaka jest równoznaczny z obowiązkiem żołnierza w szeregach, na których sławę złożyły się walki i krew legjonów. Obowiązek ten pełnić będziemy nadal i wypełnimy, biorąc pełną odpowiedzialność przed Wami i Narodem za nasze stanowisko i czyny. Wierzymy silnie, iż tak jedynie postępując, realizujemy Niepodległe Państwo polskie".

W polu dnia 2 października.

Józef Haller m. p.
pułk. bryg.
Zygmunt Zieliński m. p.
pułk. bryg.
Marjan Żegota-Januszajtis w. p.
pułk. bryg.

2. „Do korpusu oficerskiego 2-go pułku piechoty legjonów polskich:

„Rezolucje i deklaracje kolegów oficerów 2 pp. l. p. z dnia 15 b. m., przesłane do komend innych pułków z prośbą o zakomunikowanie ich oficerom i żołnierzom, skłaniają nas do odpowiedzi. Nie dla polemiki, nie dla kół szerszych, lecz wyłącznie Wam, koledzy broni, zahartowanym w dwuletnich ciężkich zmaganiach się z wrogiem, zahartowanym w ciężkiej doli Waszej w Karpatach, Besarabji i na Wołyniu, ślemy sformułowanie naszego stanowiska w odpowiedzi na Wasze pismo.

Żołnierz nie prowadzi innej polityki prócz tej, która się na polu walki rozstrzyga. Politykę za niego prowadzi rząd jego państwa. Ale żołnierz nie jest bezmyślną maszyną. W boju ożywia go idea, która daje mu siłę, w imię której życie swe kładzie, znosi trudy i poniewierkę, dla której przepojony jest nieodpornym pędem do zwycięstwa. Im większa idea, im silniej wojsko nią przepojone, tym dzielniejsze w boju, tym wytrzymalsze ne trudy, tym wytrwalsze we wszystkich przeciwnościach losu. Wojsko walczy o utrzymanie granic

państwa, o zjednoczenie, o przyłączenie do państwa części swego narodu, żyjącego pod obcem panowaniem, o utrzymanie niepodległości swego narodu. Dla tej idei wojsko stwarza fakty, pisane krwią i bagnetem, a rząd czyny wojska przekuwa w fakty polityczne. Rząd prowadzi politykę, pisze traktaty, wykorzystuje ofiary wojska dla dokonania idei. Tak jest w obecnej wojnie światowej we wszystkich państwach walczących. Wojsko się bije w imię idei, rząd zwycięstwo wojska wykorzystuje dla jej realizowania.

Nam, żołnierzom polskim, nie danym było stworzyć wojska. Stworzyliśmy kadry wojskowe. Najmniejsze wojsko wojny światowej — przepojeni jesteśmy największą ideą. Walczymy o zjednoczenie całego narodu w niepodległe państwo. Tę ideę przejęliśmy w spadku po naszych przodkach, po ojcach naszych, zrywających się w ciągu pięćdziesięciu lat trzy razy do boju o wolność, całość i niepodległość Polski. Na długi czas przed wojną dźwignęliśmy zapomnianą w narodzie ideę wojska polskiego, jako tego wojska pierwsi żołnierze. Zmobilizowani w ruchu strzeleckim przez naszego Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego, byliśmy już wtedy żołnierzami Polski walczącej. Stanęliśmy do służby, ślubując, że wierni sztandarowi walki o niepodległość, nie cofniemy się przed największemi ofiarami, rozumiejąc, że tylko walką zbrojną zdobyć może naród swoją niepodległość.

Z rozkazu Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego, ruszyliśmy do walki z Moskwą w silnem przeświadczeniu, że jako zalążek polskiej siły zbrojnej staniemy się armją narodową, podległą rozkazom Rządu Narodowego. Zdawaliśmy sobie wszyscy dokładnie sprawę, jakie pierwszorzędne znaczenie ma dla żołnierza polskiego kwestja dowództwa. Żołnierz polski, służąc Polsce, może podlegać tylko władzy polskiej. Wszelka inna władza nie jest jego władzą legitymistyczną, ale obcą, narzuconą. Uznając ją, służy sprawie obcej, nie polskiej, staje się obcym najemnikiem. Fakt polskiego dowództwa nad wojskiem jest warunkiem znaczenia wojska dla narodu. Wojsko podlega rozkazom komendanta, komendant woli rządu narodowego, jako jedynej prawowitej, legalnej władzy polskiej. Wojsko dopiero wtenczas jest widomym znakiem walki o niepodległość, wyrazem dążeń całego narodu, gdy za nim stoi rząd, który ofiary i trudy, życie i krew, walkę i zwycięstwo wojska przetwarza w niepodległe państwo polskie.

Nie było nam dane ujrzeć utworzenia się Rządu Narodowego. Pozostał tylko komitet polityków polskich, N. K. N., który wziął na siebie ciężkie zadanie urzeczywistnienia idei, za którą walczyliśmy. Komendant Główny uznał N. K. N. za swą władzę moralną. My żołnierze, posłuszni wezwaniu Komendanta, złożyliśmy przysięgę, poszliśmy na pole walki jako c. i k. Legjony, ale z naszym Komendantem, pod polskiem dowództwem. W rok później objęła nad nami dowództwo c. i k. Komenda, jako organ Naczelnej Komendy Armji (A. O. K.). Odwoływaliśmy się nieustannie do N. K. N., szurmowaliśmy o własną polską komendę, — nadaremnie. 28-go kwietnia zrzekł się N. K. N. swej roli. Prowadzenie polityki objęło w tym dniu wiedeńskie Koło Polskie, organizacja polska jednej dzielnicy, nie roszcząca sobie nigdy pretensji do urzeczywistnienia dążenia do niepodległości. Znaleźliśmy się bez rządu, nawet bez surogatu rządu. Wojsko pod obcą, narzuconą komendą, bez władzy, bez rządu, a nawet bez komitetu, któryby był politycznym wyrazem idei, o którą wojsko walczy, albo ujmuje samo ster polityki w swe ręce i wtedy przestaje być wojskiem, albo przestaje walczyć, bo walka staje się dla niego bezcelową, albo rozmiłowane w wojaczce walczy dalej w obronie cudzych interesów, za żołd, za gwiazdki, za mundur.

Liczyliśmy, że może z Królestwa wyłoni się rząd narodowy, że naród się ocknie, politycy porzucą jałowe spory, pełne względów i uprzedzeń osobistych, porzucą bierne oczekiwanie na załatwienie sprawy polskiej przez państwa walczące. Więc czekaliśmy. Dotąd nadaremnie. My żołnierze — nie politycy. Nie mieliśmy rządu, ale mieliśmy Komendanta Głównego. Ufamy Mu bez granic. On jest dla nas uosobieniem sprawy polskiej. Człowiek ze stali. Bez skazy i lęku. Zapatrzony w jeden cel, odbudowę niepodległej Polski, dążący do niej z nieubłaganym uporem i zaciętością. Dla niej budził w nas ducha zbrojnej walki. Dla niej stworzył z nas, bez środków materjalnych, wojsko polskie. Dla niej stanął na czele wojska. Dla niej wydobył ze siebie pierwszorzędne talenty wojskowe. Ducha swego niezłomnego przelewał w każdego z nas, kto się z nim zetknął. Kto z nas padł w boju, padał z tą wiarą, że ofiara jego krwi nie stracona dla Polski, póki Komendant Główny na czele wojska. Ustąpił. Jego ustąpienie było dla nas sygnałem ostrzegawczym. Zrobiliśmy rachunek ze swojem sumieniem żołnierza polskiego. Niema rządu,

a więc niema i wojska w dzisiejszej jego formie. Legjony nigdzie nie ucieleśniały snu o polskiej szpadzie. To był stopień, to była droga, którą szliśmy do wytworzenia wojska. Jeżeli chcemy zmienić warunki, miejmy odwagę zaryzykowania tej przejściowej formy, by ją napełnić istotną treścią.

Nie dajcie się złudzić frazesem, że jesteśmy jedynym widomym dowodem istnienia Polski, jedyną podstawą tworzenia państwa polskiego. Żaden frazes nie przysłoni faktu, że legiony polskie bez zastępstwa politycznego polskiego straciły rację bytu, przestały być wojskiem polskiem. Komendant wiedział, co zrobił, gdy ustępował. I my wiemy, że Polska żyje, że tysiączne są jej życia objawy, że każdy objaw życia jest podwaliną pod jej byt państwowy, nie same tylko Legjony. Jesteśmy konsekwentni. Wypowiedzieliśmy naszą wolę przy raportach, jak to wojsko robić powinno. Jeżeli nasz czyn wyrwie z bezwładu polityków polskich, jeżeli ich zmusi do czynnej polityki polskiej, do wytworzenia Rządu Narodowego, choćby moralnego, z niezłomną siłą a niezmniejszonym ani o jotę zapałem, z takim samym ogniem, z jakim ruszyliśmy 6 sierpnia 1914 r., ruszymy każdej chwili na dalszy bój, na śmierć i życie. Bo do naszego kroku popchnęła nas nasza przewodnia gwiazda, nasza idea walki o niepodległość Polski troska o honor żołnierza polskiego, wiara w siły narodu, w przyszłość Polski, wiara, że „Jeszcze nie zginęła".

Uchwała powyższa została powzięta jednogłośnie przez koło oficerskie I p. ułanów Legjonów polskich w dniu 25.X. 1916 r.*).

*) Przeniesiono nas już wtedy do Iwankowicz pod Baranowiczami w okupacji niemieckiej.

W IWANKOWICZACH.

...„Drżę o to, by raz jeszcze na barki młodych żołnierzy nie spadła jakby kara za to, że wśród biernego i nie szanującego siebie społeczeństwa byli uosobieniem walki czynnej o prawa i honor narodu".

Józef Piłsudski (z listu do profesora N. w Krakowie).

W połowie października 1916 r. zmieniliśmy opiekunów przechodząc do okupacji niemieckiej na odcinek pod Baranowiczami i opuszczając linję na zawsze. jako legjoniści. Różnie komentowano tę podróż. Jedni twierdzili, że wiozą nas na „hinterland" albo wypoczywać albo organizować armje polską; inni byli zdania, że pójdziemy tam na front, a jeszcze inni uważali najzwyczajniej, że za niesubordynację w stosunku do władz austrjackich sprawią nam „pruską łaźnię" i rozstrzelają co dziesiątego.

Nie sprawdziło się nic. Dostaliśmy bezludną wieś Iwankowicze, ogołoconą ze wszystkiego, i na tym koniec. Urządziwszy narazie stajnie i zaopatrzywszy je na zimę, rozejrzeliśmy się po okolicy. Cudnie tu było, szczególniej na lekko falujących pagórkach, gdzie jesień prószyła bogato złotemi liśćmi. Płaty pól zżętych, z których Niemcy pozwozili plony, osmętniały i posnęły. Do drzwi jutra-pojutrza stukała już zima po przez czar jesiennego przepychu.

Używaliśmy ciepła ostatnich dni rozrzutnie. Służba nie dawała się zbytnio we znaki. Ćwiczeń było niewiele: trochę maneży i trochę musztry. Wolnego czasu w bród. A więc wycieczki konne do pobliskich wsi, skąpe znajomości, przejaż-

dżki bezcelowe a ostre, niby biegi myśliwskie, nie dla potrzeby, ale ot tak, dla użycia pędu i wczasu. Kończył się zwykle dzień przecudnym zachodem słońca, poczym zmierzch stapiał tęczę lasu w szarość mglistą, dopóki księżyc nie odkrył przyłbicy. że aż padał blask jak srebro. A my na drogach, śród tych nocą wysrebrzonych pól i lasów. Usypiała wówczas człowieka tęsknota, podobna do cichego śpiewu. Szło w niepamięć wojsko i mundur.

W lisopadzie powiało chłodem niemal zimowym. Spochmurniał świat, jak niebo. Częściej przeto obsiadaliśmy komin, na którym płonęły grube szczapy. Trochę książek, trochę gawęd koleżeńskich — i odgłosów z Polski. Uciszona kuźnia, gdzie zamilkł dawno pracowity szczęk młotów i życia. Podobno przygotowywali Niemcy niepodległość i podobno rodacy mieli ją przyjąć. Było dużo strasznej ironji w zestawieniu naszego tutaj pobytu z niepodległością. Albo wyparło się nas szczęście albo ojczyzna...

Nareszcie 10 listopada powiedziano o 5 listopada w Warszawie. Cisza. Tejże nocy chodził ktoś wielkiemi krokami wokoło naszych chat (wiatr miotał liśćmi), zaglądał w okna i słuchał (wiatr bił w szyby) szumiały drzewa...

11-go msza polowa dziękczynna i parada. Uszykowano ołtarz na skraju lasu, między dziewiczemi brzózkami. Po wysłuchaniu mszy defilada w pełnym galopie. Wtem skomenderowano rozwinięty i przed wielkim dwurzędem powiedziano parę słów ostro. Nic w tonie 5 listopada, lecz 6 sierpnia, kiedyśmy wyzywali potrójne potęgi na młodą broń. Buchnął krzyk, jak nietamowana krew z trzystu gardzieli: „Niech żyje Polska!" „Niech żyje Piłsudski!" Drżące szydła szabel znów przysięgały ojczyźnie na wieczność.

Pozrywał wiatr źdźbła traw i zwiędłego zielska. Kłaniały się drzewa. Zdaleka — zdaleka, gdzie stał las, biegło dudnienie. Ojczyzna zbliżała się do białoruskich pól, do samotnych pułków legjonowych wiernych jej jedynej.

EPILOG.

W końcu listopada nastąpił przejazd do Ostrołęki. Kilka miesięcy koszarowego życia, szkoły oficerska i podoficerska (luty i marzec 1917 r.), zmiana regulaminu musztry z rosyjskiego na niemiecki i stała, niezmienna wiara w czyn, nie kunktatorstwo, — wypełniały ostatni okres. I jeszcze raz zadano nadziei klęskę. Przyszedł dzień przysięgi. 15 lipca 1 pułk ułanów rzucił broń niemiecką. W parę dni otworzyły się wrota niewoli w obozach jeńców Szczypiorna i Benjaminowa. Piłsudskiego uwięziono. Garść poddanych austrjackich likwidowała pułk w Medyce pod Przemyślem (koniec 27.IX) i przechodziła pod bączkiem c. i k. na front włoski.

Nastała cisza zupełna.

Tylko z zachodu słyszeliśmy huk dział, wstrząsający murami więzień.

SPIS RZECZY.

Str.

Drogi dwie naszego snu o Polsce 3
Wojciechowice i Bidziny 5
Śmierć Dudzieńca 14
Wejście do Lublina 23
Ostatni dzień ppor. Wysokiego 29
Przez Wieprz na Podlasie 32
Od Stochodu po Styr 39
W okopach 55
Stanica Piłsudskiego 61
Na kwaterach 77
Odwrót z pod Optowej 95
Wielick 111
Przełom 115
W Iwankowiczach 123
Epilog 125

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
8167/1